

# Ostatni pociąg do Babilonu

CHARLEE FAM

Niepokojąca, poruszająca  
i niezwykle wciągająca historia.  
- JENNIFER ECHOLS



charlee fam

Ostatni pociąg  
do  
Babilonu

Tłumaczenie  
Zuzanna Byczek



*Dla Marv*

# Prolog

Deszcz atakuje mój samochód stojący na odległym krańcu pustego parkingu przy stacji kolejowej. Wycieraczki tańczą w obląkańczym rytmie. Smuga dymu unosi się z papierosa, opartego o popielniczkę – maskuje woń liczącego trzy lata odświeżacza powietrza o zapachu wanilii i drzewa sandałowego. Nie palę, chociaż bardzo pragnęłabym poczuć, jak gęsta mgła rozpełza się po moim wnętrzu, wypełnia płuca – wypełnia pustkę, którą we mnie wydrążyłeś.

Patrzę na ceglany budynek i wyobrażam sobie, jak skaczę. Widzę, jak stoję z wysoko uniesioną głową, wyciągniętymi na boki ramionami, stopy na samym brzegu.

I wtedy z głośników dobiega: „Ostatni pociąg do Babylon wjeżdża na stację”.

Pociąg przetacza się nad moją głową, wycieraczki tańczą w obląkańczym rytmie.

Moje kolana tkwią między klatką piersiową a wielką kierownicą.

Smuga dymu unosi się z papierosa.

Przypomina mi się scena z obozu letniego, miałam sześć, może siedem lat. Są tam inne dzieciaki, ale ich twarze zatarły się w pamięci. Wszyscy mamy na sobie workowate koszulki farbowane metodą tie-dye z napisem: Lake Walter Fajowe Lato '95 czy innym równie beznadziejnym hasłem.

Siedzimy wokół stołu pod zardzewiałym blaszanym dachem. Wszędzie walają się kawałki brystolu, czerwone, zielone, czarne. Niebieskie, zielone, pomarańczowe. Nie sposób znaleźć całej kartki. Wszystko pocięte i zmasakrowane za pomocą tych koszmarnych nożyczek, które trzeba trzymać w lewej ręce – bezpiecznych nożyczek.

Jakiś chłopiec wysypuje niebieski brokat. Trochę chyba wpadło mi do oka.

Buduję domek z patyków po lodach. Pewnie użyłam za dużo kleju.

Zawsze używam za dużo kleju.

Kolana przyciskają się do wibrującej kierownicy. A wycieraczki tańczą w

obląkańczym rytmie. Z papierosa unosi się smuga dymu. Samochód stoi na parkingu, podskakuje w miejscu i dudni.

Pociąg do Babylon wjeżdża na stację. Planowany odjazd godzina 1:53.

Deszcz siecze w ostrym świetle latarń, wysokich jak żyrafy. Nikt mnie nie widzi. Wycieraczki tańczą na przedniej szybie. I smuga dymu. I wciąż cię czuję, szorstkie opuszki twoich palców, uśmiech Kota z Cheshire, który nie znika z twojej twarzy, kiedy mnie pożerasz. Kawalek. Po. Kawalku. Twoje włosy są miękkie, przemyka mi przez myśl, że pewnie używasz odżywki. Dziwne. Pewnie mama cię nauczyła. Potem jednak przypominam sobie, że twoja matka nie żyje. I robi mi się przykro. Przykro z jej powodu. Wycieraczki tańczą na przedniej szybie, smuga dymu unosi się z papierosa, silnik buczy, a ja buduję domek z patyków po lodach, a ty mnie pożerasz i może to przez zioło, ale mam wrażenie, że zaraz rozszczepię się na kawałki, a ty mówisz wyluzuj, spokojnie, mówisz, żebym się zamknęła, twój kumpel próbuje spać, a ja mówię przestań przestań przestań i zastanawiam się, czy twój kumpel słyszy, i zastanawiam się, co teraz myśli twoja zmarła matka, mówisz, żebym się zamknęła, wycieraczki tańczą, smuga dymu unosi się z papierosa, twoja ręka tłumi moje nieme krzyki i już wiem, że nic więcej nie mogę zrobić, tylko przeczekać, a ty mnie pożerasz. Kawalek. Po. Kawalku. Wycieraczki tańczą na przedniej szybie, i smuga dymu, a twój kumpel kaszle, a ja próbuję zapełnić pustkę, którą we mnie wydrążyłeś i próbuję zignorować świat, który stworzyliśmy i twoją moc niszczenia, naszą moc tworzenia, wycieraczki tańczą w obląkańczym rytmie, smuga dymu unosi się z papierosa, twój kumpel kaszle, buduję domek z patyków po lodach.

# *Część pierwsza*

# Rozdział 1

*Piątek 10 października 2014, 3:53*

Czuję się tak, jakby ktoś wydrapał mi zatoki i nalał chloru do nosa. Wszystko jest ciepłe i wilgotne, w skroniach huczy, w środku głowy ziele sterylnej pustki. Okno jest otwarte, słyszę uderzenia deszczu o metalową siatkę. Czuję też zapach: deszcz, środki odkażające i lateks. Tak chyba pachnie, kiedy człowiek budzi się w szpitalu.

Moje oczy otwierają się dosłownie na sekundę i zaraz zamykają. Mrugam dwa razy. Nie wiem, czy nadal mam szkła kontaktowe. Wszystko widzę jak przez mgłę, oprócz białych ścian i metalowego basenu obok mojej twarzy.

Jakaś kobieta odchrząkuje.

– Hej. – Jej głos uderza we mnie jak cios, głowę przeszywa ból. – Jak się czujesz, Aubrey?

Dźwięk odbija się od ścianek wydrążonej czaszki. Mrużę oczy i patrzę w kierunku drzwi, skąd dochodzi głos. Kobieta macha do mnie, podnosi się z krzesła.

– Mam na imię Laura. – Mówi powoli, wyraźnie. Podchodzi do łóżka, jakby oczekiwała, że uścisnę jej dłoń, ale jestem podłączona do kroplówki, która wtłacza przejrzysty zimny płyn w moje żyły, więc nie mogłabym się ruszyć, nawet gdybym bardzo chciała wykazać się kulturą osobistą.

– Hej? – mówię. Głos mi się łamie. Kobieta ma na sobie dzinsy i jasnozielony sweter. Włosy opadają w jasnych lokach dokoła twarzy, podskakują na ramionach, kiedy podchodzi bliżej. Może przez te włosy, nie wiem, w każdym razie ma taki sprężysty krok i sprawia wrażenie stanowczo zbyt rześkiej. Już jej nie lubię.

W pierwszej chwili biorę ją za niewiele starszą od siebie, może pod trzydziestkę czy tuż po – ale kiedy znowu się odzywa, słyszę w jej głosie ten powolny rozsądny ton, który pojawia się dopiero w okolicach czterdziestki.

– Jesteś w szpitalu, Aubrey – mówi. Nie podoba mi się, że powtarza moje imię, jakby uważała, że dzięki temu poczuję się bezpiecznie. – Pracuję tu. Jestem pracownikiem socjalnym. Terapeutką. – Milknie, a po chwili robi kolejny krok w moją stronę. – Wolę to drugie. Brzmi mniej oficjalnie. – Chyba się uśmiecha, nadal nie widzę zbyt wyraźnie.

– Wiem, gdzie jestem – odpowiadam. Siada na metalowym krześle przy drzwiach. – Ale co ja tu robię?

– Pamiętasz, co się zdarzyło tej nocy? – Trzyma na kolanach podkładkę do

pisania.

Chcę powiedzieć, że nie. Chcę powiedzieć: Nie, Lauro, najwyraźniej nie pamiętam, bo inaczej chyba bym nie pytała, prawda? Zamiast tego milczę, zaciskam powieki i próbuję wydobyć coś z pamięci. Biorę wdech i znów zamykam oczy. Niewiele tego, ale fragmenty ostatniej nocy zaczynają wracać jak kawałki rozbitego szkła: zapach, obraz, dźwięk. Strzaskane fragmenty, nic, czego mogłabym się uchwycić.

Pamiętam bar u O'Reilly'ego – wchodzę i widzę Erica Robbinsa, ma na sobie krawat w kolorze miętowej zieleni, siedzi przy kontuarze i bawi się butelką piwa. Chyba podchodzi do mnie Adam, powietrze jest gęste i mętne, otacza mnie ze wszystkich stron. A potem tylko deszcz. Deszcz, dym, wycieraczki i gorący od whiskey oddech na moim gołym brzuchu.

Ale nie mówię tego Laurze.

– Niczego nie pamiętam – odpowiadam. – Niczego. Przepraszam.

– Nic nie szkodzi. Nie musisz przepraszać. – Przesuwa się na krześle bliżej łóżka. Metal skrzypi na wyłożonej kafelkami podłodze. Krzywię się.

Nadal nie mam pojęcia, skąd do cholery się tu wzięłam, więc milczę i czekam, aż Laura mnie oświeci. Przez chwilę zastanawiam się, czy może kogoś zabiłam, rozwaliałam samochód, przejechałam małe dziecko. Ale w takim przypadku pewnie przykuliby mnie kajdankami do łóżka. W każdym razie tak to wygląda w „Prawie i porządku”.

A potem ogarnia mnie panika i myślę sobie, że może zrobiłam coś głupiego. Może rzuciłam się na tory czy coś równie okropnego i banalnego w tym rodzaju. Ale niemal natychmiast odrzucam od siebie tę myśl, uspokajam się. Jestem stanowczo zbyt praktyczna, nie chciałabym przysporzyć niedogodności tym wszystkim ludziom w pociągu, z których większość pewnie zresztą znam.

To jest właśnie Long Island. Skaczesz pod pociąg i masz gwarancję, że znasz co najmniej dziesięcioro siedzących w nim pasażerów.

Chcę się dowiedzieć, dlaczego tu trafiłam. No, jakaś część mnie wie. Część mnie chciałaby wcisnąć twarz w wykrochmaloną poduszkę i zapomnieć, że wróciłam do tej pierdolonej dziury w dupie. Ale Laura tylko się uśmiecha, zadowolona z siebie, jakby czekała, kiedy zapytam – jakby to była część procesu.

– Są tu moi rodzice? – pytam. Ze zgrozą myślę o konfrontacji z Karen, ale spodziewam się, że stoi teraz na korytarzu, przyciska ucho do grubych drewnianych drzwi, czeka na sygnał. Możliwe jednak, że nikt do niej nie zadzwonił. Mam dwadzieścia trzy lata i sądzę, że istnieje jakaś zasada poufności, zakładająca, że mogę czasem coś spierdolić i nikt nie wezwie zaraz mojej matki. Nie jestem jednak pewna, jak załatwia się tego rodzaju sprawy w szpitalu. Pomimo wielu dziwnych rzeczy, które wyczyniałam przez ostatnich pięć lat, jeszcze do żadnego nie zdarzyło



mi się trafić.

– Twoja mama tu była, lecz poszła do domu – odpowiada Laura. – Uznała, że będzie lepiej, jeśli najpierw porozmawiamy na osobności.

No jasne. Podnoszę rękę i pocieram grzbiet nosa kciukiem i palcem wskazującym. Karen też jest terapeutką, w szkole – ściśle rzecz biorąc, psychologiem szkolnym, ale w sumie co za różnica. Dobrze to zna: czy chodzi o trzynastolatkę, która podcięła sobie żyły z powodu bulimii i mobbingu w sieci, czy o kogoś takiego jak ja – pozornie dobrze przystosowaną dwudziestoparolatkę w środku ciągu alkoholowego/załamania psychicznego / tego-czegoś-co-właśnie-się-dzieje-ale-boję-się-spytać. Przykro mi, ale nikt, czy ma lat trzynaście, czy dwadzieścia parę, nie będzie powierzał najgłębszych, najmroczniejszych sekretów własnej matce. Matki tylko wszystko komplikują swoimi pokreconymi emocjami.

Przy okazji Karen jest również trenerką cheerleaderek w średniej szkole i jej próbom pomocy zawsze towarzyszy, jak na mój gust stanowczo zbyt duża, dawka sportowego animuszu.

Ale Karen jest sprytniejsza, niż mi się wydaje. Wie, że nigdy nie skłoni mnie do rozmowy, takiej prawdziwej. Nigdy nie otwierałam się przed nią, nie wyplakiwałam się na jej ramieniu. Nie jestem takim typem. W przeciwieństwie do moich braci. Przylepne marudne beksy. Prawdziwe maminsynki. Gen odpowiedzialny za podstawowe ludzkie odruchy najwidoczniej w moim przypadku nie działa – tak przynajmniej żartuje sobie Karen, kiedy wysuwam się z uścisku albo unikam kontaktu wzrokowego podczas poważnej rozmowy. Wie, że szybciej zwierzę się przypadkowej terapeutce, czyhającej na mnie na szpitalnej sali – czysty biznes.

Znowu wszystko się rozmywa, świat mętnieje.

– Miałam kontakty – mówię, zbyt powoli, i zaczynam się zastanawiać, czy słowa przypadkiem nie wpadły do środka mojej głowy, a może się rozpuściły. Po prostu rozpuściły się w oczach. Laura patrzy na mnie obojętnie. Panuje aroganckie milczenie, więc zaczynam mówić, chociaż wyczuwam, że ona mnie osądza, ocenia, robi w myślach notatki na temat mojego stanu psychicznego. – Nie powinnam spać w kontaktach. – Głos niknie, a w piersi czuję dziwne mrowienie – ale takie intensywne. Jakby moje ciało za chwilę miało odpłynąć albo pójść na dno jak kamień. Ona ciągle na mnie patrzy. Mrowienie obejmuje gardło. Nie wiem, co znaczy to uczucie, ale mi się nie podoba. Przemyka mi przez głowę, że to pewnie lek, który we mnie wlewają. A może po prostu kac-gigant. Próbuję odnaleźć słowa. Próbuję wymyślić, co mam powiedzieć – coś, dzięki czemu wydam się mniej pacjentką, a bardziej normalną-zwykłą-spokojną Aubrey.

Pocieram oczy i siadam na łóżku, ciągnąc wenflon.

– Od kiedy tu jestem?

Laura uśmiecha się, tak jakby wyraz jej twarzy mógł w jakikolwiek sposób

wpłynąć na poziom mojego spokoju.

– Nie martw się o soczewki – mówi. Ale się martwię, a ona, mówiąc mi, jak mam się czuć, traci sporą liczbę punktów.

Deszcz mocniej uderza o metalową siatkę.

Po raz pierwszy chwytam swoje odbicie w szybie. Włosy wyglądają tragicznie, poranek po masakrycznej imprezie, sterczą we wszystkie strony. Wargi spuchnięte i popękane. Czuję się trochę jak bohaterka „Przerwanej lekcji muzyki”. Może nie potrafię zagrać tak seksownej i walniętej postaci jak Angelina, ale jestem blisko. Naprawdę, kurwa, blisko.

Na mojej twarzy powoli rozlewa się szelmowski uśmieszek.

– Co cię tak bawi? – pyta Laura. Też się uśmiecha, niepewnie, jakby próbowała naśladować moje rozbawienie, jakby czekała na dobry dowcip.

– Nic – odpowiadam. – Po prostu próbuję wczuć się w rolę.

– Jaką rolę? – Znowu poważnieje. Pożartować to się z nią nie da. Próbuję ją odczytać. A ona myśli, że umie odczytać mnie, wiem o tym. Jestem w dziewięćdziesięciu procentach pewna, że wiem, co ona myśli i w siedemdziesięciu pięciu, że się myli.

– Nie jestem walnięta – mówię. Nie zamierzałam powiedzieć tego na głos. Ale słowa jakby same wysunęły mi się z ust.

– Nikt tak nie twierdzi.

– To dlaczego tu jestem? – Czuję, że głos zaczyna mi drżeć, więc kończę z pytaniami i gniotę w rękach prześcieradło.

– Miałaś sporo alkoholu we krwi – wyjaśnia, znowu opierając podkładkę na kolanach.

Czekam na dalszy ciąg – na szczegóły. Czekam, aż mi powie, jak bardzo spierdoliłam. Ale ona tylko patrzy. Tak jakby to wystarczyło. Ale to nie jest odpowiedź na moje pytania. Oczywiście, że miałam sporo alkoholu we krwi. Zwykle mam sporo alkoholu we krwi, ale nigdy wcześniej nie wylądowałam z tego powodu w szpitalu, w dodatku w towarzystwie pracownicy socjalnej, czającej się w nogach łóżka.

– Pamiętasz, co mogło tej nocy wywołać u ciebie zły nastrój, Aubrey?

Wzruszam ramionami. Nie cierpię tego, że umieszcza moje imię na końcu zdania, jakby prócz nas ktoś tu jeszcze był.

Co tak nieśmiało, Lauro? mam ochotę spytać. Czemu nie powiesz tego wprost?

– Czy to z powodu Rachel? Utrata przyjaciółki bywa wyjątkowo traumatycznym doświadczeniem. Twoja mama mówiła, że dzisiaj odbędzie się pogrzeb.

No tak. Powinnam była to przewidzieć. Jasne, że mamusia podzieliła się z panią terapeutką tą kluczową informacją. Powinnam była się przygotować. Dobre zagranie, Lauro. Bardzo dobre.

– Ona nie była moją przyjaciółką. Nie rozmawiałyśmy od wielu lat – kłamię. Tylko

tyle mogę powiedzieć. Chyba wystarczy. Może nawet uwierzyła, przynajmniej chwilowo. Laura uśmiecha się i odchyła na oparcie.

Z jakiegoś powodu przypomina mi się Adam, ale odsuwam tę myśl niemal natychmiast. Przez te wszystkie lata nauczyłam się układać różne sprawy w osobnych szufladkach. Rachel czy Adam, nie mam siły ani miejsca w głowie, by teraz się nimi zajmować, więc opadam na posłanie i zamykam oczy.

– Co cię gnębi, Aubrey? – Znowu wypowiada moje imię. Mam ochotę odpowiedzieć: Nie wiem, Lauro. Nie wiem, co mnie gnębi, Lauro, ale nie Adam i z pewnością nie Rachel. Jednakże nie mówię tego. Bo gdybym stwierdziła, że wiem, co mnie nie gnębi, powinnam też wiedzieć, co gnębi, a nie jestem gotowa, by w to wnikać. Nawet nie znam tej kobiety, oszczędzę jej fascynujących szczegółów.

Wzrusza ramionami, pełna zrozumienia, i mówi:

– Może na dzisiaj wystarczy.

## Rozdział 2

*Pięć dni wcześniej, 5 października 2014.*

Nadal mam na sobie strój do treningu, kiedy dzwoni Karen. Danny wyszedł dziesięć minut temu, po kawę i bajgle.

– Aubrey? – Jej głos drży i jest pełen współczucia, nawet nie śmiałybym próbować jej dorównać.

– Taaa – odpowiadam, stając przed łazienkowym lustrem. Tam przeważnie odbieram telefony. To jedyne pomieszczenie w całym mieszkaniu, gdzie można liczyć na prywatność.

– Wszystko w porządku?

– Aha.

– Nic nie powiedziałaś.

– A co niby miałam powiedzieć?

– Była twoją najlepszą przyjaciółką.

– Nie była moją najlepszą przyjaciółką.

Obie oddychamy do słuchawki. Słyszę, jak mózg mojej matki wrze, rozpaczliwie próbuje wywołać u mnie jakieś emocje.

– Cóż, mam nadzieję, że przyjedziesz do domu. Tak chyba byłoby właściwie – mówi. Biorę głęboki wdech, a potem mocno wydmuchuję powietrze w słuchawkę. Właściwie, oczywiście. Wiem. Ale od kiedy to Rachel i właściwe zachowanie idą w parze? Niemal słyszę, jak moja matka potrząsa głową i zastanawia się, jaki błąd popełniła, czemu ta dziewczyna jest taka twarda i zimna.

– Aubrey – zaczyna ponownie, a ja znowu wciągam powietrze w obrzydliwie głośny sposób, dając do zrozumienia, że moja cierpliwość jest na wyczerpaniu. – Doskonale. Tylko powiadom mnie, jeśli zmienisz zdanie. Twój pokój służy mi teraz za biuro.

Wiem, że nigdy nie spotyka się z uczniami poza szkołą, zapewne potraktowała mój pokój jako coś w rodzaju szafy na dokumenty – bezpieczną przestrzeń, w której może przeglądać swoje notatki i skierowania; jakoś jednak nie mogę pozbyć się nieprzyjemnej wizji, w której pryszczaci trzynastolatkwie paradują po mojej dawnej sypialni, a potem wracają do domu i walą konia na wspomnienie niezasałanego łóżka i mebli z białej wikliny.

– Zobaczmy – odpowiadam.

– Dobrze. Kocham cię. – Wstrzymuje oddech, zapewne czeka na odpowiedź, chociaż nie odpowiadam na to zdanie już od wielu lat. Rozłączam się i kładę telefon na brzegu umywalki. Próbuję przepędzić Rachel ze swojej głowy, ale przez cały czas czuję narastającą ciekawość. Czy naprawdę chciała umrzeć? Czy zostawiła list?

Myślę o własnych listach samobójczych. Przez te lata zebrałam sporą kolekcję: pięć różnych brudnopisów, czyli wypadła średnio jeden na rok. Nie zamierzam się rozczulać. Obiecałam sobie dawno temu – to znaczy pięć lat temu – że nigdy taka nie będę. Pięć lat, pięć gotowych listów pożegnalnych. Tak się składa, że pięć to moja ulubiona cyfra – ale to na marginesie. Od pięciu lat pracuję nad idealnym listem pożegnalnym, a tymczasem Rachel po prostu to zrobiła. To dość zabawne, o ile ktoś chciałby zagłębić się w tę sprawę, naprawdę porządnie ją przemyśleć. Ja nie mam na to czasu.

Czasami, w samotności, przepisuję jeden z tych listów – staranna i metodyczna praca, wymagająca najlepszego charakteru pisma, tego od kartek urodzinowych i podań o pracę. Zapisuję całą tę wymęczoną historię – a właściwie tę część, którą chcę opowiedzieć. Potem przypominam sobie, że zapomniałam o jakimś istotnym szczególe, jakiejś subtelnej oskarżycielskiej uwadze, zgwiatam papier w kulkę, wyrywam nową kartkę z ozdobionej monogramem papeterii i zaczynam od początku.

Trzymam je wszystkie starannie zebrane w teczce, schowanej w górnej szufladzie biurka, tak na wszelki wypadek.

Rozpuszczam włosy, przeczesuję je palcami, patrzę na siebie w lustrze. Włosy są wilgotne i posklejane po treningu, ale na razie nie mam ochoty na prysznic. Pocieram zwiniętą dłońią białą plamę na szkle. Chyba powinnam umyć lustro, ledwo coś widać zza rozmazanych smug pasty do zębów i lakieru do włosów. Zapisuję w pamięci, żeby kupić w drogerii środek do czyszczenia lusterek. Dodaję do listy: windex, papier toaletowy, ręczniki papierowe. Uzupełnianie zapasów łazienkowych to moja działka i staram się o tym pamiętać, ale czasem jednak zapominam i przypominam sobie dopiero, kiedy Danny, siedząc na kiblu, wygłasza pasywno-agresywną tyradę na temat braku papieru toaletowego.

Ale tym razem pamiętam, że mam pójść do sklepu. Zdaję sobie sprawę, że nie jest to najlepszy moment na robienie listy zakupów, biorąc pod uwagę fakt, że właśnie dowiedziałam się o śmierci najlepszej przyjaciółki – byłej najlepszej przyjaciółki – ale jakoś nie mam innego pomysłu, czym mogłabym się w tym momencie zająć.

Otwieram szerzej oczy, mrugam trzy razy, tak dla pewności. Nic. Całkiem suche. Wiedziałam. Zresztą nie przypominam sobie, kiedy ostatnio płakałam.

Typowe. Typowa Rachel. Wsadzam kciuk pod cieknące sitko, patrzę, jak krople spływają na paznokiec, i stwierdzam, że ciemnoczerwony lakier zaczyna

odpryskiwać.

Wyobrażam sobie, jak to robi, jak odlicza tabletki. Pewnie wzięła tylko sześć czy siedem, żeby dobrze wyglądało, w każdym razie nie dość, by się zabić. To byłoby tak bardzo w jej stylu – upozorować próbę samobójstwa i napawać się uwagą otoczenia. Biedna Rachel. Taka wrażliwa. Co możemy dla niej zrobić?

Szkoda, że nikomu nie zależało aż tak, by ją powstrzymać.

Mój BlackBerry leży na brzegu umywalki, alert poczty głosowej ciągle mruga.

Rachel zadzwoniła w piątek, dzień przed. Byłam z grupą znajomych w jakimś hipsterskim barze w Williamsburgu. Nie bywam na Brooklynie, rzadko wypuszczam się poza Upper East Side, więc humor już miałam mocno popsuty, a wizja rozmowy z Rachel bynajmniej go nie poprawiała. Nie odebrałam. Nie odbierałam od tamtego dnia w restauracji, ale o tym nikt nie wie. Tylko raz, właśnie wtedy, zostawiła wiadomość. A teraz maleńka koperta na ekranie kusi: no dalej. Zrób to. Naciśnij. Przyłóż mnie do ucha. Opowiem ci sekret.

Telefon nadal leży na ceramicznej obudowie umywalki, mam ochotę zatkać odpływ, odkręcić gorącą wodę i niechcący go zepchnąć. Zamykam oczy, liczę do trzech, wyobrażając sobie, jak tonie; jak tonie ostatni ślad istnienia Rachel Burns.

Raz. Wciągam powietrze przez nos.

Nie mogłam wiedzieć, że to zrobi.

Dwa.

Nie mogłam nic na to poradzić.

Trzy.

To już nie mój problem.

Patrząc, jak woda spływa z palców i zbiera się w umywalce, próbuję przypomnieć sobie nazwę lakieru.

Zawsze była słabsza ode mnie. Apodyktyczna, bez wątpienia. Ale słaba. Teraz wiem to na pewno.

Jeszcze raz pocieram pięścią lustro. Słysząc skrzypienie, szyba zaparowuje jeszcze mocniej. Próbuję nie zwracać uwagi na pulsujący ból w lewym biodrze. Tatuaż pali pod tkaniną spodenek jak świeża rana, wiem jednak, że tak naprawdę tego bólu nie ma. Wiem, że istnieje tylko w mojej głowie. Wszystko istnieje tylko w mojej głowie. I dlatego skupiam się na wycieraniu lustra.

To się chyba nazywa „bóle fantomowe”.

Zrobiliśmy tatuaż razem, ten sam wzór. Rachel właśnie skończyła osiemnaście lat, a ja sfalszowałam dowód. Pozwoliłam jej wybrać, ale pewnie i tak nie miałabym nic do gadania. Mówiła o nim „sercogram”, ale nie wiem, czy rzeczywiście istnieje taki termin, czy też sama go wymyśliła. Zawsze wymyślała różne rzeczy, gówniane nazwy, i krzyczała na mnie, że nie nadążam. „Jezu, Aub. Każdy wie, co jest sercogram”.

Czuję na skórze miejsce, w którym mnie napiętnowała. Litery R i A splecione razem w czarne serce. Pulsuje pod materiałem. Pewnie tylko w mojej głowie. Zastanawiam się, czy go nie usunąć. Ukrywam go najlepiej, jak potrafię, ale i tak zbyt często, zbyt wielu chłopakom musiałam tłumaczyć znaczenie tajemniczego sercogramu wrytego na moim lewym biodrze. Szczególnie często zdarzało się to w college'u, na początku, przed Dannym. W końcu przestałam tłumaczyć, za każdym razem historia przebiegała dokładnie w ten sam sposób.

Zaczynało się od macanek pod ścianą w jakimś zatęchłym barze z przypadkowym facetem w piątkową noc. W tym czasie zachowywałam ostrożność. Miałam sporo na koncie, ale zawsze zachowywałam kontrolę. W końcu wytaczaliśmy się na zewnątrz, zwykle prosto w śnieg lub deszcz lub śnieg z deszczem; nie wiedziałam, gdzie są znajomi i właściwie mnie to nie obchodziło. Nauczyłam się, że w takich sytuacjach nie należy liczyć na innych.

Wskakiwaliśmy do taksówki – gość zawsze znacznie bardziej pijany ode mnie, przez całą drogę do akademika ślinił się nad moimi cyckami – i szliśmy do mojego pokoju, do mojego łóżka, zawsze. Nigdy jego. W pewnym momencie zniknęła bluzka i jego uwagę natychmiast przykuwał czarny atramentowy wzór, wystający z rozpiętych dżinsów.

On: Fajny tatuaż.

Ja: Dziękuję.

On: Co znaczy?

Ja: Nic.

On: Kto to jest R.A.? Mam nadzieję, że nie jakiś facet!

A potem, przekonany o własnej oryginalności, prawdziwy romantyk w łóżku, opierał się na łokciu, uśmiechał słodko, pochylał i całował bardzo powoli.

Znikał, zanim cokolwiek się wydarzyło. Przeważnie symulowałam nagłe mdłości, wyskakiwałam z pościeli i pędziłam do łazienki. Udawałam, że rzygam do kibla, kilka razy spuszczałam wodę dla efektu, a potem uprzejmie prosiłam, żeby sobie poszedł. Zawsze działało.

Przez pięć lat atrament wyblakł, ale tatuaż nadal przywołuje wspomnienia, za każdym razem, kiedy idę do łazienki, za każdym razem, kiedy się rozbieram, kiedy staję naga przed lustrem. A teraz Rachel nie żyje i został mi tylko sercogram.

Sama nie wiem, czy jestem zazdrosna. Nie, „zazdrosna” to nieodpowiednie słowo. Ale w pewnym sensie czuję żal, że mnie uprzedziła. Samobójstwo nie jest już dla mnie żadną opcją. Wyszłoby tandetnie i melodramatycznie. Słyszę, jak mówią: Nie mogła żyć z poczuciem winy; a może nie mogła żyć bez niej; słyszałem, że zawarły pakt.

Wolałabym, by nie wiązano na zawsze mojej osoby z Rachel.

Wychodzę z łazienki, padam na sofę i czekam na Danny'ego. Siadam po turecku,

znowu wbijam wzrok w paznokcie. Próbuje nie stracić kontaktu z rzeczywistością, tą tutaj i teraz.

Spotykam się z nim od trzech lat – jest wysokim irlandzkim chłopakiem, pochodzi gdzieś spod Albany – i ani razu nie wspominałam o Rachel, o tym, jak wobec mnie postąpiła. Niewiele opowiadam o swoim życiu przed studiami, a szczególnie o kilku ostatnich miesiącach szkoły.

Poznałam Danny'ego w college'u. Oboje byliśmy na drugim roku. Widywałam go w kampusie, ale nie miałam wyrobionego zdania na jego temat. Wyglądał trochę na dupka – typowy chłopak z bractwa, w czapeczce Metsów, może grający w rugby, może nie. Jedna z tych pospolitych twarzy, które niełatwo od siebie odróżnić, jasnobrązowe krótko ścięte włosy, koszulka polo.

Trudno wyobrazić sobie mniej romantyczny początek. To było na imprezie bractwa. Nalał ciepłego piwa do mojego kubeczka jednorazowego. Gadaliśmy może przez dziesięć minut, taaa, ciepłe piwo z beczki, a następnego dnia zostawił mi wiadomość na Facebooku. Trzy tygodnie później zaczęliśmy ze sobą chodzić. Miałam mononukleozę, a on był dla mnie bardzo miły – to właściwie podsumowuje cały nasz związek. Zrezygnował z szaleństw piątkowej nocy i przyszedł do mnie z pierwszym sezonem „Zagubionych” i mrożonym jogurtem ze stołówki. Kiedy wyzdrowiałam, czułam się zobowiązana. Ale „Zagubieni” jakoś mnie nie wciągnęli, co zresztą okazało się największym problemem w naszym związku. Nigdy się z tym nie pogodził.

– Jak możesz nie przejmować się losem tych postaci? Wyspy? – pytał z niedowierzaniem.

To powinno było dać mu do myślenia.

Dwa i pół tygodnia po ataku mononukleozy byłam z powrotem na nogach, zatapiając smutki w sporych ilościach wódki z Red Bullem. Dobrze się razem bawiliśmy, Danny i ja.

Nasz związek nadal jest lekki, łatwy i przyjemny. On płaci czynsz – no, właściwie jego rodzice, przynajmniej do końca studiów – i prawie nigdy się nie kłócimy. Jest miły i dość przystojny. Nie mam powodów do narzekań, nie licząc faktu, że uparcie uprawia seks w skarpetkach.

Ale w szufladzie biurka, wciśnięte pod teczkę z listami, w których żegnam się ze światem, leżą trzy starannie skomponowane listy, w których z nim zrywam.

Słyszę klucz w zamku. Siadam prosto, próbuję zachowywać się jak gdyby nigdy nic. Wchodzi do środka, na przedramieniu trzyma tacę z kawą. Nadal nie wiem, czy powiedzieć mu o telefonie. Ale jakoś tak w środku śniadania wyrywam wnętrzości bajgłowi i mówię, całkowicie obojętnie, że ona nie żyje, że prawdopodobnie popełniła samobójstwo.

Podnosi się, wyraźnie zamierza mnie objąć.



– Nie trzeba – ostrzegam, wyciągając przed siebie ręce. – Nie byliśmy blisko. – Patrzy na mnie dziwnie, siada na brzegu sofy. – Chyba nawet nie pojedę na pogrzeb – oznajmiam. – W każdym razie nie chcę. To będzie żenada. – Nie było to do końca prawdą. Chwilę wcześniej zdecydowałam, że w tym tygodniu pojedę do domu, przynajmniej po to, by zadowolić Karen i nie wyjść na totalną chamkę. Ale co do pogrzebu, nadal nie byłam pewna. Ta część zgadzała się z prawdą.

– Zrób to, co powinnaś zrobić – mówi Danny. Unosi brew i wgryza się w bajgiel z makiem.

– Co? – Odkładam swój bajgiel na stolik i wbijam wzrok w Danny'ego. Wzrusza ramionami. – Czemu tak na mnie patrzysz?

– Nie, nic – odpowiada. – Potrząsa głową i tak jakby się uśmiecha, zawsze tak robi, kiedy nie chce mnie zdenerwować. Po chwili milczenia jednak próbuje wyjaśnić, co ma na myśli. Przy tym nie przestaje przeżuwać bajgla z serkiem kremowym. Odrażające, mam ochotę powiedzieć, żeby zamknął usta, kiedy je, ale zamiast tego czekam, aż dokończy myśl.

– Po prostu uważam, że powinnaś pójść, to wszystko. – Nie patrzy na mnie. Intensywnie gapi się na bajgiel w swojej dłoni, przeżuwa wyjątkowo starannie. – Tak będzie właściwie.

Właściwie.

– Cóż, Karen stwierdziła, że jeśli nie przyjadę, to znaczy, że jestem suką bez serca, więc chyba nie mam wyboru. – Upijam kawy, czekam, aż zaprzeczy, powie, że to niemożliwe, że nawet gdybym się starała, nigdy nie będę suką bez serca, i że zawsze mam wybór.

Ale nie mówi.

– Twoja mama w sumie ma rację.

Ściskam nos między kciukiem i placem wskazującym, zamykam oczy. W tym momencie naprawdę nie mam ochoty się z tym mierzyć. Dziewczyna jest trupem, a i tak zdołała spierdolić mi niedzielę.

Patrzę na zjedzony do połowy bajgiel.

Moim zdaniem była całkiem ładna.

No nie wiem, może. Ładna, tylko trochę pulchna.

Chwytam resztki bajgla i wkładam z powrotem do papierowej torby wraz z pozostałymi śmieciami.

Już widzę w wyobraźni pogrzeb Rachel, prawdziwy ubaw: jej matka lka nad białą trumną, młodsza siostra Chloe – teraz ma chyba coś koło szesnastu lat – pali jednego za drugim na parkingu, Jeff, ojczym, łypie na mnie pożądliwie z ciemnego kąta.

Czuję to wyraźnie. Ta niezręczna cisza, kiedy wchodzę do kościoła, wszystkie spojrzenia utkwione we mnie, jej najlepszej przyjaciółce, która ją zostawiła; i kosmiczna chmura mdlących woni: kwiaty, zbyt dużo perfum i kadzidło, to, które

palą w katolickich kościołach.

Pani Price, nasza nauczycielka z drugiej klasy, która oczywiście też tam będzie, weźmie mnie w swe kościste ramiona i powie, że wyrosłam na śliczną młodą kobietę, jaka szkoda, że nie utrzymywałam z Rachel kontaktów, może nadal by żyła. Uściski, całe mnóstwo, różnego typu. Przeciągające się, takie z jedną ręką na ramieniu, full contact. Już mam dosyć.

Ally i całej reszty bandy z Seaport oczywiście też nie zabraknie, będą tulić się do siebie w kąciku, ścisnąć i łkać, dając odrażający pokaz rozpacz, przerywając czasami tylko po to, by trzasnąć sobie focie na Instagram w idealnie dopasowanych na okazję strojach – Funeral Chic. Będzie też Eric Robbins w mundurze Marines, goście potrząsają jego ręką, dziękują za wszystko, co robi dla tego wspaniałego kraju. Na samą myśl żołądek wywraca się na drugą stronę, a gardło zaciska. Kilka razy przetykam ślinę, żeby nie wymiotować połówki pożartego bajgla.

Będzie pełne współczucia kiwanie głową. I będzie Adam.

Na pewno będzie Adam, szare oczy i niedbałe długie włosy, durna twarz, wiecznie jęczący i narzekający.

Podnoszę się, zbieram okruchy z koszulki. Danny przyciąga mnie do siebie. Moja twarz wciska się w jego pierś pod dziwnym kątem. Nos się zgina, nie mogę oddychać, mam ochotę odsunąć się od niego, ale zmuszam ciało, by rozluźniło się w jego objęciach, i udaje mi się, chociaż tylko na pięć sekund – to i tak mój rekord. *Raz. Dwa. Pachnie cedrem; trzyma swetry w starej skrzyni, stojącej koło naszego łóżka. Trzy. Cztery.* Puszczam mnie, robię krok w tył. Moje życie z Dannym jest wygodne. Bezpieczne. Spokojne. Pozwala mi zachować pozory, nie wzbudzać podejrzeń. I na samą myśl, że mam zostawić to wszystko dla pogrzebu w Long Island, wywracają mi się flaki.

Wyciągam ręce przed siebie i mówię:

– W tym mieście nie ma szans na porządny manikiur. Za dwadzieścia dolców chyba mógłby wytrzymać trochę dłużej niż tydzień.

Danny patrzy na mnie jak na wariatkę. Spoglądam na złączący lakier i przypominam sobie tytuł: *Wicked*<sup>1</sup>.

## Rozdział 3

Czy tylko ja uważam, że słowo „pogrzeb” brzmi bardzo dziwnie? Jak tryb rozkazujący od „pogrzebać”. Sam czasownik jest dziwny. Pogrzebać w uchu. Pogrzeb sobie w uchu. Pogrzeb Rachel.

Siedzę na kamiennej werandzie, cztery budynki od domu, żeby Danny mnie nie zobaczył, ukryta bezpiecznie między dwoma wielkimi domami z piaskowca, kilka kroków od York Avenue. Jest wilgotno, zbyt gorąco jak na październik, lewa skroń pulsuje bólem.

Pocieram ją dwoma palcami, w ustach trzymam papierosa. Pozwalam sobie na jeden dziennie – zwykle rano, przed pracą – tak żeby zaspokoić największy głód. Ale to już drugi. Rachel nie żyje, dzisiaj należą mi się dwa.

Danny nie wie, że palę, sama nie uważam się za palaczkę. Bo nie palę, przynajmniej tak sobie tłumaczę. Nie jestem palaczką, *nie oszukuję*. Danny sądzi, że palę tylko wtedy, kiedy jestem zestresowana albo pijana, mówi, że gdybym naprawdę paliła, musiałby ze mną zerwać. Ale wnioskując z ukradkowych spojrzeń, które rzucił mi dzisiaj zza laptopa, myślę, że jednak zmieniłby zdanie.

Telefon zadzwonił zaledwie cztery godziny temu, ale ja już widzę, co kryje się za tymi ostrożnymi uwagami, są dla mnie przejrzyste jak szkło: *Jeśli pojedziesz do domu... Kiedy zdecydujesz się, czy... Jeśli czujesz się na siłach...*

Wolałabym, żeby spytał wprost. *Jedziesz na pogrzeb, Aubrey? Chciałbym wiedzieć, żeby ułożyć własne plany.* Chyba musiałabym to uszanować. Ale dopóki nie zapyta, zamierzam celowo unikać odpowiedzi.

Robię rundkę, przez trzydzieści sekund smaruję ręce żelem antybakteryjnym, dodaję kroplę kremu, spryskuję włosy mgiełką o zapachu kokosowym i wsadzam do ust miętową gumę. Ten rytuał zwykle zabija niepożądaną woń.

Wracam do domu, przeglądam rzeczy, rozsiewając woń pinacolady, a Danny ogląda mecz Jetsów. Bielizna, prawie pusta fiolka xanaxu, kilka swetrów, za mało skarpet. Przy każdej przerwie na reklamę zaglądam do pokoju, by sprawdzić, czy przypadkiem nie wstał, żeby mnie skontrolować. Dezodorant, żel do mycia twarzy. Nie rusza się już od godziny. Może zasnął? Szczoteczka, spodnie do jogi. Wyciągam z szafy wór z brudnymi ubraniami – może przynajmniej będzie jakaś korzyść z tego wyjazdu. Jednym ruchem zgarniam do wora wszystko, co leżało na łóżku.

W łazience wysyłam z telefonu e-mail do szefa. Odkręcam prysznic, szum wody,

gwałtownie pryskającej na ścianę, tłumi dźwięk palców uderzających o klawiaturę.

Hej, Jonathan.

Chciałam cię tylko powiadomić, że z powodu śmierci kogoś w rodzinie muszę na kilka dni pojechać do domu. Przepraszam, że tak w ostatniej chwili. Odezwę się po pogrzebie, w połowie tygodnia, i dam znać, kiedy wracam do pracy.

Załączam do redakcji kronikę kryminalną z ostatniego tygodnia.

Dzięki.

Aubrey Glass

UpperEastSidePost.com

975 Lexington Avenue, czwarte piętro

Nowy Jork, NY 10 021

Łazienka wypełnia się parą.

Mam nadzieję, że mnie wywali.

Od początku wiedziałam, że to nie jest zawód dla mnie. Skupione wyłącznie na sprawach lokalnych dziennikarstwo internetowe – takie, które wymaga dużego zainteresowania obszarem, którym się zajmujesz, zamiłowania do szczegółów i spraw życia codziennego i niewiele lub zero pracy reporterskiej, może nie licząc cotygodniowego telefonu do dzielnicowego komisariatu policji.

Nie jestem reporterką. A przynajmniej się za nią nie uważam. Jestem *twórcą treści*, co nie wymaga specjalnych umiejętności, i jestem w najlepszym przypadku średnia. Moja praca polega w przeważającej części na kopiowaniu i wklejaniu komunikatów prasowych. Zawsze sądziłam, że będę pisarką, prawdziwą dziennikarką czy autorką bestsellerów, ale po college'u zdałam sobie sprawę, że nie mam o czym pisać i że nic tak naprawdę mnie nie pasjonuje. A to chyba warunek bycia dobrym pisarzem? Pasja? Tak więc, dopóki mogę korzystać z karty kredytowej taty – ofiara zadośćuczynienia, jak mówi Danny – nie przeszkadzają mi monotonia i niskie wynagrodzenie.

Moje ostatnie dzieło dla „UES Post” wyglądało następująco:

19. dzielnicowy komisariat policji zwraca uwagę mieszkańców na częste przypadki ekshibicjonizmu w autobusach, szczególnie tych jeżdżących na trasie wzdłuż Third Avenue. Ekshibicjoniści obnażają się w celu odwrócenia uwagi wybranego pasażera, w tym czasie ich współnicy okradają upatrzoną ofiarę. Nowojorska policja zaleca:

- noś zapinaną torbę, nigdy nie noś portfela w tylnej kieszeni
- unikaj zamieszania i awantur, mogą one mieć na celu odwrócenie uwagi pasażerów
- jeśli ktoś cię potrąci lub nagle zrobi się wokół ciebie tłoczno, pamiętaj, że możesz być narażony na okradzenie i/lub akt ekshibicjonizmu
- unikaj kontaktu wzrokowego z ekshibicjonistą
- jeśli ktoś cię okradnie bądź obnaży się w twojej obecności, natychmiast zawiadom kierowcę i ostrzeż pozostałych pasażerów, że

w pojeździe znajduje się złodziej/ekshibicjonista.

Moi rodzice nadal nie mogą pogodzić się z faktem, że nie zobaczą mojego nazwiska w druku. Mogą liczyć najwyżej na podpis helweticą pod rzędem guzików mediów społecznościowych.

Wkładam czarne legginsy, płaskie buty i za duży ciemnoszary sweter, łykam xanax, owijam szyję czarnym szalem i przesłaniam suche oczy Ray Banami.

Danny rzeczywiście śpi, więc zostawiam liścik na stoliku kawowym i zabieram worek z praniem. Nie jest to jeden z tych pożegnalnych listów, schowanych w szufladzie biurka, raczej stonowana wersja, w której obiecuję, że wrócę pod koniec tygodnia i proszę, by się o mnie nie martwił i uszanował moją potrzebę przestrzeni w tym jakże *trudnym* czasie.

Ręce zaczynają drżeć, serce wali. Idę w stronę Second Avenue, żeby złapać taksówkę, przeciągam ręką wzdłuż linii włosów, ocieram pot. Ludzie się gapią. Za gorąco na sweter i szal, ale czuję, że dostałam wysypki na szyi i dekolcie. Pojawia się za każdym razem, kiedy jadę do domu – czerwone plamy – i wiem, że nie ujdzie uwadze Karen: O Boże, co ci się stało? Masz alergię? Może chcesz coś antyhistaminowego? Wolę więc zakryć wszystko ubraniem niż tłumaczyć się z faktu, że na samą myśl o powrocie do domu dostaję wysypki.

A chociaż jak na październik jest idiotycznie gorąco, wiem, że kiedy dotrę do Long Island, temperatura spadnie o co najmniej dziesięć stopni. Zasysam powietrze w płuca, lecz pierś zaciska się mocno i powietrze nie może się przedostać, a na papierosa jest za późno. Nie zdążyłabym na pociąg, a poza tym wypaliłam dzisiaj już dwa. Wiem, że muszę po prostu wytrzymać, nim xanax zadziała, ukoi walenie serca i pulsowanie w czaszce. Po kilku minutach czuję, jak lek rozlewa się po moim wnętrzu, krew przestaje wrzeć, wszystko się uspokaja.

# Rozdział 4

## *Kwiecień 1997*

W okresie dorastania Rachel zawsze była tłusta. Jej małe paciorkowate oczka ginęły w pulchnej twarzy, usta wykrzywiały się w despotycznym grymasie, a ja wiedziałam, że mam się zamknąć i słuchać. Posiadała tę niezwykłą cechę, zawsze umiała sprawić, że cała moja uwaga była skupiona na niej – nawet kiedy miałyśmy po siedem lat. Poznałyśmy się w drugiej klasie, kiedy cały świat kręcił się wokół nowego albumu Spice Girls i kolejnego odcinka „Siódmego nieba” w poniedziałkowy wieczór.

Tamtego roku większość przerw spędzałyśmy w budynku szkoły, siedząc wraz z Ally Marlo przy stoliku w kształcie nerki. Był to najbardziej pożądany stolik w klasie – stał z tyłu, obok nieużywanej tablicy – ale któregoś dnia w listopadzie Rachel objęła go w posiadanie i nikt nie śmiał jej się przeciwstawić. Zresztą, właściwie nie miało to znaczenia, większość dzieciaków i tak wołała spędzać przerwy na zewnątrz.

Było to jedno ze zwyczajnych kwietniowych popołudni. Siedziałyśmy pochylone nad blokiem do rysowania, machając flamastrami i próbując przelać pomysły na papier.

Rachel siedziała pośrodku, we wgłębieniu – jej wgłębieniu.

– Zamknąć się – powiedziała.

To był rok As If, naszej niezwykle obiecującej grupy muzycznej. Rachel ujęła to najtrafniej: jeśli w piątej klasie mamy podbić świat, już teraz musimy zdobyć się na pewne ofiary. Niewychodzenie na przerwy stanowiło zasadniczy krok w naszej karierze. I tak kolejną wiosnę spędzałam w dusznej klasie, śmierdzącej poddaństwem i połamanymi kredkami.

– Cofnąć się, matyły – dodała. – Patrzcie, tak to się robi.

Żółtym flamastrzem, zaciśniętym w spoconej pięści, Rachel zaczęła rysować siebie jako liderkę grupy As If, ubraną w dwuczęściowy strój z żółtego nylonu: góra bardzo podobna do sportowego stanika, dresowe spodnie. Z rodzaju tych, co szeleszczą, aż zęby cierpną. Wszystkie miałyśmy pojawić się w takich kostiumach na okładce płyty. Patrzyłam, jak Rachel rysuje swoją sylwetkę, starannie oddając szczegóły. Zabawne, do dzisiaj pamiętam, jak znakomicie jej wygimnastykowana postać prezentowała się narysowana na papierze.

– Wygląda genialnie – stwierdziła Ally.

– Wiem – odparła Rachel. Ally pokiwała głową z podziwem, a potem

zasugerowała kolczyk w pępku.

Później tego samego dnia, kiedy siedziałyśmy na pozalekcyjnych zajęciach w bibliotece, Eric Robbins zagaił:

– Hej, Rachel, nosisz stanik? – Mówiąc to, pochylił się, próbując chwycić nieistniejącą część garderoby. Rachel zrobiła unik, jednocześnie zasłaniając klatkę piersiową i coś, co również nie istniało. To moje najwcześniejsze wspomnienie o Ericu. W tym czasie był kurdupłowatym trzecioklasistą, z piegami i szczerbą po dwóch przednich zębach.

– Zamknij się. To podkoszulka – powiedziała Ally, podciągając bluzkę Rachel na plecach. Rachel pochyliła się do przodu, zimna i obojętna.

Próbowałam ignorować te zaczepki. Przesuwałam palcami po szkarłatnym dywanie z literkami. Matka Erica zmarła jesienią na raka. Tak go zapamiętałam z tamtych czasów, mały przygłup, który stracił matkę. Pani Price powiedziała, że Eric radzi sobie ze stratą na własny sposób, i że powinniśmy okazywać mu wyrozumiałość, co oznaczało, że wiele rzeczy uchodziło mu na sucho. Może ktoś powinien był wyjaśnić mu wtedy, że powinien jednak trzymać ręce przy sobie. Może wszystko byłoby inaczej.

– Hej, Rachel – powiedział znowu Eric, raz po raz dźgając ją w ramię. W jakiejś rozpaczliwej próbie protestu nie odwróciła się. – Słyszałem, że nie jesteś dziewicą.

– Mamo – zaczęłam w samochodzie.

– Tak? – odparła obojętnie, skupiona na drodze.

– Kto to jest „dziewica”? – Zerknęła na mnie kątem oka. Przez chwilę milczała, ściskając kierownicę obiema dłońmi. W końcu westchnęła i powiedziała:

– To mieszkanka Wysp Dziewiczych.

Następnego dnia podczas przerwy śniadaniowej Rachel zwołała spotkanie.

– Gdzie jest księga? – zwróciła się do Ally, która natychmiast sięgnęła do błękitnego plecaka JanSport i wyjęła bezcenny dziennik grupy muzycznej As If.

Dla osób postronnych wyglądał on jak zwyczajny zeszyt. Ale dla wtajemniczonych, czyli członkiń As If, oznaczał coś znacznie więcej. Krył w sobie teksty do naszych dwóch przyszłych hitów, szkice kostiumów, scenografię koncertów i okładkę płyty, jak wierzyłyśmy, absolutnie nowatorską na tle kultury pop lat dziewięćdziesiątych.

– Musimy dokończyć tekst do „Kochaj mnie mocno, kochanie” – oznajmiła Rachel. Wymyśliłam ten tytuł w zeszłym tygodniu, podczas jazdy autobusem. Słuchałam uważnie, chociaż bardziej interesowało mnie, jak ukryć przed mamą nową fryzurę lalki.

Ally zaśpiewała, próbując nadać głosowi ponętny ton à la Mariah Carey:

– „Kochaj mnie mocno, kochanie. Kochaj się ze mną, wyślij mnie wprost do nieba”.

– Yes – syknęła Rachel, wyrzucając pięść w powietrze. Ally zanotowała refren okrągłym charakterem pisma. Zawsze próbowałam go naśladować, ale moje litery były uparcie chude i niechlujne.

Pochłonięta wymyślaniem piosenki, nagle poczułam, jak ktoś wbija paluchy w moje ramię. Ból był ostry i gwałtowny. Odwróciłam się, by sprawdzić, kto jest winowajcą. To był Eric Robbins, stał spokojnie, wsparty pod biodra.

– Możemy jakoś ci pomóc? – spytała Rachel.

– Masz mordę jak erekcja – powiedział, nie bardzo wiadomo, do kogo konkretnie, uznałam jednak, że do mnie, skoro to w moje ramię wbił paluchy.

– Jak co? – zapytałam. Ally przerwała pisanie, patrzyła na nas w milczeniu.

– Erekcja – powtórzył, tym razem wolniej. – Erekcja. Stercząca pyta! – wrzasnął, a potem pobiegł z powrotem do kolegów. Zgodnie wzruszyliśmy ramionami i wróciłyśmy do pracy twórczej.

Tego wieczoru przy kolacji mój pięcioletni brat Eli, zajmujący honorowe miejsce u szczytu stołu, długo marudził nad talerzem niedojedzonego steku i kartofli. Mój drugi brat, Marc, lat dziesięć, rzucał groszkiem do talerza Eliego, aż w końcu tata stracił cierpliwość i posłał obu do pokoju. Pomogłam mamie posprzątać ze stołu, nucąc pod nosem „Kochaj mnie mocno, kochanie”.

Wzięłam kubek mleka, którego nie wypiałam, i ukradkiem wylałam do zlewu. Odkryłam, że jeśli nie wypiję mleka od razu, robi się ciepłe i wydziela nieprzyjemny zapach, ale rodzice co wieczór upierali się, że mam je pić, niezależnie od woni i temperatury.

– Mamo – zagaiłam. – A co to jest „erekcja”?

Mama zamarła, westchnęła z rezygnacją i odparła:

– To słowo ma różne znaczenia. Na przykład: rozpoczęcie budowy, założenie fundacji bądź wzniesienie kościoła.

– Rozumiem – odpowiedziałam z wdzięcznością.

Następnego dnia w bibliotece usiadłam z tyłu, jeszcze nie zdążyłam zdjąć kurtki i plecaka, kiedy Rachel i Ally zajęły miejsca obok. Rachel trzymała w ręku zgniecioną kartkę.

– Dokończyłam wczoraj piosenkę i zapisałam na komputerze Jeffa – oświadczyła Rachel. Spojrzałam na kartkę i stwierdziłam, że wygląda niesamowicie profesjonalnie. – Jest genialna – dodała Rachel. – Dałam z siebie wszystko.

Nie skomentowałam aż nazbyt ewidentnego faktu, że Rachel przypisała sobie całą zasługę.

– Chcę pokazać ją pani Lotus.

– Na pewno jej się spodoba. I na pewno pozna nas z ludźmi, którzy załatwią nam kontrakt – powiedziała Ally. Pani Lotus prowadziła szkolną grupę muzyczną. My nie miałyśmy z nią zajęć, tylko czwarto- i piątoklasiści mogli należeć do zespołu, ale fakt,



że pani Lotus była tak trudno osiągalna, czynił ją tym cenniejszą dla As If. Dziewczyny, a niezaprzeczalnie w jakiejś części również ja, byłyśmy przekonane, że pani Lotus pomoże nam w drodze do sławy.

– Powinniśmy pójść teraz – powiedziała Rachel. – Pokażę piosenkę pani Price. Na pewno nam pozwoli. – Nim zdążyłam odpowiedzieć, Rachel i Ally podeszły do nauczycielki. Nagle poczułam ogromne zażenowanie – uczucie, którego drugoklasiści raczej nie doświadczają. Nie jestem pewna, czy poczułam się zażenowana wyłącznie tą sytuacją, w każdym razie za nic nie miałam ochoty w niej uczestniczyć.

Oparłam się o ścianę i udawałam, że jestem bardzo zajęta zabawą wiszącą przy plecaku piłeczką koosh.

Na porannym spotkaniu nie widziałam ani Rachel, ani Ally, ani pani Price. A kiedy asystentka nauczycielki, pani Warren, czytała wierszyk „Jeśli dasz myszce ciastko”, nie słuchałam. Zastanawiałam się, co mogą teraz robić. Może pani Price jednak pozwoliła im się spotkać z panią Lotus. Może piosenka spodobała jej się tak bardzo, że dała im wolne do końca dnia, żeby mogły przygotować się na sławę? A może są w tarapatkach? Albo gorzej, wysłano je do gabinetu dyrektora. Jakoś nie potrafiłam sobie wyobrazić, co w naszej piosence mogło wzbudzić jakiegokolwiek kontrowersje. Nie było tam ani jednego przekleństwa. Może pani Price podejrzewała, że pisałyśmy ją podczas lekcji? Nie wiedziałam, co myśleć, ale się denerwowałam. Denerwowałam się o przyjaciółki, o siebie samą i miałam straszną ochotę na ciastko.

– Ej, patrz. – Eric uniósł rękę, wysuwając środkowy palec. Chyba nawet nie znał mojego imienia. – Założę się, że nie wiesz, co to znaczy. – Po kilku sekundach wszyscy chłopcy z trzeciej klasy dźgali we mnie środkowym palcem.

Akurat zdążyłam przekonać samą siebie, że pani Price osobiście odprowadziła Rachel i Ally do sali, w której odbywają się próby zespołu, i teraz wszystkie razem siedzą tam i planują nasz wielki debiut, kiedy skrzypnęły drzwi, ciężkie drewniane drzwi.

Rachel miała spuszczoną głowę, popielatoblond włosy opadały na twarz, kryjąc zakłopotany uśmiešek. Dziewczyny usiadły na przeciwnym krańcu dywanu. Nie widziałam ich zbyt wyraźnie, więc wyciągnęłam szyję, próbując przyciągnąć ich uwagę. Chciałam wiedzieć, co się stało. Musiałam się dowiedzieć.

Ani Rachel, ani Ally nawet na mnie nie spojrzały. Już chciałam ruszyć w ich stronę, ale w tym momencie usłyszałam swoje imię. To była pani Price. Powiedziała, że mam iść za nią. Pani Warren przerwała czytanie, wszystkie dzieciaki patrzyły, jak podnoszę się i wychodzę. Kiedy mijałam Rachel i Ally, zachichotały złośliwie. Nie potrafię tego udowodnić, ale do dzisiaj jestem przekonana, że Rachel wystawiła stopę, żebym się potknęła.

Pani Price zaprowadziła mnie do sali obok, znanej uczniom jako Niebieski Pokój.

Kazała zająć miejsce przy stoliku w kształcie nerki. Usiadłam w miejscu, gdzie stół tworzył zagłębienie. Miejsce należące do Rachel. Pani Price usiadła naprzeciwko mnie, w ręku ścisnęła kartkę z tekstem do „Kochaj mnie mocno, kochanie”.

– Wygląda znajomo? – spytała, przesuwając kartkę w moją stronę. Wciąż, za każdym razem, kiedy oglądam odcinek „Prawa i porządku: sekcja specjalna”, przypomina mi się legendarne przesłuchanie w Niebieskim Pokoju. Nie odrywając rąk od kolan, zerknęłam na kartkę i kiwnęłam głową.

– Bardzo mnie rozczarowałaś – oznajmiła pani Price.

Ja? Język spuchł mi w ustach. Nie mogłam mówić, siedziałam oniemiała, milcząca.

– Rachel powiedziała, że ty to napisałaś.

Ja? Czuję się tak, jakby ktoś walnął mnie prosto w splot słoneczny. Jasne, pomyślałam, teraz okazuje się, że to moja zasługa.

– Rachel i Ally twierdzą, że ten tekst jest wyłącznie twoim dziełem. To prawda?

Mogłam się bronić, powiedzieć prawdę i tym samym położyć kres rządcom Rachel Burn, ale zamarłam.

– Przepraszam – odparłam.

– Pisanie o takich sprawach jest niezbyt odpowiednie, szczególnie w przypadku osób w wieku szkolnym.

Kiwnęłam głową.

– Przepraszam – powtórzyłam. – Proszę, niech pani nie mówi mojej mamie. – Zaserwowałam minę pod tytułem „kto?-ja?-niemożliwe!”. – Przysięgam, że to się nie powtórzy – dodałam dla efektu.

– No dobrze. Zapomnijmy o tym incydencie. Mam nadzieję, że czegoś się nauczyłaś.

Kiedy wyszłam na przerwę, Rachel i Ally stały tuż obok siebie przy huśtawce. Na mój widok znikły za zjeżdżalnią. Chwilę mi zajęło, nim odzyskałam panowanie nad sobą. W końcu podeszłam do nich, jak gdyby nigdy nic.

– Co ty tu robisz? – warknęła Rachel. Spojrzała na Ally. Znowu zachichotały – panowała między nimi ta niepokojąca harmonia, którą można spotkać jedynie w horrorach z dziwnymi dziewczynkami w rolach głównych.

– Wywinęłam się.

– Okej. To dobrze – powiedziała Rachel. I już.

Tego dnia As If nieodwołalnie zmarło. Kto wie, może pomimo faktu, że żadna z nas nie posiadała nawet odrobiny talentu muzycznego, może któregoś dnia zrobiłybyśmy wielką karierę. Gdybyśmy tylko poszły wtedy prosto do pani Lotus.

Tego wieczoru wkroczyłam do sypialni rodziców w jednoczęściowej piżamie w fioletowe kwiatki, takiej ze stópkami.

– Mamo – zaczęłam. Siedziała na łóżku, zajęta rozwiązywaniem krzyżówki.

– Tak? – spytała, nie podnosząc wzroku.

– Co to znaczy? – Wystawiłam środkowy palec, tak jak Eric na zajęciach popołudniowych.

Spojrzała na mnie znad krzyżówki.

– To znaczy – pierdol się – odparła.

# Rozdział 5

*Niedziela, 5 października 2014*

Wsiadam do pociągu o siódmej rano, zajmuję miejsce niedaleko łazienki. To jeden z tych starych pociągów, z niebiesko-czerwonymi siedzeniami, pozaklejanymi taśmą izolacyjną, bez klimatyzacji. Jak na niedzielę, jest sporo pasażerów, głównie rodziny, więc wkładam słuchawki i podkręcam dźwięk. To moja lista przebojów wścieklej białej laski: składanka utworów, od albumu „Jagged Little Pill” do kilku klasyków Tori Amos.

Jeśli nawet wcześniej nie czułam charakterystycznych objawów lęku, to czuję je teraz. Żołądek dokucza mi przez cały dzień – kwaśny mdlący skurcz jelit, nie jestem pewna, czy to śniadanie czy Rachel – tak czy inaczej przekroczyłam już zalecaną dzienną dawkę tabletek na niestrawność. Chciałabym popaść w odrętwienie, znieczulić się do chwili, kiedy zostanę sama.

Trzymam telefon w dłoni. Biała koperta miga, przypominając o nieodsłuchanej wiadomości. Zamykam oczy, ale pod powiekami tańczy miniaturowa Rachel, uwięziona w środku telefonu, drapie ściany, próbuje się wydostać i trafić prosto do mojej głowy. Może to zwykły upór, ale nie mam ochoty odsłuchać tej wiadomości. Nie zamierzam jednak jej wykasowywać. Świadomość, że ona tam jest, że jej głos leży tam, zgrabnie opakowany, złożony jak list, to dla mnie w tym momencie zbyt wiele.

Mechaniczny głos rozlega się w megafonie.

To jest pociąg do Babylon. Następna stacja: Forest Hills.

Pył opada na świat, kiedy przejeżdżamy przez Kew Gardens, czuję ucisk w gardle.

Słyszę, jak gdzieś z tyłu konduktor kasuje bilety. Wyciągam swój, nie patrząc, zaciskam powieki i zbliżam twarz do ciepłej szyby. Ktoś otwiera drzwi toalety, dociera do mnie mdlący smród: środek czyszczący i chyba wymiociny.

– Seaport, zgadza się?

Otwieram oczy, skądś znam tę twarz: błyszczące wytłuszczone policzki, przygarbiona bezkształtna sylwetka, ubrana w tradycyjny uniform pracownika kolei. Zapewne strój ma nadawać delikwentowi szykowny wygląd – a nawet wzbudzać szacunek – ale sprawia wrażenie czegoś tragicznie głupkowatego. Kiwam głową, mam nadzieję, że gość został obdarzony magicznym wzrokiem, zobaczył mój bilet z daleka i pyta tylko dla potwierdzenia.

– Aubrey, prawda?

Nie mam pojęcia, kto to jest i skąd zna moje imię.

– O, hej! O rany. No tak. Jak leci? – mówię ze zbytnim entuzjazmem w nadziei, że jeśli użyję bardzo wielu niepotrzebnych słów, gość nie zorientuje się, że nie kojarzę, kim jest. Jego twarz nabiera ostrości, możliwe, że chodziliśmy do tego samego liceum. Nie przypominam sobie imienia, możliwe, że był rok czy dwa wyżej, może nawet w klasie Marca, może z raz mieliśmy razem jakieś zajęcia.

– W porządku. Wiesz, po tym wszystkim, co zdarzyło się kilka lat temu, jakoś się pozbyrałem i w tym roku zacząłem pracować na kolei.

Pewnie ma na imię Jeff czy Gary. Jego wargi rozciągają się w zbyt szerokim uśmiechu. Zęby ma pokryte cienką warstwą osadu. Śmierdzi mu z gęby – naftalinowy odór gnijącego mięsa.

– Świetnie płacą. Świetna praca. Wszystko wreszcie się ułożyło – opowiada.

Nie mam pojęcia, o czym mówi, ale kiwam głową, uśmiecham się i udaję, że cieszę się jego szczęściem.

– A – dodaje i nagle mina mu rzednie. – Przykro mi z powodu Rachel. Byłyście blisko, prawda?

Totalnie zbija mnie z tropu. Nie spodziewałam się, że wypowie jej imię, że w ogóle je zna. Co za idiotyczny pomysł. Oczywiście, że znał Rachel. Wszyscy znali Rachel. Ale kiedy słyszę to imię, czuję się słaba, jakby moje kości za chwilę miały się rozpuścić, zaraz ześliznę się na podłogę i zmienię w kałużę ciepłych sików.

Przetykam ślinę, by opanować mdłości, prostuję plecy.

– Bliżej już się nie da – mówię. Przekrzywia głowę na bok, uśmiecha się słabo. Chyba nie wyczuł sarkazmu.

Louis. Możliwe, że ma na imię Louis.

– No to pewnie zobaczymy się na pogrzebie, co?

Wzruszam ramionami, odwzajemniam uśmiech, unikam konkretnej odpowiedzi.

– Hej – dodaje – after party naprawdę nieźle się zapowiada. Wszyscy o niczym innym nie mówią.

– After party? – powtarzam. – Pogrzebowe after party? – Uśmiecha się i wzrusza ramionami. – Chyba nie mówisz poważnie.

– No. A więc nie słyszałaś? W barze u O'Reilly'ego. Coś w rodzaju uroczystości wspomnieniowej na cześć Rachel. A przy okazji zlot absolwentów. Na pewno będzie świetnie.

Kilka rzędów dalej jakiś chłopiec wydaje przenikliwy krzyk. Starszy mężczyzna o papierowej twarzy chrząka. Frank czy Gary, czy Louis wreszcie kasuje mój bilet. Klik. Klik. Klik.

Wrywam bilet pomiędzy tłustych paluchów, chowam w portfelu. Zlot

absolwentów. Pogrzeb. After party. Ubawimy się na śmierć.

Nie mam ochoty dzwonić po Karen, żeby odebrała mnie z dworca. To tylko półtora kilometra, jednakże na samą myśl, że miałabym siedzieć z nią w samochodzie, nawet przez pięć minut, mam ochotę wskoczyć pod pociąg.

Wiatr śwista przez nieszczelne okna taksówki, światła uliczne zmieniają się w rozmazane plamy. Jedziemy bocznymi uliczkami w stronę domu – mojego byłego domu. Nieczęsto korzystam z taksówek na Long Island. Jest inaczej niż w mieście. Kierowca tak się nie spieszy, w kabinie pachnie przyjemnie, jakby miętą. Nie mam nic przeciwko.

Przeżuwam garść surowych migdałów – akurat leżały najbliżej kasy w dworcowej drogerii. To wszystko, co dzisiaj zjadłam, prócz połówki bajgla na śniadanie. W żołądku strasznie mi burczy, ale robi mi się niedobrze na samą myśl o jedzeniu.

Zajeżdżamy przed dom. Mój był dom. Drzwi są otwarte. Dom wygląda inaczej, ale nie wiem, na czym to polega. Może nowe krzaki? Sięgam po kartę kredytową.

– Tylko gotówka – mamroce kierowca, nie odwracając się.

– Poważnie? – mówię, udając, że szukam w torebce kasy, chociaż wiem, że jej tam nie ma. Zupełnie inaczej niż na Manhattanie, tutaj pięciominutowa podróż kosztuje dwadzieścia dolców. – Mógł pan uprzedzić – zaczynam, ale w tym momencie na ścieżce pojawia się Karen, ramiona trzyma blisko ciała, macha rękami. Na myśl przychodzi mi T-rex. W jednej dłoni trzyma banknot dwudziestodolarowy, podaje go kierowcy. Oto korzyści z powrotu do domu. Na razie ja straciłam osiemnaście dolarów na pociąg, a Karen dwadzieścia na taksówkę.

Jak to możliwe, żeby martwa dziewczyna generowała takie koszty?

– Chyba zeszczuplałaś – mówi śpiewnie. To pierwszy z wielu komentarzy, mimo woli ogarnia mnie satysfakcja. Karen przyciąga mnie do siebie w uścisku typu full contact, trzymam ramiona sztywno przyklejone do ciała. Z zasady się nie ściskam. – Na pewno zeszczuplałaś – dodaje, chwytając mnie za łokcie.

Moja matka jest blondynką, ma nieco ponad metr siedemdziesiąt, szczupłą budowę ciała i wystające kości policzkowe. Ja nie mam szans ani na taki wzrost, ani na taką figurę. Pomimo jej wielkich nadziei, nigdy nie zostałam cheerleaderką. Zapisała mnie na zajęcia, kiedy miałam sześć lat, ale byłam niezdarna i trochę chłopczykowata, poza tym cierpiałam na niezdiagnozowane ADHD. Pamiętam tę scenę, jak kręcę się na trawie i rzucam na ziemię, podczas gdy wszystkie małe cheerleaderki uczą się formować idealną piramidę. Karen stoi z boku z zaciśniętymi wargami, oceniając zasięg zielonych plam na moim ubraniu. Właśnie dociera do niej, że jej jedyna córeczka nigdy nie będzie tego rodzaju dziewczyną.

Z mojego szala unosi się woń starej kawy i perfum Burberry, których używa Karen. Jej włosy są mocniej wyprostowane niż zwykle, idealnie usztywnione

lakierem, zastanawiam się, czy poświęciła dodatkową godzinę na stylizację tylko z mojego powodu. Zapewnie nie.

– Ty w ogóle jesz? – pyta, kiedy maszeruję za nią w stronę domu. Potykam się o chodnikową kostkę. Patrzę na szczupłe ramiona Karen, wystające z rękawów, chude i kościste łokcie. To niesprawiedliwe. Jej nikt nigdy nie zada takiego pytania. Zawsze była szczupła, niezależnie od tego, co je i ile ćwiczy. Ale ja oczywiście musiałam odziedziczyć niski wzrost i kręłą sylwetkę ojca. Muszę ciężko nad sobą pracować. Muszę liczyć kalorie i spędzać długie godziny na siłowni, by zasłużyć na miano „ładnej, tylko trochę pulchnej”.

No tak, chodnik jest nowy.

Ramiona Karen bujają się w równym rytmie. Wchodzimy do środka.

– Dlaczego jesteś ubrana na szaro? – pyta, nie odwracając się. – Tak ci ładnie w żywych kolorach. – Na blacie stoi otwarta butelka Cabernet, sięgam po kieliszek. Na stole pali się świeca Yankee Candle – Midnighdht Storm czy może Harvest Moon, w każdym razie coś mocnego i niebieskiego. – Wiesz – dodaje Karen bez wahania – masz spuchniętą twarz. Powinnaś ograniczyć picie. – Wywracam oczami. – Rozumiesz, po ukończeniu college’u to się klasyfikuje jako alkoholizm.

Rozluźniam apaszkę na tyle, bym mogła oddychać, ale tak, żeby nie odslonić wysypki. Karen zaczyna wyciągać pojemniki z resztkami jedzenia i ustawiać je na kuchennej wyspie.

– Mam ser. Mogę ci zapiec. Jest też sałata. Może podgrzać zupę? – Nie sugerowałam, że jestem głodna, ona jednak dalej wyjmuje przegląd tygodnia. Siadam na stołku barowym, obracam w palcach kieliszek.

– Ja nie jem sera, mam – mówię. – Nietolerancja laktozy, pamiętasz?

– He? A od kiedy to?

– Od dwóch lat – odpowiadam. Nie licząc bajgla z serkiem kremowym na śniadanie. Terminu „nietolerancja” używam dość luźno. Tak, od dwóch lat świadomie unikam produktów mlecznych. I tak, wzdyma mnie po ich spożyciu. Ale czynię wyjątki – bajgiel z serkiem był wyjątkiem – nawet jeśli potem przez resztę dnia cierpię z powodu skurczu jelit. I może gdyby Karen zareagowała, może gdyby zapytała czy wykazała się zainteresowaniem dla moich ograniczeń dietetycznych, dla niej też zrobiłabym wyjątek. Ale w tej sytuacji wolę zachować się, jak na sukę przystało.

Milknie, przestaje wyjmować jedzenie, kładzie rękę na moim ramieniu. Stoi stanowczo za blisko.

– Jak się czujesz? – Przekrzywia głowę, w tym koszmarnym współczującym geście, który zwykle towarzyszy podobnym pytaniom.

– W porządku, mówiłam – odpowiadam. Bardzo powoli wciąga powietrze przez

nos, pewnie terapeuta jej tak kazał, a ona sprzedaje teraz ten trik swoim beznadziejnym uczniom. Wypuszcza powietrze przez wydęte wargi, znowu przekrzywia głowę na bok, jakby zapraszała mnie, żebym zwymiotowała flaki na podłogę. Z trudem chwytam oddech.

– Zabrałaś swoje graty z mojego pokoju?

Patrzy na mnie przez sekundę, potrząsa głową, zaczyna wkładać jedzenie do lodówki. Trzaska szufladami, chwytając leżący przede mną kawał cheddara.

– Nie zapomnij zadzwonić do ojca i powiedzieć, że wróciłaś. – Jej głos brzmi zimno, wiem, że gościnność się skończyła. Kiwam głową, chociaż wcale nie zamierzam dzwonić. Jeden rodzic w tygodniu stanowczo wystarczy.

W pokoju dziennym miga telewizor, z głośników dochodzą dramatyczne dźwięki. Wiem, że to mój brat Eli z dziewczyną, tulą się do siebie na kanapie, przykryci narzutą roboty babci. Na samą myśl o tym ogarniają mnie mdłości, więc zabieram wino i kieruję się do swojego pokoju.

Karen dotrzymała słowa, zabrała wszystkie teczki i papiery z mojego łóżka i ułożyła na bieżni. I tak nie zamierzałam trenować.

W pokoju pachnie kurzem i cytrusami, widzę w wyobraźni, jak Karen przeciera ścierką półki i każdą z osobną figurkę Precious Moments – kurz opada na drewnianą podłogę – zamiata go pod łóżko, po czym spryskuje nieużywane poduszki rozwodnionym odświeżaczem powietrza.

W moim pokoju właściwie nic się nie zmieniło. Plakat Johnny'ego Deppa z nagim torsem nadal krzywo wisi nad łóżkiem. Na sąsiedniej ścianie plakat z filmu „Klub winowajców”, który kupiłam w drugiej klasie. Widziałam ten film tylko raz, ale przez całą szkołę średnią twierdziłam, że to mój ulubiony.

Na białej wiklinowej toaletce stoją kosmetyki z Bath and Body Works i szkatułka z biżuterią, której nie otwierałam od wielu lat, ale jestem pewna, że wypełnia ją płatanina połamanych naszyjników z Claire's.

Wyciągam z szafy czarną bawełnianą sukienkę, wieszam ją na drzwiach, tak na wszelki wypadek. Nie nosiłam jej od dawna.

Ładna, tylko trochę pulchna.

Czuję, że wypadałoby ją włożyć, w razie gdybym postanowiła jednak okazać szacunek zmarłej. Wciąż nie wiem, czy pójdę, ale to dobra wymówka, żeby urwać się na tydzień z pracy, no i przynajmniej Karen oszczędzi mi głądzenia, jeśli uzna, że przyjechałam na pogrzeb.

Danny zadzwonił tylko raz od mojego wyjazdu. Zostawił wiadomość, że szanuje moją potrzebę przestrzeni, ale jeśli zmienię zdanie, wsiada w następny pociąg. Wysłuchuję wiadomość do połowy i kasuję.

Słyszę, jak Karen wchodzi do różnych pomieszczeń, otwiera i zamyka drzwi, jakby się bała, że zapomnę o jej obecności. Obracam wino w kieliszku. Mój wzrok



pada na tablicę korkową nad biurkiem.

Rachel gapi się na mnie ze zdjęcia błotniście brązowymi oczami. Wybrałyśmy się na plażę w Montauk, to było w ostatniej klasie – zanim wszystko się popsuło. Jechaliśmy ponad godzinę tylko po to, by posiedzieć na piachu, co mogłyśmy równie dobrze zrobić na plaży w Jones, zaledwie dziesięć minut od domu, ale Montauk miało w sobie coś takiego, że było warto.

Na zdjęciu leżymy wyciągnięte na fioletowej narzucie, którą zawsze wozila w samochodzie. Ja płasko na plecach, jej głowa na moim brzuchu. Trzymała aparat w górze. Selfie sprzed epoki selfie, zanim to słowo pojawiło się w Słowniku Oxfordzkim. Wyglądamy strasznie. Światło jest zbyt ostre, a połowa mojej twarzy znalazła się poza kadrem. Łapię przelotny kontakt wzrokowy z Rachel na fotografii, wyjmuję pinezki i zdjęcie spada za biurko.

Znowu sięgam po wino. Czuję ciszę, gęstniejącą w korytarzu, po którym przed chwilą krążyła Karen. Opieram się o drzwi. Wiem, że tam jest. Słyszę, jak oddycha, na pewno rozważa, czy ma zapukać czy po prostu wejść. Szarpię drzwiami. Stoi tam, usta otwierają się i układają w uśmiešku winowajcy. Otwieram drzwi szerzej, dając w ten sposób znak, żeby weszła. I wchodzi, siada na brzegu łóżka, miętoli w palcach niebieską narzutę. Próbuję udawać, że jestem zajęta, otwieram i zamykam szuflady, przeglądam pocztę.

– A więc – zaczyna – pomyślałam, że mogłybyśmy porozmawiać o Rachel. – Używa głosu psychologa szkolnego, wiem, że szykuje się do przemowy.

– A o czym tu rozmawiać? Już ci mówiłam. – Patrzę na nią w lustrze. Nadal miętoli w palcach narzutę, wzdycha, jakby chciała coś powiedzieć, zakłada nogę na nogę.

Rozrywam kopertę z zestawieniem z karty kredytowej. Nie żeby mnie to interesowało – nie ma sensu.

– Czy między wami coś zaszło? To znaczy, wiem, że minęło kilka lat. Ale Jezus, Aubrey, zachowujesz się nieco ekstremalnie jak na sytuację typu „straciłyśmy ze sobą kontakt”. – Zgina palce w powietrzu, pokazując cytat. – Nie sądzisz?

– Nie ma o czym mówić – odpowiadam i naprawdę tak uważam.

– Była twoją najlepszą przyjaciółką! – piszczy i już wiem, że straciła kontrolę nad profesjonalnym tonem. Czuję, jak moja klatka piersiowa się zaciska, mijają sekundy, myślę o wszystkich rzeczach, które mogłabym w tym momencie powiedzieć. Ale wolę tego nie robić.

– Nie była dobrym człowiekiem – mówię, odkreślając w myślach listę świństw, które Rachel kiedykolwiek zrobiła/powiedziała/pomyślała. Moja twarz wykrzywia się i czerwienieje, wiem, że muszę panować nad głosem. Karen nie ma pojęcia. I nie może się dowiedzieć. Właśnie o takich sprawach powinna rozmawiać, takimi sytuacjami uczyła się zajmować, zamiast mierzyć się z bzdurnymi dramataми typu „on powiedział, ona powiedziała”, szkolnym mobbingiem i intrygami w drużynie

cheerleaderek. Chłonełaby każde słowo, analizowała każdy mój ruch. Zadawałaby pytania, na które ja nie mam ochoty odpowiadać, na samą myśl – na myśl, że miałyby potraktować mnie jak jedną ze swoich żalonych uczennic – robi mi się niedobrze.

– Nie wiem, w jakim skrzywionym świecie żyje twój umysł – mówię – świecie, w którym Rachel była słodkim aniołkiem. Ale to nieprawda. – Widzę, jak jej twarz się marszczy, jakby zaraz miała się rozplakać, nie mogę znieść tego milczenia. – Była prawdziwą suką. – Jeszcze raz wzdycha, wstrzymuje oddech i zaczyna wyjmować ubrania z mojej walizki.

Znowu zapada cisza. Tak gęsta, że mogłabym sięgnąć ręką i ją schwycić.

– A co nowego u ciebie? Jak praca? – pyta w końcu, drżącym nieobecny głosem. Jestem pewna, że nadal myśli o Rachel.

Karen okazywała zdumiewające zainteresowanie miłosnym życiem Rachel – i w ogóle wszystkimi jej sprawami – uwielbiała pikantne dziewczynskie ploteczki, ze mną nie miałyby szans tak rozmawiać. Jestem przekonana, że sama była w młodości mocno rozrywkowa, może stąd brało się to uwielbienie. Chociaż pewnie głównie z faktu, że Rachel należała do drużyny cheerleaderek.

– Praca jest w porządku.

– Danny?

– Danny też.

– Tylko w porządku?

– Nie wiem. Dostał najlepszą ocenę na egzaminie śródsemestralnym. Naprawdę chcesz o tym słuchać?

– Świetnie. Studia prawnicze to trudna sprawa. Poza tym wszystko w porządku? No wiesz, między wami.

– Mamo.

– Przepraszam. Przepraszam – mówi. – Zostawię cię samą. – Uśmiecha się, składa ostatnią koszulkę i wstaje. – Daj znać, gdybyś chciała pogadać.

Zamyka drzwi i nagle uświadamiam sobie, że przez cały czas wstrzymywałam oddech. Siadam tam, gdzie ona siedziała przed chwilą, narzuta nadal jest ciepła od jej ciała. Raz po raz zaciskam dłonie na pościeli, aż palce zaczynają boleć, wyrzuty sumienia ściskają mi żołądek. Wcale nie chcę być suką. Chciałabym być jedną z tych dziewczyn, beztrojskich, kochających zabawę, otwartych dziewczyn, które ciągle chichoczą i przytulają się do mamy. Cheerleaderką. Dziewczyną, którą nie boi się okazywać uczuć, wdzięczności. Męczy mnie bycie sztywną pustą ludzką skorupą. Jestem wdzięczna. Jestem. Cholernie wdzięczna. Tylko że nie potrafię tego powiedzieć. Chociaż wiem, że Karen chciałyby to usłyszeć. Słowa więzną w gardle, płaczą się i owijają jak wilgotne prześcieradło wokół mojej szyi, jak pętla, zaciskająca się coraz mocniej z każdym oddechem.

Mój telefon, leżący na stoliku przy łóżku, znów zaczyna wibrować. Chwytam go,

dostrzegam, że lakier odprysnął w nowym miejscu, tam gdzie obgryzałam skórę. Przypuszczam, że to Danny, i zamierzam poczekać, aż włączy się poczta głosowa, lecz ku swemu zaskoczeniu widzę inny numer – należący do Adama.

Gapię się na telefon, buczący w zagłębieniu mojej ręki. Po co on do mnie dzwoni? Numer Adama nadal widnieje na wyświetlaczu, czekam, aż telefon przestanie wibrować, ale nie przestaje. Czego on może ode mnie chcieć? Porozmawiać o Rachel? Przekazać kondolencje? Zaproponować, że podwiezie mnie na cmentarz? Serce bije coraz szybciej, właściwie wali, tłucze się w środku klatki piersiowej, chciałabym przycisnąć pięść do mostka i je zatrzymać. Nie potrafię odpowiedzieć na pytanie, po co zadzwonił, a jednocześnie nie potrafię odpowiedzieć na pytanie, dlaczego miałby tego nie zrobić. Ale sama myśl, że mam znaleźć się w tym samym pomieszczeniu z Adamem i Rachel, wytrąca mnie z równowagi. Nawet jeśli ona będzie w trumnie.

Telefon przestaje dzwonić, serce się uspokaja, biorę telefon do ręki i patrzę nań przez jakieś trzydzieści sekund, aż na wyświetlaczu pokazuje się wiadomość. Nowa poczta głosowa. Dwie nieodsłuchane wiadomości. Rzucam telefon na łóżko i szukam w torbie xanaxu.

Kiedy podchodzę do samochodu, już oddycham normalnie. Stał beczynnym na podjeździe od wielu miesięcy, nie przypominam sobie, że bym choćby tankowała przy ostatniej wizycie. Wsadzam kluczyki w zamek i dosłownie w tym samym momencie jak na komendę w domu zapala się światło. Nie wypilałam nawet jednego kieliszka, ale jakbym już słyszała Karen: Kieruj się rozsądkiem, Aubrey. Jesteś dorosła. Nie zamierzam mówić ci, co masz robić, ale kieruj się rozsądkiem.

Wyciągam kluczyki i chowam z powrotem do torby. Nie mam ochoty wysłuchiwać dzisiaj kazań, poza tym BMW nowej dziewczyny Eliego zablokowało wyjazd. Czarny lakier lśni jak lustro, odbija światło latarni. Samochód jest nieskazitelny, niemal metaliczny w swej doskonałości, a mój biały saab z 1990 wygląda przy nim na brudny i tandetny.

Nie myłam go od lat. Nie widzę sensu, naprawdę. Jak tylko wyjadę na ulicę, znowu robi się brudny.

Powietrze stoi w miejscu, czuję zapach ogniska, płonącego gdzieś po drugiej stronie ulicy. Przesuwam palcem po czarnym lakierze i w myślach klasyfikuję jego właścicielkę – przy założeniu, że samochód należy do niej, nie do rodziców. Pewnie chodzi do jakiegoś miejscowego college'u, prawdopodobnie Nassau – tatuś przekupił ją nową błyszczącą beemwicą w zamian za rezygnację ze studiów z dala od domu. Cóż, nie poznała się na żarcie. Czesne kosztuje ich jakieś tysiąc dolarów na semestr, wykpiłi się furą za trzydzieści tysięcy, a ona utknęła w domu, w swojej dziecięcej sypialni, otoczona trofeami sportowymi i zdjęciami przyjaciół, których nie widziała od dwóch lat. Za ten samochód nie kupiłaby nawet jednego roku na prywatnej uczelni, chociaż w zamierzeniu wózek był symbolem bogactwa, znakiem: Tak,

zarabiam więcej od was. Jestem lepsza od was.

Chwytam własne odbicie na drzwiach – wydają się okrągła i przysadzista – mam nadzieję, że to tylko zniekształcone odbicie, ale stoję tam sekundę za długo, wciągam brzuch i sprawdzam, czy to coś zmieni. Nie zmienia. Ruszam w stronę domu, przyspieszam kroku. Wyjmuję telefon z torby. Kolejna wiadomość od Adama. Przykładam telefon do ucha, wciskam przycisk, stopy same niosą mnie w kierunku Riverside Drive.

– Em, hej Aubrey, to ja. – Jego głos jest niższy niż w mojej pamięci, wręcz chrapliwy. Odchrząkuje, jakby zastanawiał się, czy nadal wiem, co znaczy ten „ja”. – Dzwonię w sprawie Rachel. Przypuszczam, że przyjedziesz. W każdym razie zadzwoń, gdybyś miała ochotę. – Odtwarzam wiadomość jeszcze raz, i jeszcze, jego głos rozbrzmiewa w moich uszach. Jestem bliska odsłuchania po raz kolejny, ale nagle zdaję sobie sprawę, że skręcam w stronę jego domu.

Stoję po drugiej stronie ulicy, nie zdejmuję kaptura.

Widzę jego dom, dokładnie naprzeciwko.

Em, hej Aubrey. To ja.

Z okna na piętrze po prawej stronie sączy się łagodne żółte światło. To pokój Maxa. Przynajmniej kiedyś należał do Maxa. Wyobrażam sobie, jak Adam siedzi po turecku na granatowym dywanie, przegląda zawartość biurka zmarłego brata. Zastanawiam się, czy śmierć Rachel coś w nim wyzwoliła.

Dzwonię w sprawie Rachel.

Oczywiście śmierci Maxa nigdy oficjalnie nie uznano za samobójstwo, ale zawsze czułam, że Adam wie o Maksie więcej, niż chce powiedzieć. Może tak samo jest w przypadku Rachel.

Pomyślałem, że pewnie przyjedziesz.

Sięgam do torby po papierosa, przypominam sobie jednak, że wypaliłam dzisiaj już dwa, więc zamiast tego oddycham głęboko trzy razy i zerkam na oświetlone okno. Nie widzę żadnych cieni, sylwetek ani niczego takiego, siadam więc na krawężniku, obok kupki mokrych liści.

W każdym razie zadzwoń, jeśli chcesz.

Żał mi Adama. Chociaż sporo mnie kosztuje, by zdobyć się na współczucie po tym, co zrobił.

Wyciągam telefon, wybieram „połącz”. Odzywa się niski chrapliwy głos.

# Rozdział 6

## *Sierpień 2005*

Wcześniej był Adam. Był też Max. W pewnym sensie. Nie byliśmy parą ani nic takiego. Ale Max był pierwszy. Było to jednorazowe, dość niezręczne spotkanie, którego scenariusz obejmował materac w lesie i kubek pełen tequili. Tego lata skończyłam czternaście lat, a miesiąc później znaleziono Maxa martwego w parku Clear Pond, zwisał zaczepiony o kaptur z wysokiego na dwa metry ogrodzenia.

Każdy miał jakąś teorię na ten temat: skakał z ogrodzenia, zaczepił się i nie mógł się uwolnić, bo był zbyt pijany. Sama nie wiem, w co wierzyłam. Spotkałam go tylko raz, ale pamiętam tamten dzień ze szczegółami. Rachel przyszła, zanim się obudziłam. Przez otwarte okno słyszałam, jak gawędzi z Karen przed domem.

Tego lata Rachel spędzała u nas dużo czasu. Mieszkała z mamą, ojczymem, imieniem Jeff, i czteroletnią siostrą, Chloe. Odnosiło się wrażenie, że tę trójkę łączą ściśle więzi, a Rachel żyje na zewnątrz tego kręgu, jak jakiś wujek-pijak, co wieczór padający nieprzytomnie na kanapę. Nawet jeśli rodzice nie mówili tego wprost, wyczuwałam tę atmosferę przy każdej wizycie. Rachel była wspomnieniem błędów młodości jej matki, dodatkowym kosztem, intruzem w szczęśliwym świecie trzyosobowej rodziny. Jej życie domowe było totalnie porąbane. Nie chodziło o żadne nadużycia czy przemoc, po prostu porąbane. Matka uwielbiała Chloe, potrafiła wrócić z pracy z jedną babeczką ozdobioną jaskraworóżowym lukrem czy śliczną sukienką jak dla lalki, podczas gdy Rachel siedziała obok w ciuchach po starszej kuzynce Diane. Rachel miała też poważny problem z tatą. Nie potrzeba było terapeuty, żeby się zorientować. Ojciec zostawił ją, kiedy była bobasem, jedyną znaną jej figurą ojca był Jeff, a Jeff był dupkiem.

To popołudnie spędziłyśmy, wylegując się na wilgotnych ręcznikach na tyłach naszego domu. Ja miałam na sobie kostium jednoczęściowy, a Rachel za ciasne bikini. Trawa splaszczyla się pod ręcznikiem w niebieskie paski. Tego lata głównie pluskałyśmy się w basenie i opalałyśmy. Nigdy nie mogłam ładnie się opalić, kolor mojej skóry oscylował między oliwkowobrązowym a purpurowym.

Rachel usiadła, podciągając kolana pod brodę, jej brzuch ułożył się w grubą fałdę. Kiedy się zorientowała, przyciągnęła kolana bliżej, by to ukryć.

– Wiesz, że rodzice postanowili odesłać ją z domu? – powiedziała, wsadzając do ust kolejny kawałek gumy do żucia i ruchem głowy wskazując ogrodzenie sąsiedniej

posesji. Mieszkała tam Tonya Szaliński. Była rok starsza od nas, ale nikt by jej tyle nie dał; została w czwartej klasie, była trochę przymulona. Karen mówiła „wolno myśląca”, moim zdaniem jednak „przymulona” lepiej oddawało istotę rzeczy.

– Skąd wiesz? – spytałam. Rachel włożyła koszulkę i szorty, tego dnia krótsze niż zwykle. Były zrobione z obciętych dżinsów, pewnie lewisów Diane. Sprana dżersejowa koszulka opadała luźno z pękatego ramienia. W tym czasie Rachel była trochę tustawa. Zawsze była pulchna, ale nie w taki typowy dla otyłych dziewczyn sposób. Miała warstwę tłuszczu na twarzy, ramionach i brzuchu, ale nogi zawsze szczupłe. I zawsze domagała się uwagi, gdziekolwiek się zjawiała. Poczucia własnej wartości nigdy jej nie brakowało.

Ale tego lata, w którymś momencie, nawet nie zauważyłam kiedy, nagle zeszczuplała. Brzuch jej się spłaszczył, ale ramiona wciąż wydawały się za szerokie, a głowa za duża w stosunku do reszty ciała. No i nadal miała oponkę, widoczną, kiedy siadała w dwuczęściowym kostiumie.

Odgarnęła włosy na bok, eksponując ramiączko stanika. Z reguły niezbyt dużo tam miała, jednakże niektóre dni były jakby bardziej piersiaste. Winiłam za to Judy Blume. Jak tylko zaczęłyśmy czytać jej książki, Rachel myślała już tylko o chłopcach i cyckach. Jej ojczym Jeff też to zauważył i chyba dlatego spędzała tyle czasu z naszą rodziną. Gadał rzeczy typu: „Nieźle wyrosłaś z przodu, mała” albo: „Może daruj sobie drugi kawałek pizzy, powinnaś zgubić dziecięcy tłuszcz, masz już cycuszki”.

– Słyszałam – powiedziała, zniżając głos niemal do szeptu – słyszałam, że przyłapano ją, jak się brandzlowała ołówkiem w klasie, pani O'Brien wpadła w szal, wezwała jej rodziców, a teraz wysyłają ją do szkoły specjalnej czy coś takiego.

– Brandzlowała się? – powtórzyłam ze śmiertelną powagą.

– No wiesz, co mam na myśli – powiedziała, znowu odrzucając włosy na ramię. Tego lata włosy Rachel zrobiły się pomarańczowe. Za dużo słońca i soku z cytryny zmieniły popielaty blond w ten ohydny nienaturalny odcień rdzy.

– Ale z ciebie kłamczucha – stwierdziłam, wyciągając się na ręczniku. Chwyciłam w palce wilgotny nylon na brzuchu, strzeliłam. Spojrzałam w stronę domu Tonyi. Siedziała z tyłu na tarasie, czarne gęste włosy zwisały jej na plecach, splecione w luźny warkocz. Była niesamowicie blada. Zastanawiałam się, jak to możliwe, że jeszcze nie usmażyła się na tym słońcu.

– Nie kłamię – szepnęła Rachel. – Ally była wtedy w klasie. Wszystko widziała. – Rachel potarła obojczyk, na jej twarzy rozlał się chory uśmieszek. Kiedy opowiadała sekrety, jej stopień samozadowolenia jeszcze wzrastał.

– Nieważne. Możesz mi nie wierzyć. Chodźmy coś zrobić – powiedziała, podnosząc się z ręcznika.

– Co na przykład? – włożyłam przez głowę białą bawełnianą narzutkę, która nasiąkła wilgocią od kostiumu.

– Nie wiem. Ale mnie nudzisz.

Pacnęłam pszczołę, włożyłam klapki i wyszłyśmy na ulicę. Nienawidziłam siebie w tym momencie. Nienawidziłam tego, że pozwałam Rachel sobą rządzić – i nie mam odwagi powiedzieć, żeby się zamknęła. Że ona też mnie nudzi.

– Mogłybyśmy pójść na Bzyk i popatrzeć na skaterów – powiedziała, przeciągając słowa w marzycielskim zaśpiewie.

– Nie – odparłam, wchodząc jej w słowo. Dobrze wiedziałam, co jej chodzi po głowie. Rachel ciągle gadała o Brendonie Shaw i opowiadała, jak to Ally Marlo obmacywała się z chłopakiem w lesie koło Bzyka. Od pewnego czasu zaczęła też robić uwagi na temat mojego starszego brata Marca, machała do niego kokieteryjnie, a kiedy wychodził z pokoju, rzucała komentarze typu: „Założę się, że twój brat ma wielkiego fiuta”.

Zrobiła groźną minę.

– Nie chcę tam iść – powiedziałam, nieco bardziej marudnie, niż planowałam. Ale z Rachel już tak było, że zawsze umiała dopiąć swego. Kiedy mijaliśmy dom Szalinskih, Rachel krzyknęła:

– Tonya, odłóż to! – A potem wybuchnęła śmiechem, złapała mnie za rękę i pociągnęła w kierunku Bzyka.

Nienawidziłam tego miejsca. Była to polanka w lesie na tyłach parku Clear Pond, śmierdząca brudem i benzyną. Na ziemi leżały śmieci, kawałki szkła, ogromne korzenie – prawdziwe piekło dla kogoś w klapkach. Przede wszystkim jednak nienawidziłam tego miejsca z tego powodu, że mój brat przesiadywał tam na okrągło ze swoimi beznadziejnymi kolegami.

Szłam przed siebie, powłócząc nogami w klapkach, za każdym razem, kiedy mijaliśmy jakiś samochód, łapałam Rachel na tym, że przegląda się w szybie.

– Wiesz, że twój brat tam jest? – powiedziała, rzucając mi spojrzenie, które moja mama określiłaby mianem pościelowego.

– Jasne – odparłam. – Dlatego nie mam ochoty tam iść.

– Dlaczego? Boisz się, że każą ci palić zioło? – Wyprostowała plecy, wypychając piersi do przodu. – Wiesz, koleżanka Diane, Leslie, zrobiła tam facetowi ręką.

– Nie – potrząsnęłam głową. – Nie dbam o to, co on robi. Po prostu nie mam ochoty przebywać w jego towarzystwie. I jestem pewna, że on też nie ma ochoty przebywać w towarzystwie żadnej z nas. – Podkreśliłam ostatnie słowa, by rozwiać wszelkie złudzenia Rachel co do Marca. Marc jej nie cierpiał. Podobnie jak większość osób z jego rocznika, szczególnie dziewczyn. Rachel była flirtiarą. A dziewczyny ze średniej szkoły nie mogły znieść, że jakaś mała zdzira zabiera im facetów.

Rachel prychnęła, a ja wywróciłam oczami. Na tym etapie naszej znajomości mogłabym nakręcić film długometrażowy, złożony wyłącznie ze scen, w których Rachel prycha, a ja wywracam oczami.

– Jezu, Aub, ale z ciebie nudziara. – Dźgnęła mnie w ramię i zarechotała. Nie miałam nastroju, nawet jeśli tylko żartowała. Wsadziłam jej łokieć pod żebra i wyszłam na ulicę. Twarz Rachel skrzywiła się w grymasie zapowiadającym napad złości, ale uchwyciwszy swoje odbicie w volkswagenie, opanowała się i rzuciła:

– Jezu, tylko żartowałam. Spokojnie.

Kopnęłam kamień na pobocze, spojrzałam w stronę domu. Miałam sprawy do załatwienia. Zanim jednak zdążyłam przejść na drugą stronę ulicy, Rachel dogoniła mnie i chwyciła za łokieć.

– Czekaj – wysapała. – Kompletnie o czymś zapomniałam. Spodoba ci się.

– Co? – Poczułam ucisk w żołądku i uświadomiłam sobie, że jeszcze nic nie jadłam.

– Po pierwsze, powiedz, że jestem twoją najlepszą przyjaciółką. – Znów mówiła tym śpiewnym tonem, zaczęła płaszać dokoła jak jakiś zaburzony elf – tak jak Rachel, którą teraz widzę we wnętrzu mojego telefonu. – No powiedz! Powiedz, że jestem twoją najlepszą przyjaciółką!

– Dobra. Jesteś moją najlepszą przyjaciółką – mruknęłam. Skrzyżowałam ręce na piersi i czekałam.

Podeszła do mnie od tyłu, chwyciła za ramiona i poprowadziła na pobocze, między drzewa.

– Patrz. – Z wypłowiałej różowej torebki wyjęła paczkę cameli light. Poczułam, że język mi puchnie.

– Skąd to masz? – Paliłam tylko raz, miałam wtedy dwanaście lat. Marc podzielił się ze mną swoim papierosem w garażu, powiedziałam o tym tylko Rachel. Nawet mi się podobało. Ludzie dorastający w latach dziewięćdziesiątych byli narażeni na liczne akcje antynikotynowe. Już od przedszkola wpajano w nasze małe nieukształtowane mózgi, że palenie jest nefajne. Jest buntownicze. Brudne. Niezdrowe. Prowadzi wprost do takich okropności jak alkohol, seks i heroina. Ten, kto pali, dostanie raka i potem umrze.

– Znalazłam w szafce Jeffa – odparła. – Bierz. I nie zapominaj, że jestem twoją najlepszą przyjaciółką – powtórzyła, jakby chciała przypomnieć o tym samej sobie. Podała mi papierosa.

Wsunęła jednego między wargi, jak profesjonalistka. Między przednimi zębami miała małą przerwę. Oczywiście z Diane wypaliła już niejednego. Spojrzałam przez ramię na ulicę.

– Nikogo tam nie ma, nudziaro. – Znowu się uśmiechnęła.

Stała trochę wyżej ode mnie. Spojrzałam na pajęczynę ponad jej głową. Rachel zapaliła najpierw swojego papierosa, po jej twarzy przemknął krótki uśmiech. Zakaszła, wydmuchała dym szparą między zębami i znowu się zaciągnęła.

Kolejną zapałką zapaliła drugiego. Na mojej prawej dłoni zalśnił srebrno-



szafirowy pierścionek w kształcie drozda – dwa lata wcześniej dostałam go od mamy w prezencie i od tej pory praktycznie nie zdejmowałam. Ale w czasie upałów pierścionek wrzynał się w spuchnięty palec. Marzyłam o tym, by go zdjąć, ale nie miałam przy sobie torebki. W nozdrza uderzył mnie zapach siarki. Starłam się zachowywać swobodnie, bardzo chciałam wypaść lepiej od Rachel. Zaciągnęłam się i natychmiast zaczęłam kaszleć, a papieros wypadł mi na ziemię.

Rachel dopaliła i wyjęła z torebki butelkę tanich perfum. Pachniały jak talk dla niemowląt macerowany w occie. Spryskała włosy i koszulkę. Kiedy ruszyliśmy przed siebie, nadal czułam na palcach zapach dymu i kręciło mi się w głowie.

Wtedy ich zobaczyliśmy. Max i jego koledzy stali między drzewami, niedaleko Bzyka. Polana znajdowała się na dwuakrowym, należącym do państwa zalesionym terenie, który graniczył z parkiem. Rachel dała mi kuksańca w bok, nie odrywając od nich oczu. Już nas zauważyli, zatrzymali się na zarośniętym trawą pasie między lasem a ulicą. Bzyk otaczało wysokie ogrodzenie z siatki, wisiała na nim krzywa tabliczka z napisem „Zakaz wstępu”. Ale po lewej stronie od tabliczki widniała dziura, akurat takiej wielkości, by mogło przejść przez nią dziecko, jakby ktoś specjalnie wyciął siatkę w tym miejscu.

– Panie również wchodzą do środka? – spytał Max, rycerskim ruchem przytrzymując siatkę.

Rachel spojrzała na mnie zmrużonymi oczami. Wzruszyłam ramionami. Przelazliśmy na drugą stronę i ruszyliśmy w głąb lasu.

Po raz pierwszy w życiu piłam alkohol, wyraźnie pamiętam ten pierwszy łyk tequili z metalowego kubka na kawę. Ciecz o posmaku rdzy przeleciała przez mój przełyk i zapłonęła jak siarka w głębi piersi.

Rachel rozłożyła się na plecach jak rozgwiazda, zajmując cały środek materaca. Wypiła tylko kilka łyków, mniej niż ja, ale zwijała się w głupkowatym histerycznym chichocie.

– O Jezu – wybełkotała, wyginając plecy w łuk. – Jestem pijana. – Max Sullivan i dwaj starsi chłopacy wyszczerzyli się do siebie, a Rachel dalej wiła się i wyginała. – Aub, jest świetnie. – Pochyliła się i dmuchnęła mi w szyję dymem.

– Dobrze się bawicie? – spytał jeden ze starszych chłopaków. Nigdzie nie widziałam Marca i nie rozpoznawałam w tych facetach żadnego z jego kolegów. Czułam ulgę. A Rachel chyba o nim zapomniała.

– Niesamowicie – powiedziała Rachel.

Wywróciłam oczami i nagle uchwyciłam spojrzenie Maxa. Odwróciłam wzrok, znowu łyknęłam tequili. Za każdym razem, czując ciepły płyn na wargach, wstrząsałam się i krzywiłam. I z całych sił próbowałam zachowywać się jak gdyby nigdy nic.

Czubkiem języka zwinęłam miętową gumę w kulkę na przednich zębach. Straciła

prawie cały smak, zaczynała przypominać zardzewiały klucz o lekko miętowym aromacie. Wyplułam ją na ziemię i zaciągnęłam się papierosem jednego z chłopaków. Smuga fioletowego dymu uniosła się nad moją głową. Opadłam bezwładnie na materac.

Słońce wisiało nisko na niebie, ale nadal rozświetlało miedzianą ziemię stłumionym pomarańczowym blaskiem. Był dopiero sierpień, ale wszędzie dokoła leżały suche liście, zwinięte i skurczone jak resztki wygasłego ogniska.

– Mówił ci ktoś, że masz niesamowite zielone oczy? – spytał Max, pochylając się nade mną.

Uniosłam się na łokciu i odsunęłam trochę, ale on uznał wolną przestrzeń za zaproszenie i przysunął się bliżej.

– Dzięki – powiedziałam. Wisiał tuż nade mną.

– I podoba mi się twój pierścionek – dodał, muskając moją dłoń czubkami palców. Potem zbliżył ją do twarzy i spytał: – Co to jest? – Przesuwał palcami po pierścionku. Próbowałam się uśmiechnąć, ale czułam, jak ręka mi drży.

– Drozd – odparłam. – Chyba. – Chociaż przecież dobrze wiedziałam.

– Tak jak z tej książki?

– Nie. W sumie to nie wiem, co ma oznaczać. Babcia dała mi na komunię.

– O, katoliczka – prychnął. – Kiepsko. Podobała mi się ta książka<sup>2</sup>. No i kiepsko, bo wiesz, co mówią o katoliczkach. – Popatrzył na mnie twardym nieruchomym wzrokiem. – Hej – dodał. – Wiesz, jaka jest moja ulubiona książka?

Pokręciłam głową. Nie mogłam przełknąć, czułam, jak alkohol rozlewa się po moim ciele. Pochylił się i wyszeptał mi do ucha:

– Tequila drozda.

Tequila drozda. Książka z przepisami na koktajle. Wyplułam rdzawą ciecz i zaśmiałam się niepewnie. Linie dokoła jego oczu zmiękły i pomarszczyły się. Zęby błysnęły w uśmiechu. A potem pochylił się i pocałował mnie. Jego język znalazł się w moich ustach – mokry i komiczny.

O zmierzchu powlokłam się do domu, sama. Rachel została z Chłopakami. Spędziłyśmy z nimi dwie godziny i już byli Chłopakami. Zabawne, ale miałyśmy nigdy więcej się z nimi nie spotkać.

Piłka odbiła się o podjazd przy jednym z domów, cała ulica pachniała słodkim dymem z grilla. Patrzyłam na szpary w chodniku, omijałam je i ćwiczyłam chodzenie w prostej linii, pięta do palców, w razie gdyby za rogiem czyhali policjanci, którzy zatrzymają mnie i pytają, czy jestem trzeźwa. To przyzwyczajenie miało pozostać ze mną na lata.

Kiedy zobaczyłam cadillaca Karen na podjeździe, ścisnęło mnie w gardle. Nasz dom był piętrowy, pokryty białym winylowym sidingiem, nie pasował do tych wszystkich wielkich budynków na naszej ulicy.

Zbliżyłam dłoń do twarzy, dmuchnęłam gorącym powietrzem, wciągnęłam je w nozdrza. Byłam przekonana, że Karen od razu wyczuje woń tequili i papierosów, więc podeszłam od tyłu do domu Tanyi i zajrzałam za ogrodzenie.

– Hej, Ton – zagałam. Nie wiem, dlaczego tak ją nazwałam. Chyba nigdy tak się do niej nie zwracałam. Ani nikt inny. Ale jakoś tak pasowało. Byłam zalana i mi pasowało. – Co porabiasz?

– Maluję muszle – odparła tak rzeczowym tonem, że poczułam się jak debilka.

– A – powiedziałam. Puste miejsca między oczkami siatki zaczęły migać jak w kalejdoskopie. Wsunęłam palce w jeden z otworów. Tanya podeszła bliżej. Teraz wydawała się jeszcze bledsza, miała za to niesamowite niebieskie oczy – dosłownie turkusowe.

– Hej – powiedziała, wyraźnie zdziwiona. Nie rozmawialiśmy od wielu lat, chociaż mieszkała zaledwie kilka kroków ode mnie. – Masz ładny pierścionek. To drozd?

– Zgadza się – odparłam, po czym zdjęłam pierścionek i podałam jej na dłoni. – Masz, możesz go wziąć.

Wzięła pierścionek, wsunęła na palec, uśmiechnęła się i wróciła do swoich muszli.

# Rozdział 7

*Niedziela, 5 października 2014*

– Aubrey? – Głos Adama całkowicie mnie zaskakuje. Połykam oddech, żeby nie usłyszał. Głos jest głębszy, niż się spodziewałam, mimo że odsłuchałam wiadomość na poczcie. Milczę, nie mogę wydusić słowa. Jakaś część mnie chciałaby odpowiedzieć, inna część chce krzyczeć do słuchawki, aż do zachrypnięcia. Najbardziej jednak chciałabym się rozłączyć i pobiec przed siebie. Próbuję nie zapominać, dlaczego oddzwoniłam, ale argumenty krążą luźno w mojej głowie, od wstrzymywania oddechu zaczyna mi się robić słabo.

– Halo?

Tak prosto byłoby odpowiedzieć, otworzyć usta, poprosić, żeby wyszedł przed dom, porozmawialibyśmy, może wszystko sobie wyjaśnili. Może to jest klucz – po prostu porozmawiać. Nagle uświadamiam sobie, że nawet nie wiem, jak on teraz wygląda. Nadal widzę w pamięci nieśmiałego patykowatego chłopca z ciemnymi włosami, w bluzie na suwak z kapturem, stojącego na rogu ulicy. W takich chwilach żałuję, że nie jestem na Facebooku.

– Halo – powtarza. A potem połączenie się urywa. Pokój Maxa pogrąża się w ciemności, a mnie ogarnia panika. Chwytam torbę, naciągam kaptur i ruszam szybkim marszem.

Idę, po prostu idę przed siebie i w końcu ląduję przed Sea-port Dinner. Wygląda na to, że prawie nie ma ludzi, więc wchodzę przez drzwi obrotowe i siadam w jednym z boksów w głębi. Przy okrągłym stole siedzi jakaś rodzina, w kolejnym boksie grupa nastolatków, poza tym nikogo. Czuję ulgę. Nie mam ochoty z nikim się spotykać. Dosyć mam czkawki z przeszłości, starczy co najmniej na rok.

A jednak raz po raz sprawdzam telefon. Adam nie oddzwonił, jakaś część mnie chciałaby, żeby napisał esemesa. Dzięki temu zyskałabym kontrolę, bardzo jej teraz potrzebuję. Zresztą nigdy nie lubiłam gadać przez telefon, nie rozumiem, czemu to jeszcze nie wyszło z mody.

Do stolika podchodzi gruba w pasie kelnerka, nagle zdaję sobie sprawę, że ją znam, ale jest za późno, już mnie zobaczyła.

– O, cześć – mówi. Zmuszam się do uśmiechu. – Jak leci?

– Melanie, cześć – odpowiadam. Włosy nosi spięte w luźny koczek, policzki ma pulchne i czerwone.

– Co u ciebie? – pyta. Chyba muszę odpowiedzieć.

– W porządku.

– Słyszałam, że mieszkasz w Nowym Jorku. To takie ekscytujące. – Przeciąga słowa w taki rozmarzony sposób, który sprawia, że czuję się jak wydrążona.

– Nic specjalnego – mówię. Udaję, że czytam menu, chociaż już wiem, co zamówię. Czuję jej obecność, zbyt blisko, gorący oddech o woni sosu bolońskiego wypełnia powietrze.

– Spotkasz się z dziewczynami? – pyta, spoglądając na drzwi wejściowe, jakby w każdej chwili miała zjawić się w nich szkolna paczka.

– Jakimi dziewczynami?

– No wiesz. – Uśmiecha się. Nerwowo. Z jakiegoś powodu budzi mój niepokój. – Z tymi. – Macha ramionami i wykonuje kilka niby tanecznych kroków. Wiem, że ma na myśli Rachel, Ally i całą resztę, ale tylko wzruszam ramionami i znowu gapię się w menu. Nie mam ochoty tłumaczyć, że nie widziałam „dziewczyn” od lat, a Rachel nie żyje, w razie gdyby to do ciebie nie dotarło. I mimo twoich wyobrażeń nie mam grupy przyjaciółek, z którymi spotykałabym się na wieczornych wypadach. Prawdopodobnie obie jesteśmy równie samotne.

– Nie – odpowiadam.

Wygląda na rozczarowaną. Nagle przypominam sobie, kiedy ostatnio jadłam obiad w tego rodzaju restauracji. To było z Rachel. Wtedy widziałam ją po raz ostatni.

– Mogę prosić kieliszek czerwonego wina? – mówię. – Coś najtańszego.

– Jasne – odpowiada. – A mogę zobaczyć twój dowód? – Patrzę na nią i uświadamiam sobie, że po raz pierwszy tego wieczoru spojrzałam komuś prosto w oczy. Jest różowa i spocona, łyka powietrze otwartymi ustami.

– Mówisz poważnie? – pytam. – Wiesz przecież, ile mam lat.

Przekrzywia głowę, nie wiem, czy czuje się zakłopotana, czy też rozkoszuje się nagłą zmianą władzy.

– Takie tu obowiązują przepisy – odpowiada. Ostentacyjnie szukam w torbie dokumentów, w końcu podaję jej prawo jazdy, naśladuję samą siebie na fotografii, ustawienie głowy, identyczny uśmiech. W końcu rzuca bombę na R.

– Fatalna sprawa z Rachel – mówi, zniżając głos o oktawę. – Była świetną dziewczyną.

Świetną dziewczyną.

Rzucam prawo jazdy na stół.

– Czy ona przypadkiem nie mówiła na ciebie „Melony”? – mówię. To było w czwartej klasie, Rachel rozpięła stanik Melanie w szatni pełnej dziewczyn. Nazywała ją Melony jeszcze w gimnazjum.

– To było dawno temu – odpowiada i przelyka ślinę. Bierze moje prawo jazdy do

ręki, przygląda mu się dziwnie długo, bransoletki podzwaniają wokół jej tłustego nadgarstka. W końcu oddaje mi dokument, znowu przelyka, mówi: – Pewnie widzimy się na imprezie?

Zaczynam stukać w przyciski telefonu, udaję, że piszę esemesa, chociaż wcale nie mam do kogo.

– Nie sędzę.

Przynosi wino – w plastikowym kubku – niemal rzuca nim o stół i odwraca się do mnie plecami. Patrząc, jak godnym krokiem podchodzi do innej kelnerki i szepcze jej coś do ucha.

Wypijam wino dwoma haustami, rzucam na stół dziesięć dolarów i wychodzę.

Samochód nowej dziewczyny mojego brata nadal stoi na podjeździe. Wślizguję się do środka tylnym wejściem i idę prosto do kuchni. Chwytam swoje odbicie w oknie nad zlewem – czerwone policzki, fioletowe usta.

Otwieram szafkę i nagle mój zoładek ląduje na podłodze, wszystko zamiera. Stoją tam, na najniższej półce, dwa rzędy po pięć.

Wszystko smakuje lepiej ze słoika do przetworów typu Mason.

Całkiem o nich zapomniałam. Zapomniałam, jak pewnego zimowego ranka Adam przyniósł je w wielkim białym pudle. Piłam z nich przez całą szkołę średnią – na długo przed Pinterestem, hipsterami i gastropubami. Słoiki do przetworów były wtedy moją obsesją, ale teraz, kiedy widzę je tutaj, w tej kuchni, nagle ściska mnie w gardle i mam ochotę zwymiotować na podłogę.

Wchodzę do pokoju dziennego, zapominając, że Eli nadal zabawia swoją przyjaciółkę. Na mój widok dziewczyna podnosi się, jakby przez cały czas czekała na to spotkanie.

– Hejjj, Ołbry, jestem Ashley. – Ma tak wyraźny lokalny akcent, że aż nieprawdziwy. – Miło cię poznać.

Ledwo na nią zerkam, ale dostrzegam, że ma rude włosy, tak jak Eli, i nosi bluzę z logo miejscowej uczelni w Nassau.

– Cześć – odpowiadam i kiwam głową w stronę Eliego, który leży wyciągnięty na kanapie, chyba nieźle upalony.

– Gdzie byłaś? Mama zadawała setki pytań.

– Niby jakich?

Przybiera minę Karen.

– Dokąd poszła twoja siostra? Rozmawiałeś już z siostrą? Co jest nie tak z twoją siostrą? Czemu twoja siostra tak dziwnie się zachowuje? No wiesz. Typowe.

Ashley śmieje się niepewnie, ale zaraz uświadamia sobie, że mnie wcale nie jest do śmiechu.

Wzruszam ramionami.

– Wyszłam.

Eli kiwa głową i siada, bosc nogi stawia na dywanie.

– Spotkałem Adama – mówi od niechcienia, a ja znowu wstrzymuję oddech.

– Co? Kiedy?

Sięga do torby z naczosami, wsadza pełną garść do ust, ociera rękę o spodenki.

– Dzisiaj, w bajglach – mówi z ustami pełnymi naczosów, plując naczosowym pyłem.

– Co mówił?

Ashley spogląda to na niego, to na mnie, jakby oczekiwała, że któreś z nas wyjaśni jej, kto to jest Adam, ale ja tylko patrzę na Elię i czekam na odpowiedź.

Eli przetyka i w końcu mówi:

– Nie wiem. Spytał tylko, czy slyszalem o Rachel.

– Pytał o mnie?

W tym momencie Ashley wtrąca:

– Jakie to smutne. Slyszalam, że to była wspaniała dziewczyna. – Chwytam się na tym, że moja twarz przybiera szydrczy wyraz, ale jest za późno, Ashley robi zakłopotaną minę, ale nie mam czasu tym się zajmować, uśmiecham się paskudnie i ruszam w kierunku swojego pokoju.

Wspaniała dziewczyna.

# Rozdział 8

## *Sierpień 2005*

Ciało Maxa znaleziono dokładnie miesiąc po naszym pocałunku. Był to mój pierwszy i wówczas jedyny pocałunek. Wtedy po raz ostatni widziałam Maxa żywego.

Od tamtego dnia nie byliśmy z Rachel na Bzyku. Tłumaczyła, że nie ma ochoty na towarzystwo, nie chce wyjść na zdesperowaną i niedojrzałą. Ale przypuszczam, że jedna ze starszych dziewczyn kazała jej trzymać się z daleka – albo to, albo nie chciała się przyznać, że ten cały Jason do niej nie zadzwonił.

Tego ranka, kiedy go znaleźli, w delikatesach było raczej pusto. W drzwiach uderzył nas zimny podmuch. Na wysokim i pewnie niewygodnym stolku w kasie siedziała dziewczyna z klasy Marca. Kiedyś chyba ze sobą chodzili. Posłałam jej sztuczny uśmiech. Zauważyłam, że oczy ma czerwone i wodniste, jakby płakała. Rachel zaczęła przeglądać „Cosmopolitan”, a ja postawiłam na taśmie napój truskawkowy.

– To wszystko? – zapytała dziewczyna, żując gumę. Przytaknęłam. Przejechała kodem kreskowym pod skanerem, ale bez skutku. Przejechała jeszcze raz, obdarzyła mnie poirytowanym uśmiechem i poszła po kierownika.

– Hej – szepnęła Rachel, kiedy dziewczyna znikła z naszego pola widzenia. – Jak myślisz, odważę się to buchnąć? – spytała, biorąc do ręki garść lizaków.

– Zwariowałaś?

Uniosła brwi w tym swoim rejczelowym stylu i wrzuciła lizaki do kieszeni. W tym samym momencie zza półki z sokiem ananasowym wynurzył się właściciel. Twarz Rachel skamieniała.

– Hej, dziewczyny – rzucił. Stanął za kasą i zaczął wstukiwać cyferki. – Przepraszam za utrudnienia – dodał, podając mi napój. Rachel stała za mną zeszywniała, przyciskając dłonie do spodenek. Kasjerka wróciła, ocierając oczy rękawem.

Spojrzałam na Rachel, a ona wzruszyła ramionami.

– Pewnie słyszałaś o Maksie, Lex? – usłyszałyśmy głos za plecami. To był chłopak z klasy Marca. Położył na taśmie torbę chipsów i puszkę coli. Chyba miał na imię Pete. Mówił do płaczącej kasjerki, która przeciągnęła chipsy pod czytnikiem, potrząsnęła głową i znów otarła oczy. Teraz zwrócił się do nas: – Znałyście Maxa Sullivana?



Wiecie, że znaleziono go dzisiaj martwego? Przypuszczają, że to było samobójstwo.

Jego imię na chwilę zawisło na moim języku, w głowie, jakbym nie mogła go skojarzyć, jakby był jakimś idolem z dawnych czasów, którego plakaty zdobiły niegdyś ściany mojego pokoju.

– W parku.

Wyszliśmy na Jackson Avenue. W powietrzu wisiał zapach spalin i perfum. Od upału bolał mnie każdy fragment ciała.

– Mało brakowało – powiedziała Rachel. Gapiłam się na popękany chodnik. Wyjęła lizaki z kieszeni i wsadziła je do torebki. – Niesamowite, co? Nie mogę uwierzyć, że Max nie żyje – dodała, niemal jednym tchem. – Macałaś się z nim, pamiętasz?

Wiadomość walnęła we mnie z głuchym hukiem. Świat wirował w upale, rozmazywał się, ja też się rozmazywałam, wszystko było niewyraźne: głos Rachel, śmierć Maxa, mój drugi papieros. Stałam z Rachel na gorącym asfalcie, oszołomiona słońcem, wiadomością i strachem. To było jak sen, ciemny i otępiający.

– Jezu, Aub – powiedziała Rachel. – Musisz się naprawdę fatalnie całować.

Postanowiłyśmy pójść na czuwanie. Siadłyśmy z tyłu, w czarnych jedwabnych apaszkach, które zwinęłyśmy Karen; Rachel zawsze miała upodobanie do dramatycznych efektów. Czułam się trochę nie na miejscu, ale chyba przyszło całe miasto. Ciało Maxa leżało w otwartej trumnie, piegi przykrywała warstwa ciastowatego podkładu, czarne włosy zaczesano do tyłu. Rodzina postanowiła pochować go w smokingu, który miał na sobie podczas balu maturalnego. To pewnie była największa uroczystość w jego życiu – aż do pogrzebu. Kurewsko przygnębiające. Podniesiony kołnierzyk zakrywał ślady na szyi.

Podeszłam do trumny, zrobiłam znak krzyża. Wyobraziłam sobie, jak odsuwam kołnierzyk na bok i muskam palcami sińce, białą piegowatą skórę, aż do złotego krzyżyka na nieruchomej piersi. Nie mogłam sobie przypomnieć, jakiego koloru miał oczy.

Młodszy Sullivan – tak go wtedy nazywaliśmy – był naszym rówieśnikiem. Chodził do katolickiej szkoły, więc za wiele o nim nie wiedzieliśmy. A właściwie nie wiedzieliśmy o nim nic poza tym, że jest młodszym bratem Maxa. Stał z tyłu pod ścianą, twarz miał jak z kamienia, spod za krótkich spodni od garnituru wystawały czarne skarpetki. Chyba nikt nigdy nie ma czasu kupić garnituru na pogrzeb. Nie odrywał oczu od trumny. Wokół ciała leżały biało-zielone wiązanki – w barwach naszej szkoły.

Pogrzeb to jedyna okazja, kiedy wypada dać facetowi kwiaty. Kobietom daje się kwiaty nieustannie – na pierwszych randkach, przy urodzeniu dziecka, na ślubie. Są symbolem miłości, podkreślającym każde ważne wydarzenie, aż do śmierci, a nawet później, kiedy już się leży w ziemi. To jedyny podarunek, który można ofiarować

trupowi i ludzie robią to namiętnie. Dlatego nigdy nie rozumiałam facetów, którzy dają kwiaty na pierwszej randce – jakby mówili w ten sposób: „Hej, nic o tobie nie wiem, ale wszyscy kochają kwiaty. Nawet zmarli!”

Patrzyłam, jak ciotki i wujowie podchodzą do ocalałego brata – panie wybierały opcję przedłużonego uścisku, panowie ograniczali się do wymuszonego klepięcia w ramię. Ale przez cały czas ręce chłopaka zwisały bezwładnie wzdłuż ciała, wzrok był pusty i nieobecny. Kiedy zostawał sam, sięgał do kieszeni, grzebał w niej przez chwilę, ocierając nadgarstkiem o tkaninę spodni.

Dopiero po jakimś czasie zauważyłam Tonyę, siedzącą z mamą w głębi pokoju. Zmrużyłam oczy, próbowałam dojrzeć, czy nosi mój pierścionek. Niewielka część mnie chciała go odzyskać. Nie dlatego, że go żałowałam, ale dlatego, że Karen już kilka razy pytała, gdzie się podział. Nie miałam ochoty tłumaczyć, że oddałam go po pijaku Tonyi Szalinski.

Zaczęłam szukać wzrokiem Rachel i zobaczyłam, że młodszy Sullivan wymyka się na zewnątrz. Ruszyłam za nim, licząc na to, że może znajdę Rachel przed domem, zapewne palącą papierosa w towarzystwie któregoś z kolegów Maxa, ale kiedy zamknęłam za sobą drzwi, okazało się, że jest tam tylko Adam. Stał oparty o ganek, na mój widok oderwał się od balustrady, biała odłóżająca farba zostawiła ślad na granatowej marynarce. Rachel nigdzie nie było widać. A ja stałam twarzą w twarz z bratem zmarłego chłopaka. Nie miałam wyboru, musiałam zagadać.

– Cześć – zaczęłam.

Jego pierś uniosła się, jakby zamierzał coś powiedzieć, ale niemal natychmiast opadła. Znowu przygarbił ramiona.

– Przykro mi z powodu twojego brata – powiedziałam.

Jego szczęki zacisnęły się, zamykając słowa w środku, zarysowały się mięśnie tuż pod uszami. Zimne szare oczy minęły mnie i zapatrzyły się na ćmy krążące wokół świateł na czujnik ruchu.

– Ty też idziesz w tym roku do nowej szkoły? – zapytałam. Czułam się strasznie. – Wybrałeś Seaport czy St. Christopher’s?

Znowu wziął głęboki wdech i znowu zmienił zdanie.

– Słuchaj – dodałam. – Nie musisz nic mówić. Ale naprawdę jest mi przykro i gdybyś chciał z kimś pogadać, mieszkam tu, niedaleko. – Wyciągnęłam rękę w kierunku swojej ulicy, niezbyt konkretna informacja, to był gest i wystarczył.

Pierwszego dnia szkoły młodszy Sullivan stał na rogu ulicy, w niebieskiej bluzie na suwak, która zwisała na jego chudym ciele, workowaty plecak zarzucił na ramię. Był nieśmiały, z zakłopotanym półuśmiechem niezgrabnym ruchem unióś rękę na powitanie. Miał czarne potargane włosy, skórę i wargi w sinawym odcieniu, jakby za długo przebywał na mrozie.

– Pomyślałem, że może przyda ci się towarzystwo w drodze do

szkoły – powiedział. W niczym nie przypominał milczącego załamane go chłopaka, którego poznałam tydzień wcześniej.

I tak to się zaczęło. Adam i ja. I przez te wszystkie lata nawet nie wiedział, że całowałam się z jego bratem.

## Rozdział 9

*Poniedziałek, 6 października 2014.*

Przykro mi z powodu twojej straty.

Odpowiedź od Jonathana przyszła rano. Minęła niemal doba, ale wcześniej pewnie i tak nie sprawdzałabym poczty. Niczego więcej się nie spodziewałam. W mailach jest równie obojętny, jak w sprawowaniu funkcji kierownika, nie mam nic przeciwko, przynajmniej w tym przypadku. Ale przeważnie bywa to bardzo frustrujące. Przez pięć minut obmyślam treść maila, dopracowuję szczegóły, dbam o to, by posłużyć się odpowiednią dawką profesjonalizmu z niewielkim dodatkiem niezobowiązującego tonu – by nie wypaść zbyt gorliwie. Ale niezależnie od tego, czy wysmaruję list na pięćset słów, czy zadam proste pytanie, on niezmiennie odpowie autorytatywnym zdaniem, liczącym jedno, dwa, czy jak w przypadku: „Przykro mi z powodu twojej straty”, pięć słów.

Jonathan żywi zamilowanie do pasywno-agresywnych wypowiedzi. Nawet ta jest totalnie protekcyjna. To duży facet, z szeroką klatą, łysiejący, zawsze w czapeczce bejsbolowej. Gdybym go mniej znała, określiłabym go mianem wesołego człowieka, jednak ton i kropka na końcu zdania budzą grozę.

Ja: Hej, Jonatan! Chciałam ci tylko przekazać, że popracowałam dłużej, żeby przygotować artykuł o pożarze na Third Avenue. Wydaje mi się, że nieźle wyszło – biorąc pod uwagę deadline. Załączam. Daj znać, co o tym myślisz i czy mam zrobić coś jeszcze. Z przyjemnością znowu zostanę dłużej w pracy!

Jonathan: Dzięki.

Ja: Hej, Jonathan! Bardzo mi przykro, ale nie skończę dzisiaj tego artykułu. Mam grypę, muszę jechać do domu. Daj znać, czy nie masz nic przeciwko. Jeszcze raz: przepraszam.

Jonathan: Zdrowiej szybko.

Ja: Hej. Spójrz na artykuł o złodzieju psów. Daj znać, czy się nadaje.

Jonathan: Postaraj się bardziej.

Budzę się wcześnie. W końcu to zwykły dzień, widocznie moje ciało jest nastawione na pobudkę o siódmej. Ale nie ubieram się. To pozytywna strona mojego pobytu w tym miejscu. Zostaję w spodniach do jogi, na podkoszulkę narzucam flanelowy szlafrok, na nos wsuwam okulary. Sadowię się na tarasie od strony podwórza. Karen i Eli jeszcze śpią. Ze swojego miejsca widzę kuchnię, w razie gdyby

matka postanowiła mnie śledzić. Mogłabym polubić ten stan rzeczy. Miło, kiedy człowiek nie musi wlec się pięć piętér w dół po kubek ledwo ciepłej kawy, ryzykując, że na rogu opluje go walnięta bezdomna. Laptop leży na szklanym stoliku. Zastanawiam się, czy napisać do Jonathana, dać mu jakieś wytłumaczenie, ale nie jestem pewna, jak odpowiada się na: „Przykro mi z powodu twojej straty”. Czy należy podziękować? A może wyjaśnić, że nic nie szkodzi, i tak nie byliśmy ze sobą związane? Ale może wtedy zmieni zdanie i każe mi wracać do pracy? Tak naprawdę chciałabym odpisać coś w stylu: „Mojej straty? Że niby coś straciłam? Nie, niczego nie straciłam. To, co straciłam, straciłam dawno temu. W tym przypadku nie ma mowy o stracie. Jeśli już, nazwałabym to raczej zyskiem!”

Zastanawiam się, jakiej odpowiedzi udzieliliby na takie słowa nasz stary wesóły Jonathanek.

Okej.

Do zobaczenia w przyszłym tygodniu.

Powodzenia.

Podnoszę kubek z kawą do ust. To kubek z obrazkiem ze „Zwariowanych Melodii”, kupiony w jakimś parku rozrywki, ma pewnie z dziesięć lat, co najmniej. Wciążam zapach w nozdrza. Kropla śmietanki, szczypta cynamonu, bez cukru. Jesień na Long Island ma w sobie coś niepokojącego. Powietrze jest jakby za rzadkie, świat zbyt cichy i doskonały. Nawet dźwięk kosiarki w oddali działa mi na nerwy.

Polykam kawę i podziwiam świat dokoła – kanał, niebo koloru jajek drozda, trawę, dla odmiany. W mieście nieczęsto można spotkać trawę – chyba że wybierzesz się na spacer do Central Parku. To nawet nie tak daleko od miejsca, gdzie mieszkamy, ale w słoneczne dni trudno znaleźć wolny skrawek, zawsze tuż obok musi się rozłożyć jakaś potworna rodzinka. Odchylam się na oparciu, wpatruję w łódkę, podskakującą na falach przy pomoście u sąsiadów, ale wciąż nie czuję się odprężona. Zaczynam podejrzewać, że już tego nie potrafię. Zamykam mail od Jonathana i przesuwam kursor nad ikonę Google w rogu ekranu. Zawsze zaczyna się w ten sposób: uczucie pustki w żołądku, krew szumi w żyłach jak szalona. Jest to zapewne najdziwaczniejsza forma uzależnienia i nigdy nikomu się do niej nie przyznam.

Wpisuję jego nazwisko. Pokazuje się kilka zdjęć – stare, ze szkoły, ze strony drużyny lacrosse’a, Facebook, artykuł z lokalnej gazety, wymieniający chłopaków, którzy zaciągnęli się do armii, Marines i tak dalej. Fotografia policyjna gdzieś spoza Florydy, ale chodziło tylko o jazdę po pijanemu. Wiem, bo wyszukiwałam to nazwisko niezliczoną ilość razy, za każdym razem z nadzieją, że na ekranie wyskoczy informacja o aresztowaniu w atmosferze skandalu. Na forum jakaś dziewczyna określa go mianem śmierdzącego palanta, na co w pełni zasłużył. A może nie. Może się mylę. Podnoszę kubek, za szybko, wyslizguje mi się z rąk, kawa rozlewa

się na kolana.

– Może ugotuję dzisiaj obiad.

Jestem w pokoju – moim eks-pokoju, plecami odwrócona do drzwi, kiedy głos Karen trafia mnie od tyłu.

– Dobrze – odpowiadam.

– Masz ochotę na coś specjalnego? – Stoi w drzwiach.

– Raczej nie. – Pochyliłam się nad laptopem, udaję, że sprawdzam pocztę.

– Poznałaś Ashley?

– Kogo?

– Dziewczynę Eliego. Jest przemiła.

– A. Tak. W porządku.

– Zaprosiłam ją na dziś wieczór – oznajmia. Uświadamiam sobie, że to nie jest zwykły rodzinny obiad, na samą myśl o tym, że mam udzielać się towarzysko, nawet jeśli chodzi tylko o beznadziejną dziewczynę Eliego, chcę wpełznąć pod kołdrę i zachorować na grypę – jest to, nawiasem mówiąc, mój plan awaryjny na czwartek.

Chciałabym, żeby mama znalazła sobie jakieś hobby – a pod pojęciem „hobby” rozumiem „facet”. Rzadko chodzi na randki i tylko raz przyprowadziła do domu mężczyznę – byłam wtedy w liceum. Zabrał nas, mamę, braci i mnie, na kręgle, niedziela w promocji, uroczą rodzinną atmosferą. Zamówił cały dzbanek piwa korzennego. Pamiętam, że uznałam to za nieco dziwne.

Znowu sprawdzam telefon. Adam nie dzwonił. Danny też nie. Sama nie wiem, co bardziej mnie martwi.

Karen wchodzi do pokoju i kładzie na łóżku pogiete pudełko po butach.

– Znalazłam w szafie – mówi. – Pomyślałam, że może chciałybyś je zachować.

Czekam, aż sobie pójdzie i dopiero wtedy otwieram pudełko. Pierwsze, co widzę, to szeroki uśmiech Rachel skąpany w blasku słonecznym. Ma dziewięć-dziesięć lat, obejmuje ramieniem moje przygarbione plecy. Ja też się uśmiecham. To było na paradzie z okazji Halloween. Jesteśmy przebrane za hipiski. Obie mamy na sobie blond peruki, sięgające do tyłków, i niebieskie okulary przeciwsłoneczne z pacyfką.

Nie była całkiem zła. W swoje lepsze dni potrafiła sprawić, że czułam się naprawdę wyjątkowo. Te dziewczyny na zdjęciu były najlepszymi przyjaciółkami. Czasami o tym zapominam. Ale ona zawsze mi przypominała – nieustannie powtarzała, że jestem jej najlepszą przyjaciółką. Najlepszą przyjaciółką. Powtarzała, że ma tylko mnie.

Raz opowiedziała mi o swojej rodzinie – weszłam do łazienki w naszym domu i zastałam ją łkającą nad zlewem, miałyśmy wtedy po trzynaście lat. Jadłyśmy u mnie obiad – kotlety wieprzowe z sosem jabłkowym – i nagle wstała w środku rozmowy, kiedy właśnie tłumaczyłam, jak bardzo nie cierpię kotletów wieprzowych z sosem jabłkowym. Zorientowałam się, że coś jest nie tak dopiero, kiedy Karen walnęła mnie

w ramię.

Sądziłam, że Rachel zamknęła drzwi na zamek, zamierzałam zapukać dwa razy, odczekać trzydzieści sekund i bez przekonania potrząsnąć klamką. A potem zdać matce raport, by wiedziała, że próbowałam, po czym wrócić do znieprawionych kotletów. Ale w momencie, kiedy szykowałam się do odejścia, drzwi nagle ustąpiły. Rachel najwyraźniej chciała, żebym weszła, udawała jednak zaskoczoną, ochlapała wodą twarz i uśmiechnęła się przez łzy.

Nigdy nie potrafiłam znieść, kiedy ktoś przy mnie płacze. I nigdy nie robiłam z tego tajemnicy. Nic nie potrafi wywołać we mnie poczucia większego dyskomfortu i bezsilności. A Rachel doskonale o tym wiedziała. Kiedy zobaczyła, że cofam się do przedpokoju, wyciągnęła rękę i przyciągnęła mnie do siebie.

– Jesteś moją najlepszą przyjaciółką, Aub. Wiesz o tym? – Przytaknęłam, sztywniejąc w jej objęciach. – Jesteś jedyną osobą, którą w ogóle obchodzę – dodała. – Moja matka chciałaby, żebym umarła.

– Powiedziała ci to? – zdołałam wymamrotać.

– Nie musi tego mówić, Aubrey. Nie jestem głupia. Widzę, jak patrzą na mnie, a jak na Chloe. Ty też widziałaś. Wiem, że tak jest. – Jeszcze raz ochlapała twarz wodą. Niezręcznym ruchem położyłam rękę na jej ramieniu. – Szczęściara z ciebie, że masz taką mamę. Pierdolić rodzinę. Ty jesteś moją rodziną.

Zginam zdjęcie w dłoniach i zastanawiam się, jak to możliwe, że tak młoda dziewczyna miała w sobie tyle siły, jakim sposobem potrafiła sprawić, że czułam się tak potrzebna i bezużyteczna jednocześnie. Upijam spory łyk wina, uśmiecham się szyderczo do samej siebie, czuję się trochę jak ocalała ofiara przemocy domowej czy porywacza, dotknięta syndromem sztokholmskim. Ocalałam. Przetrwałam Rachel Burns. Powinna zrobić sobie koszulkę z napisem albo zażądać specjalnej bransoletki na wzór tej żółtej z Livestrong, fundacji wspierającej chorych na raka. W kolorze czarnym. Jak dusza Rachel.

Teraz widzę, jak chytrze Rachel potrafiła posługiwać się słowami, jak umiała grać na moich uczuciach, zawsze w elegancki sposób dokładając odważnik na szali po swojej stronie. A ja zawsze znajdowałam dla niej usprawiedliwienie. Szczególnie przed Adamem.

Nie rozumiem, dlaczego się z nią przyjaźnisz, powtarzał. Czemu pozwalasz, żeby tak do ciebie mówiła?

Nie zrozumiesz, odpowiadałam. Dlatego nie masz przyjaciół.

Myślałam, że ty jesteś moją przyjaciółką.

Jestem twoją dziewczyną. To co innego.

# Rozdział 10

## *Wrzesień 2005*

Pierwszy Piątek miał w Seaport długą tradycję. Traktowano go z równą powagą jak zjazd absolwentów czy zakończenie szkoły, może nawet jak bal maturalny. W pierwszy piątek nowego roku szkolnego uczniowie ostatniej klasy wyprawiali imprezę. O wyborze gospodarza decydowała kombinacja zasadniczych czynników: pozycji społecznej danego indywiduum oraz rozmiarów jego domu. A więc, im bardziej byłeś popularny i im większy miałeś dom, tym bardziej wzrastały twoje szanse na zorganizowanie imprezy pierwszopiątkowej. A było to nie byle co. Taki szczęściarz – bądź szczęściara – miał zapewnione dostawy świeżego mięsa aż do końca roku szkolnego.

Oczywiście zawsze pojawiali się uzurpatorzy. Takie imprezy przybierały formę skromnych spotkań w zadymionych garażach, z puszkami piwa i zakąskami w postaci sera i krakersów, które zawsze kończyły się za szybko. Był tylko jeden prawdziwy Pierwszy Piątek. W przypadku pierwszoklasistów stopień zeszmacenia podczas tej nocy mógł zadecydować o reputacji na kolejne cztery lata.

Gospodarzem mojego pierwszego Pierwszego Piątku – w 2003 – był Jason Dowd. Otworzył drzwi swego ogromnego dwupiętrowego domu stojącego przy porcie dla całej ostatniej klasy i wszystkich co odważniejszych uczniów z klas niższych. Wcześniej tego samego roku przeżyłam otrzęsiny – dzień, w którym zgodnie z tradycją torturuje się przyszlých pierwszoklasistów, przypadający – dla odmiany – w ostatni piątek roku szkolnego. Poszłam tam z Ally Marlo i kilkunastoma innymi dziewczynami z naszego rocznika. Rachel przez cały dzień robiła uniki, co bynajmniej nie spodobało się starszym kolegom. Nie było tak strasznie. Zawiązano nam oczy, zapakowano na furgonetkę i wyrzucono w parku Clear Pond. Tam kazano nam biegać wokół boiska do baseballa, a starsze dziewczyny oblewały nas majonezem, obrzucały śmieciami i wyzywały od wstrętnych szmat. Chłopcy mieli znacznie mniej szczęścia. Koledzy Marca przez całe lato jeździli po ulicach, poszukując pierwszaków i każdego napotkanego nieszczęśnika tłukli wiosłem po dupie, aż wióry leciały.

Ale wracamy na imprezę. Staliśmy grupą na nabrzeżu. Zaciągnęłam się papierosem Rachel i przytknęłam do ust jednorazowy kubek, ramiona mocno przyciskając do piersi. Wrześniowe powietrze było gęste i wilgotne, pachniało



mokrym drewnem i popiołem. Poczułam, że spuszone włosy kleją mi się do pleców, więc związałam je w koński ogon.

Nigdy nie zapomnę tej pierwszej prawdziwej imprezy, tego uczucia: krwi buzującej w żyłach, wrażenia, że nic nie wiem, że nie mam najlepszego pojęcia, kim będę przez kolejne cztery lata. Chociaż miałam pewien pomysł na siebie. Oznajmiłam Rachel i Ally, że do końca liceum nie zamierzam z nikim się umawiać. Nie zamierzam wiązać się z żadnym z lokalnych nudziarzy. Odważne stwierdzenie, ponieważ w rzeczywistości raczej bałam się, że i tak nikt mnie o to nie poprosi. Ale w tamtym momencie, kiedy tak stałam na nabrzeżu, w głębi serca miałam nadzieję, że jakiś chłopak z ostatniej klasy, obdarzony kilkudniowym zarostem prawie-mężczyzna, zauważył z daleka moje lśniąco od potu plecy i, porażony moim nieodpartym wdziękiem i urodą, już wyobraża sobie nasz pierwszy pocałunek.

– Co to jest? – spytałam, zaglądając do kubka. Zawartość w kolorze neonowej czerwieni wyglądała jak miks wódki z tabletkami przeciwbólowymi.

– Jungle Juice – odparła Rachel. – Niezłe, co? Diane pije to na okrągło. – Spojrzałam na Ally, unosząc brwi. Wymieniłyśmy znaczący uśmiešek. Rachel zawsze posługiwała się Diane, kiedy sama chciała uchodzić za tę mniej doświadczoną. To był nasz dyżurny żart: laska? Diane pokazała mi niesamowitą technikę na bananie. Jakies pięć lat temu... Koka? A myślicie, że jak inaczej Diane zdołałaby utrzymać taką szczupłą figurę? Jak to, nigdy nie słyszałyście o Jungle Juice? To Diane wymyśliła Jungle Juice!

Ani Ally, ani ja nigdy nie spotkałyśmy przesławnej Diane. Pozostała legendą – jak Wielka Stopa czy Potwór z Loch Ness.

– A więc, drogie panie – powiedziała Rachel, by znowu znaleźć się w centrum uwagi. W którymś momencie, kiedy akurat nie patrzyłyśmy, jakimś sposobem znalazła się w środku naszej grupki. – Jaki jest cel dzisiejszej wyprawy? Otóż tej nocy wyhaczamy chłopaków. – Uśmiech zawisł na jej wargach. Powiodła wzrokiem dokoła, jakby chciała zapewnić nas, że jej słowa dotyczą każdej bez wyjątku. Była w tym naprawdę niezła, zawsze potrafiła sprawić, że wszyscy dokoła niej dobrze się czuli. Pewnie w ten sposób zyskiwała kontrolę nad otoczeniem.

– Aubrey przysięgała, że przez kolejne cztery lata będzie trzymać się z dala od mężczyzn. – Puściła do mnie oko, dotknęła mojego ramienia, dziwnie kojącym gestem. – Pewnie dlatego, że poprzedni, z którym kręciła, się powiesił.

Poczułam ucisk w żołądku. Ally i pozostałe dziewczyny zdławiły śmiešek i jednocześnie potrząsnęły głowami z udawaną dezaprobatą, jakby to mogło je usprawiedliwić. Sasha Coyle skrzyżowała na piersi tłuście ramiona i uśmiechnęła się do mnie, wlepiając wzrok we własne buty.

Sasha była nową przyboczną Ally. Zwalistą sylwetkę rekompensowała sobie drogimi ubraniami i chętnie dzieliła się kartą kredytową tatusia. Dość

przygnębiające, ale najwyraźniej cieszyło ją, że należy do grupy.

– Mnie się wydaje – podjęła Rachel – że to będzie rok Erica.

Rachel co roku się wydawało, że to będzie rok Erica – Erica Robbinsa. Wierzyła w to od dnia, kiedy wyjaśnił nam na czarodziejskim dywanie pani Price, co to jest „dziewica”. Ja nigdy nie widziałam w nim nic szczególnego. Zawsze wszystko psuł. Był od nas o rok starszy, przysadzisty, piegowaty i miał szparę między przednimi zębami, która nadawała mu wygląd postaci z kreskówki. Ale Rachel dostała obsesji na jego punkcie. Może przemawiał do niej jego wyniosły sposób bycia. Może wysoka pozycja w drużynie lacrosse’a. Nie wiem. Ja nic w nim nie widziałam.

– Ja chyba spróbuję w ostatniej klasie. Jason jest całkiem niezły – powiedziała Ally, od niechcenia wzruszając ramionami.

– Jasne – odparła Rachel. – Życzę powodzenia. – Zaśmiała się głośno i lubieżnie. Stojące niedaleko starsze dziewczyny spiorunowały ją wzrokiem.

– Zróbcie zdjęcie – zawołała Rachel, po czym mruknęła do nas: – Suki.

Pozostałe dziewczyny nie wiedziały, że tamtego pamiętnego dnia w lesie Rachel spędziła z Jasonem upojne chwile na materacu. Jason dał jej się napić tequili, wymacał ją i więcej się nie odezwał – raczej nie było czym się chwalić.

– Kto wie – powiedziała Ally, ignorując starsze koleżanki. – Może szczęście mi dopisze.

Pochyliła się i ścisnęła piersi, eksponując niezbyt wyraźny przedział. Spojrzałam na Rachel. Dostrzegłam jakiś błysk w jej oczach, niewyraźny i nieokreślony.

– Strasznie mi go żal – podjęła Ally, nagle przybierając poważny ton. – No wiecie, latem jego najlepszy przyjaciel popełnił samobójstwo.

Rachel skrzyżowała ramiona na piersi, napiła się. To coś w jej oczach powoli gasło. Już wiedziałam. Poczucie odrzucenia. Jason.

– A wiecie, co słyszałam? – Ally pochyliła się i rozejrzała się dokoła, jakby ktoś próbował nas podsłuchiwać. – Niedawno słyszałam, jak tata rozmawiał przez telefon. Wspominał, że ojciec jakiejś dziewczyny oskarżył Maxa i Jasona, że, no wiecie, ją wykorzystali. – Znów się rozejrzała, szybko, ukradkiem. – No wiecie. To było tuż przed śmiercią Maxa. – Ojciec Ally był gliniarzem, więc historia wydawała się prawdopodobna. Tylko że Ally nieustannie opowiadała, jak to niby podsłuchiwała, że mówił coś do kogoś przez telefon.

– Zamknij się – powiedziała Rachel i walnęła ją w ramię. – Kto tak powiedział? Co to za dziewczyna? I jak dokładnie wykorzystali?

– Nie wiem. Nie wiem. – Ally potrząsnęła głową i uśmiechnęła się szeroko. Widać było, że rozkoszuje się naszą uwagą. – Ale potem Max się zabił. Kto mógł powiedzieć coś takiego? Nie wierzę w to.

– Pewnie jakaś zdesperowana szmata – zawyrokowała Rachel. – Niektórzy widocznie bardzo się nudzą. Dajcie spokój. – Znowu zerknęła na starsze dziewczyny,

które najwyraźniej całkiem o niej zapomniały.

– Nie wierzę w żaden gwałt – stwierdziła Ally rzeczowym tonem, jakby oznajmiała, że święty Mikołaj nie istnieje.

– To pewnie jakaś bzdura – dodała Rachel – ale przyjaciółka Diane powiedziała, że знаła jedną dziewczynę, która zgwałcili, jak chodziła do liceum, w garażu podziemnym czy coś w tym stylu.

Ally zrobiła przerażoną minę.

– Jasne, to możliwe. Ale jeśli ta dziewczyna wspomniała o Maksie i Jayu, to znaczy, że musiała ich znać, tak? A więc to nie był prawdziwy gwałt.

Żałuję miliona rzeczy. Trudno zdecydować, których najbardziej. Nie mogę ułożyć ich starannie w segregatorze i wracać do nich w chwilach, kiedy wpadam w melancholijny nastrój. To nie działa w ten sposób. Są splecione w jakiś koszmarny węzeł, splątane w mojej głowie, i kiedy o nich myślę, czuję się tak, jakbym zaraz miała dostać udaru. Mam mroczone przed oczami, krew ucieka z mojej twarzy i zbiera się w głębi klatki piersiowej.

To chyba definicja stanu lękowego. W każdym razie moja definicja. Lęk to wrażenie, że umysł zdradza ciało, jakby za chwilę miało się zapaść. Zaczyna się w piersi, potem pojawia się to dziwne wrażenie wirowania za oczami i mrowienie dłoni. Ale kiedy wracam myślami do pewnych wydarzeń w moim życiu, na języku uparcie tkwi tamta rozmowa, ohydny gryzący smak, nadal czekam, by wreszcie wypluć te słowa.

To pewnie nawet nie jest prawda. Dajcie spokój.

Pamiętam tę rozmowę. Pamiętam, jak stałam tam i słuchałam, sparaliżowana, słowa płynęły z wysmarowanych błyszczkiem ust, głowy zgodnie kiwały, chore uśmiechy widniały na twarzach pokrytych sztuczną opalenizną. Pamiętam pełen poczucia winy skręt w żołądku, chociaż wtedy nie miałam pojęcia, co tak naprawdę znaczy poczucie winy, i słuchałam, ale nie odezwałam się ani słowem. Słuchałam, wlepiając wzrok w Jungle Juice.

Słowa rozbrzmiewały w moich żyłach jak z megafonu.

To się nie liczy. Nie wierzę w to. Zdesperowana szmata.

Zastanawiałam się, czy powiedzieć dziewczynom o Adamie, ale po rozmowie na temat Maxa, Jasona i tajemniczej oskarżycielki nie miałam szans im zaimponować. Chociaż znając Rachel, przypuszczałam, że bardziej zszokowałyby ją wiadomość, że codziennie w drodze do szkoły towarzyszy mi młodszy Sullivan niż fakt, że jego starszego brata ktoś oskarżył o przestępstwo.

Nie spodziewałam się spotkać Adama na imprezie. Miałam wrażenie, że on właściwie nie istnieje poza naszymi porannymi spacerami. Minał tylko tydzień, ale nie widziałam go w szkole, ani na korytarzu, ani na lekcjach. Odprowadzał mnie do drzwi i zniknął, by pojawić się następnego dnia o szóstej rano – czekał jak wierny

piesek, w swojej niebieskiej bluzie z kapturem, z plecakiem zarzuconym na ramię, nieśmiało machając na powitanie.

Zobaczyłam go dopiero, kiedy poszłam dolać sobie drinka. Stał obok beczki, gadał z chłopakiem z drugiej klasy. Chłopak mocno gestykulował. W tym momencie uświadomiłam sobie, że Adam nigdy tego nie robi, i wydało mi się to bardzo dziwne. Nigdy nie zwróciłam na to uwagi podczas naszych porannych spacerów, ale teraz tak – jego ramiona zwisały bezwładnie wzdłuż ciała, sposób mówienia był pełen wdzięku i elegancji. Emanował taką spokojną energią, energią tego rodzaju, która nie potrzebuje zbędnych gestów. Zerknęłam na niego ukradkiem. Wydawał się wyższy. Skinął głową w moją stronę. Pomachałam i poszłam sobie.

Wychodząc z łazienki, uchwyciłam swoje odbicie w szklanych drzwiach. Moje wargi, zęby i język przybrały kolor neonowej czerwieni. Wystawiłam język, by bliżej przyjrzeć się temu zjawisku. Nagle poczułam, że ktoś za mną stoi.

– Ładne usteczka, Glass – powiedział. Obróciłam się na pięcie. Naprzeciw mnie stał Adam, rękę trzymał głęboko w kieszeniach dzinsów. Miał szerokie barki, ale był bardzo chudy, wręcz wątły, jakby różne części jego ciała rosły w nierównym tempie.

– A więc wiesz, jak mam na nazwisko? – Nasze spacerowały już od tygodnia, lecz nie pamiętałam, żebym mówiła mu, jak się nazywam, nie przypominałam sobie też, by kiedykolwiek zwrócił się do mnie po imieniu.

– Jasne – odparł. – Myślisz, że odprowadzałbym do szkoły anonimową dziewczynę? Za kogo ty mnie uważasz?

Otworzyłam usta, by odpowiedzieć, ale zamiast słów wydobył się z nich głupekowy śmiech. Zaczęłam obracać kubek w rękach.

– Smakuje? – spytał, wskazując świeżo dopełniony kubek w mojej dłoni. Był lekko pobudzony alkoholem, ale pod kontrolą. I przystojny, czego wcześniej jakoś nie zauważyłam.

– Nie najgorsze, chociaż bardziej by mi smakowało ze słoika typu Mason.

– Ze słoika? – powtórzył. – Koszty by wzrosły, szczególnie że wielu pierwszaków nie potrafi pić. – Poruszył szczęką, a potem uśmiechnął się krzywo. – Wyobrażasz sobie te zwały potłuczonego szkła? – Przy ostatnich słowach nagłym ruchem wyciągnął ręce z kieszeni i machnął nimi, wytrącając plastikowy kubek z mojej dłoni. Jaskrawoczerwony płyn rozlał się na betonie i zostawił różowe plamy w dolnej części nogawek Adama. On jednak nie poruszył się, stał tam, z rozłożonymi ramionami i tym swoim krzywym uśmiechem na twarzy.

– Cholera – powiedziałam i ukucnęłam, by podnieść kubek i ocenić rozmiar zniszczeń. Wykonał tego wieczoru jeden jedyny gest i oczywiście musiał przy okazji rozlać mój drink. Chyba trochę przesadził z tym nadrabianiem zaległości. Już miałam to powiedzieć, ale zamiast tego wbiłam wzrok w ziemię i zaczęłam przeproszać za bałagan, którego narobił.

– Dlaczego przepraszasz? – odparował. – Zrobiłem to specjalnie. No wiesz, żeby udowodnić słuszność argumentacji. – Wciągnęłam powietrze przez nos. Żalowałam, że nie uchwyciłam choćby części drinka, mogłabym chlusnąć mu nią w twarz. Nagle zauważyłam, że jego zęby są bardzo białe. Może tylko przez kontrast z zabarwionymi na czerwono wargami?

– Twoje dzinsy – powiedziałam. – Są do niczego.

Chyba nikt nie zwrócił uwagi na tę dramatyczną scenę.

– Nie martw się, Glass – odparł. – Wiesz, masz niesamowite zielone oczy. Mówił ci już ktoś?

Wzruszyłam ramionami.

– Nie, nikt – skłamałam. Wciąż patrzył mi prosto w oczy. Jego – szare – były szeroko rozwarte.

– Nie wracasz do przyjaciół? – zapytał po chwili niezręcznej ciszy.

Odpowiedziałam, że nie. Ruszyliśmy razem na plażę. Jego patykowate ramiona kołysały się ruchem zgranym z ruchem nóg. Zatrzymaliśmy się przy metalowej huśtawce, stojącej na asfalcie za rzędem łodzi.

Adam sięgnął do kieszeni, wyjął camela light i podał mi go.

Potrząsnęłam głową.

– Nie, dzięki. Nie palę.

Przekrzywił głowę.

– Ja też nie. Widziałam, jak paliłaś ze znajomymi, więc pomyślałem... – Chyba mu ulżyło.

– Nie – odparłam. – To był papieros Rachel. Tylko się zaciągnęłam.

– Kiepsko. Dałem za to Jasonowi trzy dolce. – Uniósł papierosa, a potem wrzucił go do oceanu. Woda zmarszczyła się, papieros leżał na powierzchni, mokry i miękki.

Wargi mi zdrętwiały. Czułam, jak Jungle Juice buzuje w moich żyłach.

– A więc, panno Glass – powiedział Adam – jaki jest twój ulubiony film?

– Mój ulubiony film? – Popatrzyłam na niego, nie do końca pewna, jak mam odpowiedzieć. Nie do końca pewna nawet tego, czy w ogóle mam ulubiony film. – Zadajesz to pytanie wszystkim dziewczynom?

– Tak. No to jaki?

– A jaki jest twój ulubiony film? – zapytałam.

– Zawsze odpowiadasz pytaniem na pytanie?

– Tak. A ty?

Błysnął zębami.

– „Niezwykła podróż”.

– Psy? – zapytałam, z trudem powstrzymując się od śmiechu.

– I kotka. Nie zapominaj o kotce. – Miał bardzo poważną minę. Poczułam się nieswojo. Chciałam, żeby się uśmiechnął, roześmiał, cokolwiek. – Sassy – dodał. –

Pamiętasz?

– Okej – odparłam. – Szanuję twój wybór. – Zmrużył jedno oko, jakby celował z broni. – „Klub winowajców”. To mój ulubiony film.

Skinął głową.

– Szanuję twój wybór.

– A czego nie cierpisz? – spytał po chwili. Staliśmy w odległości jakiegoś metra od siebie, nie wiedząc, co zrobić z rękami.

– Jak to, czego nie cierpię? Co to za pytanie?

– A ty znowu odpowiadasz pytaniem. Czego nie cierpisz? Kogo nie cierpisz? Na pewno istnieje coś lub ktoś, kogo nie możesz strawić. – Zazgrzytał zębami i skrzywił się.

Rozpuściłam włosy i przeciągnęłam po nich palcami.

– Anne Hathaway – odpowiedziałam. – Nie cierpię Anne Hathaway. Nie wiem, o co chodzi, ale ma w sobie coś takiego, że nie mogę jej ścierpieć.

– Kto to jest Anne Hathaway? Chodzi do naszej szkoły?

Potrząsnęłam głową i zaśmiałam się, krótko i chrapliwie.

– Nie. Grała w filmie „Pamiętnik księżniczki”. Koszmar.

Adam kiwnął głową, zdusił uśmiech.

– Nie widziałem. Ale jesteś pretensjonalna.

– A ty? – spytałam.

– Co, ja?

– Czego ty nie cierpisz?

– Niczego. Nie jestem psychopatą. – Obrócił się na pięcie i ruszył w stronę huśtawki. Ja zostałam w miejscu, ramiona skrzyżowałam na piersi. – A co kochasz?

Wstrzymałam oddech. Nie miałam pojęcia, co odpowiedzieć. Kochałam rodzinę, nawet jeśli poczytywałam sobie za punkt honoru, by się o tym nie dowiedzieli. Kochałam przyjaciół. Kochałam plażę. Ale żadna z tych rzeczy nie wydawała mi się odpowiednia, więc wymieniłam pierwsze, co przyszło mi na myśl.

– Słoiki typu Mason.

– Słoiki typu Mason – powtórzył. – O co chodzi z tymi słoikami? Ty naprawdę jesteś dziwna.

Wzruszyłam ramionami. Błagałam Karen, żeby wymieniła plastikowe kubki na słoiki typu Mason, ale odmówiła, stwierdzając, że to tandeta.

– Z takich słoików wszystko lepiej smakuje – odparłam. – Serio. Wyobraź sobie, że idziesz do restauracji, zamawiasz lemoniadę czy mrożoną herbatę i dostajesz ją w słoiku typu Mason. Czujesz to?

Zaśmiał się i potrząsnął głową.

– No nie wiem, Glass. Nadal uważam, że jesteś dziwna. Może powinnaś zmienić nazwisko na Mason? – Spojrzał na poplamione na różowo brzegi džinsów.

– Wiesz co, nie przypuszczałam, że taki jesteś. – Nadal otaczało nas wrześnie powietrze. Panowała cisza, słychać było tylko szmer wody.

– Jaki? Czarujący? Wytworny? – Przesunął palcem po łańcuchu i zmierzył wzrokiem huśtawkę, najwyraźniej planując kolejny ruch.

– Taki rozmowny – odparłam. – Zwykle jesteś bardzo cichy.

– Nie lubię poranków. – Powiedział, a jego głos na chwilę stracił na sile, kiedy uniósł głowę i spojrzał na metalowy pręt. A potem spojrzał na mnie, w jego szarych oczach pojawił się twardy zimny błysk – i niemal natychmiast znikł. Adam znów utkwiał wzrok w huśtawce. Poczulałam lodowaty dreszcz – nie to przyjemne mrowienie, kiedy po raz pierwszy czujesz na sobie wzrok chłopaka.

– Ulubiony serial? – zapytał. Zaczynałam podejrzewać, że przed wyjściem z domu nauczył się na pamięć listy pytań, przydatnych na pierwszej randce.

– Aktualnie czy tak w ogóle?

– Tak w ogóle.

– „Przyjaciele”. Oczywiście.

– Oczywiście. Ale „Kroniki Seinfelda” są lepsze. – Wskoczył na huśtawkę. – Oczywiście – powtórzył. Wcisnął stopy w trampkach w siedzenie i chwycił za łańcuchy. – Sorry – dodał. – „Przyjaciele” nie są śmieszni.

– „Seinfeld” moim zdaniem też nie jest.

– Po prostu nie łapiesz tego poczucia humoru – odparł, przykucając i nabierając prędkości.

– A to co ma znaczyć?

– No wiesz. Żeby docenić humor w „Seinfeldzie”, trzeba być inteligentnym. „Przyjaciele”? Niewymagające wysiłku intelektualnego dowcipy dla przygłupów. Takich jak ty. Ten serial nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. Te ich mieszkania. Błagam. Czy oni nigdzie nie pracują? – Nim zdążyłam zaprotestować czy choćby zarejestrować fakt, że nazwał mnie przygłupem, Adam poleciał na huśtawce wysoko w powietrze, po czym puścił łańcuchy i wylądował na ziemi tuż przed moim nosem.

– Dobra – powiedziałam, popychając go lekko w pierś. – I kto tu jest pretensjonalny?

– Jeszcze jedno pytanie. Jaką lubisz kawę?

– Zgadnij.

Stał bardzo blisko. Zbyt blisko. Spod czarnych potarganych włosów patrzyły zimne szare oczy. Pachniał ponczem i proszkiem do prania. Ujął dłonią mój podbródek. Pierwsze, co zauważyłam, to czyste i idealnie przycięte paznokcie. Słyszałam w głowie głos matki, sekundy mijały jedna za drugą. Czyste paznokcie i czyste uszy. Zawsze najpierw patrz na uszy i paznokcie.

Nie cofnął ręki, kciukiem przesunął po dolnej wardze, w tył i w przód. Pochylił

się. Zamknęłam oczy i przygotowałam się na pocałunek. Mój drugi pocałunek w życiu. Czułam jego twarz tuż przy mojej twarzy. Pochylił się jeszcze bardziej i dmuchnął mi lodowatym oddechem prosto w ucho. Kiedy Rachel wytoczyła się z za rogu, nadal czułam ten chłodny oddech na twarzy.

– Wszędzie cię szukam, zdiro – wybełkotała i ruszyła w naszą stronę, kręcąc biodrami. Na pewno powtarzała tę kwestię w myślach od chwili, kiedy zorientowała się, że znikłam. Byłam o tym przekonana. Nadal trzymała w ręku wypełniony po brzegi plastikowy kubek, neonowy płyn chlapnął na ziemię, kiedy zrobiła chwiejny krok w naszą stronę. Nagle dotarło do niej, że nie jestem sama. Zatrzymała się.

– O, cześć – powiedziała, mrużąc oczy. Pewny siebie luzacki Adam nagle wyparował. Niezręcznie skinął głową i zdezerterował.

Zasłoniła twarz, by ukryć uśmiech.

– Co to było, do kurwy nędzy? – zapytała, klepiąc mnie w ramię. – Macasz się z młodszym Sullivanem? – Czekwała na odpowiedź z otwartymi ustami.

– Nie. Nie macaliśmy się. Rozmawialiśmy.

– A-ha – powiedziała, robiąc wielkie oczy.

– Przysięgam. Ale nie gwarantuję, że by do tego nie doszło, gdybyś nagle się nie napatoczyła, dziwko.

– A on wie, że robiłaś to z jego zmarłym bratem? – Jej podekscytowana mina była, mówiąc łagodnie, co najmniej niepokojąca.

– E, nie. Ten temat jakoś się nie pojawił. – Posłałam jej spojrzenie pod tytułem „o co ci chodzi”. Wzruszyła ramionami. – I zakładam, że się nie pojawi.

W poniedziałek wszystko wróciło do normy – nieśmiały Adam w niebieskiej bluzie z kapturem, z plecakiem na ramieniu. Tyle że tym razem w obu dłoniach trzymał po kubku z kawą.

– Kropla śmietanki, szczypta cynamonu – powiedział, wyciągając w moją stronę papierowe naczynie.

– Skąd... – zaczęłam, ale mi przerwał.

– Ponieważ nie zdradziłaś się ze swoimi upodobaniami w kwestii kawy, musiałem zgadnąć. Byłem blisko?

– Nie licząc cynamonu. Zwykle go nie używam.

– Ale spróbuj. Myślę, że ci się spodoba. Ja piję ze śmietanką, cukrem i cynamonem. Gdybyś się zastanawiała. – Uśmiechnął się. Otoczył nas ciepły zapach. Od tej chwili zapach kawy i cynamonu zawsze kojarzył mi się z Adamem Sullivanem.

W październiku przeszłam metamorfozę w rannego ptaszka. Uświadomiłam sobie, że czekam na nasze spacer, nasze kawy, wspólne chwile. Niewiele rozmawialiśmy, czasem tylko o szkole i o tym, co poprzedniego wieczoru widzieliśmy w telewizji. Ale było w naszych spotkaniach coś takiego, że co rano zrywałam się z łóżka i czekałam na nie z wytęsknieniem. Nie potrafiłam tego określić



i nadal nie wiedziałam, czy mam widzieć w nim kogoś więcej niż młodszego Sullivana, ale jego poważna twarz jakoś dziwnie na mnie działała, a za każdym razem, kiedy rozjaśniał ją uśmiech, poczytywałam to sobie za osobiste zwycięstwo.

Adam naprawdę pachniał kawą, to nie było tylko skojarzenie. Kawą i cynamonem. I mimo że codziennie piłam tę samą miksturę, co on, ten zapach należał do niego, nie do mnie. Unosił się wokół niego i nie chodziło wcale o pachnący oddech. Sweter w szaroniebieskie paski wydzielał słodką woń świeżo parzonej kawy. Miałam ochotę się w niego wtulić. Wydawał się zimny i ciepły jednocześnie. Szłam obok, popijając z papierowego kubka. Jesienny wiatr zamiatał suche liście u naszych stóp.

I nagle pewnego październikowego ranka się nie zjawił. Odczekałam dziesięć minut i poszłam. Wcześniej nawet nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo czekam na tę chwilę, by zacząć dzień razem z nim.

Zaginął w akcji – aż do końca tygodnia.

– Coś taka skwaszona? – spytała Rachel, doganiając mnie w drodze na pierwszą lekcję. Miała na sobie klapki japonki i dżinsową minispódniczkę, podjeżdżającą niebezpiecznie blisko krocza. Był koniec października.

– Nieprawda – odparłam. – Po prostu jeszcze nie piłam kawy. – Zmierzyła mnie wzrokiem, ujęła pod ramię i przeszła do planów na weekend. Jason Dowd urządzał imprezę halloweenową.

– Przebieram się za zdzirowatego pirata – oznajmiła. – A ty powinnaś wystąpić w roli mojej zdzirowatej papugi.

Uwolniłam łokieć.

– Daj spokój, Aub. To nasze pierwsze Halloween w nowej szkole! – Wyduła wargi.

– Zobaczymy – mruknęłam i ruszyłam do klasy, nie czekając na Rachel.

W piątek rano wyszłam z domu w wyjątkowo kiepskim nastroju. Zaspałam, byłam spóźniona, a Karen marudziła na temat wieczornej imprezy.

– Aubrey, to impreza dla ostatnich klas. Naprawdę nie wiem.

– No i co? Marc idzie – odparłam. – Na Pierwszy Piątek mnie puściłaś.

– Tak, ale to co innego. To tradycja, rytuał przejścia. Nie naciskaj.

Szłam przed siebie ze spuszczoną głową, pogrążona w rozmyślaniach o niespodziewanej przemianie, która zaszła w strategii rodzicielskiej Karen, skręciłam za róg i niemal wpadłam na Adama. Stał na chodniku w bluzie z motywem kościotrupa i z szerokim wkurwiającym wyszczerzem na twarzy.

– Proszę, proszę – zagaił. – Nie przebrałaś się? – Wzruszyłam ramionami, odczekałam, aż ruszy za mną, przyspieszyłam kroku. On też przyspieszył. – Nic nie powiesz?

– Nie widzę sensu.

– Jesteś wkurzona, że nie było mnie przez cały tydzień?

– Nie – odparłam, biorąc od niego kubek z kawą.  
– Miałem poważny powód.  
– Nie jestem wkurzona, powtarzam. – Byłam wkurzona. I rozczarowana, i urażona, lecz zawsze uważałam, że lepiej zachowywać się jak sucz niż zdradzić z prawdziwymi uczuciami.  
– Jesteś wkurzona. I to jak. Widzę.  
– Nie widzisz. Bo nie jestem.  
– A właśnie, że jesteś. Zaciskasz pięści, jakbyś chciała komuś przywalić. – Spojrzałam na swoje ręce. Rozluźniłam palce i łyknęłam kawę.

– No i? – powiedziałam.  
– No i co?  
– No co to był za poważny powód?

– Chorowałem.

Uniosłam brwi.

– Dobra, nie chorowałem. To skomplikowane.

– To znaczy?

Zaśmiał się nerwowo, wbił wzrok w swoje dłonie.

– Zawarłem coś jak umowę z samym sobą. To trochę żenujące.

– Teraz bardzo chcę się dowiedzieć, o co chodzi – stwierdziłam, chociaż wcale nie byłam pewna, czy chcę. Zachowywał się nerwowo. A ja czułam niepokój. Wiedziałam, że to, co za chwilę powie, cokolwiek to będzie, zmieni wszystko w nieodwołalny sposób.

– Obiecałem sobie, że nie będę odprowadzał cię do szkoły aż do chwili, kiedy poczuję się gotowy, by wykonać kolejny ruch. Bo to dosłownie fizycznie boli, być tak blisko i nie móc zebrać się na odwagę. – Przytknął kubek do ust i spojrzał na mnie znad pokrywki.

Też upiłam kawę, nie bardzo wiedząc, jak zareagować, i wtedy mnie pocałował. Jakoś tak niezgrabnie i niedbale, i stuknęliśmy się zębami, i Adam zaraz się cofnął, zaczął się jękać i przeproszać. Oboje smakowaliśmy kawą, Adam nie stracił ani odrobiny czaru podczas naszego pierwszego pocałunku – mojego drugiego. Niewiele myśląc, otoczyłam ręką jego szyję, przyciągnęłam go do siebie i wsadziłam mu język w usta. I staliśmy tak na chodniku, obejmując się nawzajem za szyję, a w drugich rękach ściskając kubki z kawą.

Na ulicy pojawił się tłusty dzieciak w kostiumie wampira, przebiegł na drugą stronę, gwizdząc i pokrzykując co sił w płucach. Adam odsunął się i znowu zaśmiał nerwowo. Liście zawirowały u naszych stóp. W słońcu jego zmierzwiłone czarne włosy były niemal granatowe. Wyciągnęłam rękę i dotknęłam dołka w jego policzku. Patrzył na mnie tymi swoimi szarymi oczami.

Olaliśmy imprezę i poszliśmy do kina na „Piłę II”. Ale właściwie nie oglądaliśmy

filmu. Szukaliśmy się w ciemnościach, nasze wargi raz po raz się łączyły. Jakaś siedząca za nami parka w wieku policealnym chrząknęła znacząco, a my jednocześnie wybuchnęliśmy histerycznym chichotem. Pierwszy wspólny wieczór i już stworzyliśmy żałośnie stereotypowy obrazek. Ale nam w tym momencie nie wydawał się on tandetny. Zawsze tak jest, kiedy dotyczy to ciebie. Wszystko wydaje się prawdziwe, a kiedy jest prawdziwe, rzadko kiedy wydaje ci się żałośnie stereotypowe.

Telefon zabrzączał w kieszeni. Rachel. Poczekalam, aż włączy się poczta głosowa i wyłączyłam telefon.

Po filmie odprowadził mnie do domu. Latarnie rozświetlały pobojuwisko po halloweenowej zabawie: zmiażdżone dynie, rozbite jajka, smugi kremu do golenia i serpentyny w sprayu. Przeszła grupka dzieciaków w kostiumach Ghostface'a. Adam wziął mnie za rękę i pociągnął w stronę placu zabaw po drugiej stronie ulicy. Usiadł na huśtawce, zupełnie jak podczas imprezy w Pierwszy Piątek.

Wciąż miał na sobie bluzę z kościotrupem i pomarańczową siatkową czapkę. Wokół uszu sterczały czarne zmierzwione włosy.

– No więc – zaczął. A potem po prostu to powiedział. Bez żadnych wstępów. – Ciekawe, ile jeszcze razy cię pocałuję, zanim poproszę, byś została moją dziewczyną.

Zagryzłam wargi, chyba nie chciałam się roześmiać, i podeszłam do huśtawki. Chwyciłam za łańcuchy, przerzuciłam nogę i usiadłam mu na kolanach. Spojrzał na mnie, po jego twarzy przebiegł nerwowy grymas. Poczułam, że teraz ja mam kontrolę. A potem powiedziałam – i chyba nigdy wcześniej ani później nic równie mdlącego nie wyszło z moich ust:

– Tylko raz.

A on pochylił się i przycisnął chłodne wargi do moich ust. I tak zostałam dziewczyną Adama.

Nadal się wzdrygam, kiedy o tym myślę.

# Rozdział 11

*Poniedziałek, 6 października 2014*

Przygotowania do obiadu przebiegają zgodnie z planem. Karen poprosiła mnie, żebym skoczyła po kilka rzeczy do supermarketu, a ponieważ nie mam nic lepszego do roboty, zgodziłam się. Nadal próbuje mnie wybadać w kwestii pogrzebu, ale za każdym razem, kiedy zaczyna ten temat, wzruszam ramionami i wychodzę z pokoju.

Marc też przyjedzie. Mieszka teraz w Long Beach, zaledwie kilka kilometrów stąd, dzieli dom z trzema kolegami z liceum. Nie rozumiem, jak on to znosi. Ma dwadzieścia pięć lat i nadal otacza się osobami, wśród których dorastał.

Wkładam legginsy, płaskie buty i czarny workowaty sweter. Dzisiaj jest chłodniej, powietrze zrobiło się rześkie, drzewa zmieniły kolor na złoty. Idealny obrazek przedmieść w jesiennej aurze.

Mój saab należał kiedyś do jednego z kuzynów ze strony mamy. Po wyjeździe kuzyna na studia stał przed domem i rdzewiał. Wujek sprzedał go mamie za czterysta dolców. Uwielbiałam ten samochód, ale Rachel zawsze chciała prowadzić. Sama jeździła tym ohydny żółtym nissanem pathfinderem, któremu nadała czułe miano „Pszczołki”. Lubiała prowadzić, twierdziła, że to pomaga jej się zrelaksować. Śmiej się, że chodziło raczej o sprawowanie kontroli.

Puste styropianowe kubki po kawie, kilka zgniecionych plastikowych butelek i góra serwetek po paczkach zaściewają podłogę, na desce rozdzielczej leży pół paczki parlamentów. Nie mam pojęcia od kiedy.

Kątem oka dostrzegam wetkniętą w kieszeń po stronie pasażera butelkę płynu do ust Listerine. Liczy sobie pięć lat. Wspomnienia palą gorączką moje wnętrze. Wszystko wygląda dokładnie tak jak przy mojej poprzedniej wizycie, chyba w ostatnie święta. Z odtwarzacza wystaje kabelek, łączący go z otwartym discmanem, napis markerem na płycie głosi: „składanka zima 2009”. Wsiadam i przekręcam kluczyk. Przez trzy sekundy silnik prychnie, w końcu uspokaja się i wydaje jednostajny pomruk. Z głośników rozlega się głos Tracy Chapman. W pierwszej chwili mam ochotę wyłączyć, to była nasza piosenka, Rachel i moja, ale zamiast tego podkręcam dźwięk. Za duża kierownica wibruje w moich dłoniach. Podłączam telefon do ładowarki, sprawdzam wiadomości – wciąż tylko jedna nowa. Rachel.

Zamykam oczy, gwałtownie wciągam powietrze, zastanawiam się, czy ją wykasować, ale w mojej wyobraźni znowu pojawia się miniaturowa Rachel. Rzucam

telefon na siedzenie obok.

Wyciągam papierosa z paczki i wjeżdżam na parking. Zatrzymuję się niedaleko wejścia. Na parkingu jest pusto. W dzieciństwie to miejsce wydawało mi się znacznie większe – rozległe centrum handlowe w środku miasta.

Rozkładałam listę zakupów, wyglądam zgiecia, próbuję nie myśleć o mojej poprzedniej wizycie w tym miejscu. Moje spojrzenie pada na butelkę Listerine'u – mimowolny odruch – szybko przenoszę je z powrotem na listę. Skup się. Wejść i wyjdź. Koniec.

Papieros zwisa z moich ust. Bulion, rozmaryn, szalotka. Czytam listę, w głowie przypominam sobie rozkład towarów w sklepie. Muszę to zrobić sprawnie i szybko. W tym mieście jest tylko jeden supermarket, a ja nie mam ochoty narażać się na spotkania ze znajomymi. Nie dzisiaj. Dym unosi się z papierosa, wnika we włókna swetra. Czuję, że zapach osiada mi na włosach, więc związuję je w niedbały koczek na czubku głowy. Sześć ziemniaków yukon gold, dwa ekologiczne pomidory, sałata rzymska, ogórki. Strzepuję popiół ze swetra, wsadzam na nos Ray Bany i wysiadam.

Automatyczne drzwi rozsuwają się i wchodzę do środka, pchając przed sobą nieporęczny wózek. Uderza mnie fala zimnego powietrza. Już wiem, że wzięłam felerny egzemplarz. Przednie prawe kółko skręca pod złym kątem, ślizga się ze zgrzytem na tanich płytkach PCV.

Wydieram z rolki plastikową torebkę i sięgam po ogórki. Nagle za moimi plecami rozlega się przenikliwy pisk.

– Aubrey!

Kurwa.

Zamieram, powietrze uchodzi z mojego wnętrza.

– O rany, Aubrey. – Od razu rozpoznaję ten głos. Ally Marlo. Odwracam się powoli, skóra na mojej twarzy rozciąga się w sztucznym uśmiechu.

Na jej twarzy też widnieje uśmiech, krzywy i lukrowany, jakby zamierzała pożreć mnie żywcem. Obok stoi Sasha Coyle, w znacznie szczuplejszej wersji, każda z nich trzyma w ręku koszyk pełen dyń piżmowych. Bądź miła. Bądź miła. Bądź miła. Powtarzam w myślach.

– Cześć! O rany. Co słyhać? – Próbuję naśladować ich zachowanie, entuzjazm, który wydaje się tak naturalny w przypadku każdego, tylko nie mnie, brzmię jak nadpobudliwy debil i już w momencie, kiedy te słowa wychodzą z moich ust, a skóra na twarzy napina się jeszcze mocniej, wiem, że ich nie nabiorę. Może to zapach leżących od rana produktów, zimnego zastygłego w bezruchu powietrza typowego dla supermarketów, może wspomnienie wizyty w tym miejscu pięć lat temu, tego, co się wówczas wydarzyło, w każdym razie stoję tutaj, mięśnie twarzy zaraz odmówią mi posłuszeństwa, popadam w odrętwienie. Całkowite i wszechogarniające. Obejmuje powoli całe moje wnętrze wielką zatęchłą pustką, jakby ktoś napompował

mnie helem.

W uszach mi szumi. Owijam foliową torebkę wokół ogórków. Gapimy się na siebie, wszystkie trzy. Gapimy się i uśmiechamy, jakbyśmy brały udział w zawodach na uśmiechy. Uciekam wzrokiem, moje spojrzenie pada na koszyk Ally. Nagle czuję jej ramiona.

– Tak mi strasznie, strasznie przykro z powodu Rachel – mówi Ally. Ma taki dziecienny głosik, aż nazbyt dobrze mi znany ze szkolnych czasów. – Pamiętam, że zawsze byliście blisko. Jak my wszystkie zresztą – poprawia się. Sztywno przyciskam ręce do boków. Wstrzymuję oddech aż do chwili, kiedy Ally uwalnia mnie z uścisku. Ale zostawia dłonie na moich ramionach, wysuwa dolną wargę. – Wciąż jestem w szoku. – Sasha zgodnie potrząsa głową, ściąga usta w ryjek.

– Od wielu lat nie utrzymywałyśmy kontaktu – kłamię i nerwowo mrugam powiekami, aż obraz Rachel, jej ostatnia prośba, znika z mojej głowy.

Sasha, widząc, że ciągle gapię się na ich koszyki, wyjaśnia:

– Testujemy nową dietę. Przez pięć dni mamy jeść wyłącznie dynię. Podobno oczyszcza organizm. – Unoszę brwi, posyłam jej uśmiech, ale chyba wyszedł bardziej jak grymas, bo Sasha wzrusza ramionami i wbija spojrzenie we własne buty.

– Rzeczywiście, brzmi bardzo oczyszczająco – mówię i mimo woli znowu myślę o Rachel.

Wyobrażam sobie, jak stoi obok z tym swoim krzywym uśmieszkiem na twarzy, a kiedy Ally i Sasha odchodzą, patrzy na mnie i mówi coś w stylu: „Jezu, Aub, dieta dyniowa? Sasha nie straciła tych wszystkich kilogramów dzięki dyniom. Spróbujcie diety radykalnej”. A potem wymierzyłaby palcem w rozchylone usta, udając odruch wymiotny, a potem by się uśmiechnęła. Tym swoim słodkim, szyderczym, chorym uśmiechem. A ja bym zachichotała i potrząsnęła głową i też bym się uśmiechnęła, i to wszystko byłoby bardzo prawdziwe, bo tak właśnie było między mną i Rachel. Prawdziwie.

– Pamiętasz, jak ci pokazałam? – zapytałaby.

A ja znowu mam piętnaście lat, kręci mi się w głowie, brzuch wypełniają chrupki i wino z kartonu.

– Wiesz, że możesz coś z tym zrobić? – powiedziała. – Pokażę ci. – Świat po wariacku wirował, zupełnie tak jak teraz, w dziale owoców i warzyw, ale jesteśmy w mojej łazience, Rachel odgarnia mi włosy z twarzy, w jelitach przelewają się pomyje z chrupków i winogron.

– Będę rzygać – mówię. – Będę rzygać, ale nie mogę.

– Możesz, możesz – odpowiada Rachel. – Patrz. – Pochyliła się nad deską klozetową, która uśmiecha się do nas sterylnie, i wkłada do ust dwa palce. Potem bierze moje palce i wsuwa mi do gardła. Robi mi się niedobrze, wyciągam palce.

– Nie, nie walcz z tym. Musisz połaskotać tylną ściankę gardła. Nie przestawaj, aż zwymiotujesz.

Wkładam więc palce z powrotem, wpycham, aż dotykają języczka, aż w końcu czuję w gardle gorącą falę przetrawionych chrupków i taniego wina.

– Bardzo ładnie – mówi Rachel, odgarniając włosy wpadające mi do oczu.

Dział warzyw i owoców powoli się wyostrza.

– Ale chyba wybierasz się na pogrzeb? – mówi Ally.

Ogórek strasznie ciąży mi w dłoni. Chcę powiedzieć, że wcale nie. Chcę powiedzieć: „Nie, Ally, nie przyjechałam na pogrzeb. Nie mam ochoty iść na pogrzeb, podobnie jak nie mam ochoty z tobą gadać”. Ale tego nie mówię. Uśmiecham się i mówię: „Oczywiście”. Twarz Ally rozciąga się w obowiązkowym uśmiechu.

– Och – dodaje. – Zapomniałabym. Sasha, Adam, Eric, Ellie i ja urządzamy after party. Przydałaby nam się twoja pomoc. – Jeszcze nie zdążyłam przetrwać faktu, że oto kolejna osoba wspomina o after party i chyba jednak nie jest to plotka, gdy Ally zaczyna wchodzić w makabryczne szczegóły. – Impreza odbędzie się w barze u O'Reilly'ego, zaraz po pogrzebie. Zamawiamy limuzynę. Może się załapiesz, chociaż, szczerze mówiąc, nie jestem pewna, czy zostało jakieś miejsce. Moja działka to dekoracje i kieliszki, mówię ci, prześliczne, z nadrukowanym imieniem Rachel, no wiesz, zamiast tych beznadziejnych kart z modlitwą, które i tak wszyscy potem wyrzucają. Rachel na pewno wolałaby kieliszki. I jeszcze, och, jeszcze T-shirty. Są cudowne. Jimmy zrobił nadruk jej twarzy. – Urywa, bierze głęboki wdech. – Wiesz, te przygotowania pochłaniają mnóstwo energii. Totalne szaleństwo. Ale cudownie będzie się spotkać.

Słowa wirują dokoła mnie, udaję, że słucham, ale słyszę tylko jego imię.

– Zapowiada się niezły ubaw – rzucam. Ally mlaska językiem, jakby chciała wyrazić dezaprobatę dla tego rodzaju określenia w przypadku pogrzebu.

– Och, to wszystko dla Rachel. Na pewno właśnie tego by chciała.

Uśmiecham się i kiwam głową, zastanawiam się nad jakąś wymówką, chcę już sobie pójść, ale w tym momencie Ally znowu mnie obejmuje.

– Wiesz co, może wpadniesz dziś wieczorem. Same dziewczyny. No wiesz? Jak za dawnych dobrych czasów.

– Niestety, nie mogę – odpowiadam. – Mama zaprosiła gości i...

Nie zdążyłam dokończyć. Ally kończy za mnie:

– Nic nie szkodzi. Poczekamy. Może o dziesiątej? – Chcę powiedzieć „nie”. Muszę powiedzieć „nie”. – Przyniosę wino – dodaje śpiewnym głosem. Już chcę odmówić, ale tchórz bierze górę, uśmiecham się i kiwam głową.

Kiedy tylko Ally i Sasha znikają z pola widzenia, zostawiam wózek na końcu alejki i uciekam. W samochodzie nie otwieram okien, długo łykam gorące powietrze, aż pozbywam się tych czarnych mroczków przed oczami. Ręce mi się trzęsą. Trzymam

je przed sobą, próbuję uspokoić. Liczę do trzech, sztuczka, której nauczyłam się lata temu. Zauważyłam, że jeśli trzymam ręce w jednej pozycji przez pełne trzy sekundy, w końcu drżenie mija, odzyskuję kontrolę. Raz. Czuję, jak plecy wilgotnieją pod swetrem. Dwa. Wstrzymuję oddech. Trzy. Nic. Sięgam po papierosa, ręce nadal się trzęsą.

– Kurwa. Kurwa. Kurwa – mówię. – Oddychaj, oddychaj. – Wypowiedzenie tego słowa na głos nawet pomaga, chociaż oznacza, że właśnie nie oddycham. Trzymam papierosa w ustach, jedną ręką otwieram okno, drugą szukam w torebce zapalniczki. Opuszki palców odszukują zmięte kwitki, balsam do ust. Ale nie zapalniczkę. – Kurwa – powtarzam. Nagle z torebki wypada fiolka. Xanax. Odwracam głowę, patrzę przez tylną szybę. Sasha i Ally pewnie nadal robią zakupy, wkładają do koszyków kolejne dynie, ale nadal nie mogę opanować drżenia, oddech jest ostry i nieświeży. Ściskam fiolkę, aż knykcie bieleją. Odkręcam wieczko, wsadzam tabletkę między zęby, przelękam z trudem, bez popijania wodą. Przekręcam kluczyk. Samochód krztusi się, trzęsie i telepie.

Widzę, jak drzwi supermarketu się otwierają, osuwam się niżej na fotelu, wciąż grzebiąc w torebce. Proszę, niech mnie tylko nie zobaczą. Proszę. Wiem, że to nie Ally, ale na samą myśl, że w tych drzwiach zaraz pokaże się jakiś mieszkaniec tego posranego miasta, wszystko mnie boli. Zjeżdżam jeszcze niżej, zamykam oczy, wreszcie odnajduję zapalniczkę. Raz.

Wyciągam rękę. Dwa. Drugą ręką zapalam zapalniczkę. Trzy. Ręce przestają drżeć, przypalam papierosa. To drugi tego dnia.

Wciążam dym w płuca, wypuszczam nosem. Może to tylko wyobraźnia, ale czuję, jak xanax płynie w moich żyłach, uspokaja rozpedzoną krew i sama nie wiem jak, w samym środku załamania, udaje mi się wyjechać z parkingu na boczną uliczkę. Saab pracuje na zwolnionych obrotach, wydmuchuję dym za okno. Czuję się słaba i wydrążona, jak po ataku gorączki. Muszę zebrać się w sobie, muszę zastanowić się, co powiem Karen.

Przepraszam, mam, zgubiłam listę zakupów; zapomniałam portfela; dostałam ataku paniki pośrodku zatłoczonego supermarketu.

Ale prawda nie wchodzi w rachubę. Jeśli powiem Karen o ataku paniki, będę musiała tym samym powiedzieć, że w ogóle miewam ataki paniki oraz wyjaśnić, jaka jest ich przyczyna. Dalej sytuacja może rozwinąć się na dwa sposoby: albo Karen się rozplacze i zrobi z tego wielkie halo, i każe mi poszukać pomocy profesjonalisty. Albo nie. Sama nie wiem, która opcja napęla mnie większym przerażeniem.

Znowu leci „Fast Car”, z trudem przebija się przez zakłócenia w głośnikach. Nie wiem, jaki czynnik spustowy odgrywa rolę tym razem. Może spotkanie z Ally. Może jego imię, którym rzuciła tak od niechcienia, jakby mówiła o pracowniku kwiaciarni czy firmy cateringowej. A może samo to miejsce – zimny szum klimatyzacji, woń



produktów spożywczych i brudnej ściery. Może byłam zbyt trzeźwa na to spotkanie. A może zawiniła Tracy Chapman. Niezależnie od przyczyny, po raz pierwszy od przyjazdu wszystko powraca i wali we mnie z całej siły.

# Rozdział 12

## Grudzień 2005

Po śmierci Maxa matka Adama przestała chodzić do kościoła – tak w każdym razie mi powiedział wiele lat później. Przypuszczał, że właśnie dlatego nie protestowała, kiedy oznajmił, że chce iść do szkoły publicznej. Wzruszyła ramionami, posłała mu znużony uśmiech i powiedziała: „Zapiszę cię w przyszłym tygodniu”.

Leżałam na podłodze i uczyłam się na egzamin semestralny z francuskiego. Adam oglądał jakiś program o gotowaniu na Food Network, dźwięk ściszył. Tak spędzaliśmy czas na początku. Chodziliśmy razem ze szkoły i razem wracaliśmy, uczyliśmy się razem, ale nigdy nie widziałam Adama z książką. Mówił, że po prostu lubi tak ze mną siedzieć – chociaż akurat ja pracowałam. A on oglądał swoje programy i notował w pamięci przepisy na zakąski, których potem nigdy nie robił.

Na wyłożonych wykładziną schodach rozległy się stłumione kroki matki Adama. Unikałam jej. Nigdy nie wiedziałam, co mam powiedzieć. W tamtym czasie Adam nigdy nie wspominał o Maksie. Znaliśmy się od prawie pięciu miesięcy, byliśmy razem – oficjalnie – od dwóch. Zbliżały się ferie świąteczne. Wiedziałam, że Adam jest przygnębiony, pewnie nie wiedział, jak ma się zachować, jak rozmawiać o tym z rodzicami, nie znał protokołu świętowania. Kiedy pytałam, czy wybierze się ze mną na zakupy, zmieniał temat, wykręcał się, twierdząc, że musi gotować czy nadrobić zaległości z angielskiego. Ale, jak wspominałam, nigdy nie widziałam go z książką.

– A Vermont? – zagaił, gwałtownie przerywając ciszę, którą zakłócały tylko te miękkie kroki na górze. Leżał na czarnej skórzanej sofie we flanelowych spodniach od pizamy. – W Vermont chyba jest ładnie?

– Chyba tak. A co? – spytałam, nie podnosząc wzroku.

– Chodzi mi o studia. Pojedziesz ze mną? – Poczułam drganie powiek, ale opanowałam się i skupiłam na podręczniku. *Mon frère monte le train.*

– To jeszcze cztery lata.

– Serio? – Pochylił się i skręcił w palcach kosmyk moich włosów. Podłoga na górze skrzypnęła, program przerwały reklamy. Próbowałam przelknąć ślinę.

– Skąd wiesz, czy do tego czasu mnie nie rzucisz? – Wiele dałabym za to, by mój głos brzmiał pewniej.

– Wykluczone – odparł. Spojrzałam na to samo zdanie: *Mon frère monte le train.* –

Nie mów, że nie myślisz o studiach, droga mademoiselle z rozszerzonym francuskim. – Zatrzasnęłam książkę i spojrzałam na niego.

– Chcesz powiedzieć, że jestem sztywniarą?

– Chcę powiedzieć, że jesteś trochę spięta. – Na jego twarzy powoli rozlał się uśmiech. – Ale mogę coś na to zaradzić. – Zsunął się z kanapy i usiadł obok mnie.

Poczułam jego oddech na karku. Lekko masując mi plecy, przycisnął chłodne wargi do mojego ramienia. Odwróciłam się, żeby go pocałować.

– Albo Kanada – rzucił. Odsunęłam się i popatrzyłam prosto w jego szare oczy. – Wszędzie, gdzie można wieść spokojne życie. Tylko ty, ja i śnieg.

– Nienawidzę śniegu – powiedziałam, wyciągając się i kładąc głowę na jego kolanach. – Zdecydowanie wolę plażę.

– Serio? Co za rozczarowanie. – Powiedział to beznamiętnym głosem, jak zawsze, kiedy się ze mną drażnił. Adam zawsze mówił tym samym tonem – śmiertelnie poważnym.

– Aha. Kocham plażę. Nasz związek jest skazany na porażkę. – Wtuliłam głowę w jego brzuch. Czułam, jak jego ciało unosi się i opada z każdym oddechem. – Ale moja wymarzona uczelnia znajduje się w Brown, więc może jednak będę musiała pogodzić się ze śniegiem. – Mijały kolejne minuty. Wiedziałam, że myśli intensywnie. Czułam, jak jego krew pulsuje w rytm pracy mózgu. W końcu powiedział:

– Brown, hm? Czemu mnie to nie dziwi? – Urwał. Jego ciało się rozluźniło. – Wierzysz w niebo?

– Jasne, chyba tak – odparłam, nie zastanawiając się nad kontekstem tego pytania. – To znaczy, chcę wierzyć, że potem też coś istnieje. Nie tylko ziemia i robaki. – W tym samym momencie pożałowałam swoich słów. – Nie chciałam tak tego ująć – wyjąkałam. – To chyba niezbyt...

– Nie szkodzi – przerwał mi. – Nie musisz zachowywać się przy mnie w ten sposób.

– W jaki?

– Jakby mój brat umarł. – Odwróciłam twarz w jego stronę, ale wzrok wbiłam w szarą bawełnianą koszulkę. Wciąż nawijał na palec kosmyk moich włosów. – Maxa wywalili z katolickiej szkoły. Ja byłem tym „dobrym chłopakiem”. W każdym razie tak powiedziałyby moja mama. *Dobry chłopak*. – Adam prychnął, jakby umieszczenie w jednym zdaniu jego imienia i słowa „dobry” było największym absurdem na świecie. – I dlatego postanowiłem pójść do Seaport. Nie chciałem być dłużej „dobrym chłopakiem”. – Na jego twarzy pojawił się słaby uśmiech. – A teraz jestem bratem tego gościa, który nie żyje.

– Nie – zaprotestowałam, wciąż wlepiając wzrok w jego koszulkę. – Nikt tak nie uważa. – Było dziewięćset innych rzeczy, które mogłam powiedzieć, które powinnam była powiedzieć, ale nigdy sobie nie radzę w tego typu sytuacjach. Adam uśmiechnął

się, jakby umiał czytać w moich myślach.

– Wiem, że to dla ciebie nieznośne – powiedział.

– Czemu?

Potrząsnął głową, znowu się uśmiechnął.

– Chcesz powiedzieć, że jestem bezduszna? – zapytałam, desperacko próbując obrócić wszystko w żart.

– Chcę powiedzieć, że jesteś nieco obojętna. – Popatrzył na mnie z kamienną twarzą, a potem szybko i zręcznie chwycił mnie za boki i zaczął łaskotać, aż osunęłam się na podłogę, wstrząsana konwulsjami. – I bardzo wrażliwa na łaskotki. – Zaśmiał się chrapliwie.

– Przestań mnie rozśmieszać, kiedy prowadzimy poważną rozmowę, Sullivan – powiedziałam.

– Przestań być taka ładna.

– Przestań, bo zaraz rzygnę. – Puścił mnie. Usiedliśmy na podłodze. Długo milczeliśmy. W końcu Adam odchrząknął i powiedział:

– Nie, ale serio. Nie płakałem na pogrzebie Maxa. To chyba trochę porąbane, co? Nie płakałem na pogrzebie własnego brata.

Wzruszyłam ramionami. Żołądek zacisnął się w wielką gulę. Adam zmarszczył brwi, zamyślił się, rozpaczliwie szukał uzasadnienia.

– Płacz jest przereklamowany – stwierdziłam. Szczerze. Nigdy nie płaczę na pogrzebach. Owszem, nigdy nie straciłam tak bliskiej osoby, ale nawet nie potrafię sobie wyobrazić, jak bym zareagowała na śmierć Marca czy Eliego. W doskonałym świecie na pewno bym płakała, głośno rozpaczala, zareagowałabym jak normalna czująca istota ludzka. Zgodnie z oczekiwaniami otoczenia. Ale jakoś nie potrafię sobie wyobrazić, że wybucham płaczem i rzucam się Karen w ramiona. Może załamałabym się dzień czy dwa później, leżąc samotnie w łóżku, ale nie widzę siebie płaczącej podczas pogrzebu, okazującej słabość przy tych wszystkich ludziach. Nie wyobrażam sobie, jak pocieszam matkę. To dopiero jest porąbane.

– Taa – odparł Adam. – Ale jak mam się smucić, wiedząc, że nigdy bym cię nie spotkał, gdyby Max tego nie zrobił. – Słowa zawisły między nami, lepkie i gorące. Mogłabym sięgnąć, zebrać je i wsadzić pod sofę.

– Nie mówisz tego poważnie. – Chociaż sama tak myślałam.

– Moja mama często wspominała o niebie. Powtarzała: *Adamie, w niebie spotkasz wszystkich, którzy są tego warci.* Ale od śmierci Maxa ani razu nie słyszałam, żeby powiedziała coś w tym stylu. – Urwał, westchnął i usiadł prosto, podciągając kolana pod brodę. – Chyba przestała wierzyć. Chyba nie chce się ludzić.

Adam znów odchrząknął. Na górze wciąż było słychać kroki.

– Nawet jeśli niebo istnieje, nie umiem go sobie wyobrazić – powiedział. – Widzę tylko białą przestrzeń. Nic poza tym, tylko biała przestrzeń. Wszyscy katolicy,

których znalazłem, stoją w kręgu, wystrojeni w najlepsze ubrania. Wiesz, o co mi chodzi? – Prychnął, trochę z rozbawieniem, a trochę z zażenowaniem, a ja skinęłam głową. – Ale jeśli tam właśnie trafię, o ile będę dobrym katolickim chłopcem, to ja dziękuję. – Potrząsnęłam głową, wyrażając w ten sposób raczej zrozumienie niż zgodę. W gruncie rzeczy nie byłam pewna, w co wierzę. Raz przeczytałam, że religia jest tym, co kochasz, więc chyba wierzyłam w Adama – o ile można wierzyć w drugą osobę.

Gdyby obok był ktoś inny, język zacząłby mi się plątać, mruknęłabym coś niezrozumiałego i zmieniłabym temat. Ale to był Adam. Czułam, że dam sobie radę. Tak jakbym nie robiła się sztywna i niezręczna, kiedy rozmowa schodzi na uczucia.

– A jak wyglądałoby twoje niebo? – spytałam. I chciałam wiedzieć. Naprawdę chciałam.

– Śnieg – odpowiedział. – Śnieg jak gwiazdny pył w nieskończonej ciemnej przestrzeni.

Popatrzył na mnie z tym swoim krzywym uśmiechem, smutnym i pięknym.

– Brzmi idealnie. – Otoczyłam ramionami jego szyję, spojrzałam w szare oczy i pocałowałam w usta, mocno i szybko. – Ale i tak wolę plażę.

Tego wieczoru odprowadził mnie do domu, w kurtce i spodniach od piżamy. Mieliśmy czternaście lat i byliśmy głupi i naiwni – jakbyśmy dotarli do końca naszej bajeczki, do „żyli długo i szczęśliwie”, sięgającym daleko w nieskończoną ciemną przestrzeń. Weszliśmy na podjazd, mijając sztywne poszarzałe trawniki i plastikowe bałwanki, sterczące na gołej bezśnieżnej ziemi. Na ganku wisały białe lampki choinkowe. Adam chwycił moje dłonie i przyciągnął mnie do siebie. Staliśmy tak, może przez minutę, może dłużej. Zapaliło się światło nad wejściem, w oknie mignęła twarz Karen.

– Chyba powinnam już iść – powiedziałam. – Nadzorca patrzy. – Odwrócił się w stronę okna i pomachał. Karen pomachała w odpowiedzi, z zapalem, jaki potrafi wykrzesać z siebie jedynie trenerka szkolnej drużyny cheerleaderek.

Wiedziała, że z kimś się spotykam, ale do tej pory udawało mi się zachować Adama w tajemnicy. Nie czułam się gotowa, by przedstawić go mamie. Takie spotkanie wymagało zaplanowania. I zachowania wszelkich formalności. Karen była jak zimna kąpiel. Trzeba wskoczyć od razu, jeśli spróbujesz stworzyć emocjonalną więź, jesteś skazany na porażkę.

Kilka miesięcy wcześniej po jakiejś imprezie Marc przyprowadził do domu dziewczynę. Miała na imię Lilly, a może Layla czy Lucy. Marc, przekonany, że Karen śpi, wprowadził koleżankę tylnymi drzwiami i zabrał na dół, gdzie mieli oglądać film. Gwarantował, że nikt się nie dowie. Ale dziesięć minut później zjawiła się Karen i zaprosiła Marca na górę – na rozmowę w cztery oczy. I jakby już samo to nie było dostatecznie upokarzające dla biednej Lilly/Layli/Lucy, bardzo głośno dała wyraz

swemu oburzeniu, zaczynając od: „Co to za dziewczyna przychodzi w środku nocy do domu obcego chłopaka? Podczas gdy *rodzina* śpi na górze”. Marc mruknął, żeby mówiła trochę ciszej. Potem posłała go do pokoju, a Lilly/Layli/Lucy pokazała drzwi wyjściowe.

– Mam nadzieję, że jeszcze się kiedyś spotkamy! – zawołała za uciekającą do samochodu dziewczyną.

Nie trzeba chyba wspominać, że więcej Lilly/Layli/Lucy nie zobaczyliśmy. Chociaż Karen jeszcze długo o nią pytała. *Co się stało z Lexi? Tak, miała na imię Lexi. Gdzie się podziała Lexi? Wydawała się taką miłą dziewczyną!*

Prędko klepnęłam Adama w ramię i ruszyłam w stronę domu. Niebo było granatowe, oddech zmieniał się w parę.

– Hej! – zawołał Adam, chwycił mnie za łokieć i odwrócił w swoją stronę. Uśmiechnął się, wydmuchując lodowate powietrze pomiędzy idealnych zębów. – Nie chciałem tego robić przy twojej mamie. – Ruchem głowy wskazał okno. Nadal tam stała, schowana za zasłoną. – Ale kocham cię, Aubrey. – Słowa opuściły jego usta, mogłabym przysiąc, że widzę, jak zawisają w powietrzu. – Strasznie. Pomyślałem, że w sumie powinnaś wiedzieć.

Stałam naprzeciwko niego, patrząc na ten szeroki uśmiech – który nie znikł nawet, kiedy wymamrotałam:

– Dzięki.

A potem chwiejnym krokiem poszłam do domu.

– Rzucił bombę na „k” – powiedziałam do Rachel. Od tamtego wieczoru, kiedy Adam powiedział, że mnie kocha, minęły dwa dni, jeszcze nikomu o tym nie mówiłam.

– Co? – Rachel gwałtownie przystanęła, torba z zakupami wypadła jej z ręki. Wybrałyśmy się na poszukiwanie prezentów gwiazdkowych, na razie Rachel kupiła jedynie trochę ciuchów – dla siebie. Karen podrzuciła nas do centrum handlowego dwie godziny wcześniej, miała wrócić o szóstej. Ściszałam w ręku swoje zakupy: świeczka Yankee Candle dla Karen, sweter dla taty, woda toaletowa dla braci. Nadal nie miałam pojęcia, co kupić Adamowi.

– To dla ciebie aż tak wielki szok?

– No tak. – Usta miała rozchylone, oczy wielkie jak spodki. – Nie sądziłam, że jesteście razem na poważnie.

– Jak widzisz – odparłam, nieco zbyt defensywnym tonem.

– Nie wiedziałam – warknęła. – Chyba nie przypuszczałam, że tak się zaangażuje. A ty też mogłabyś spróbować.

– Ale się zaangażował. Jest okej.

– Powiedziałaś mu to samo?

– Powiedziałam „dzięki”. – Rachel prychnęła śmiechem, chrapliwym i

przesadnym. – Byłam zdenerwowana.

– No ale?

– Ale co?

– Kochasz go?

– Nie wiem. Może. Chyba tak. – Czułam, że moje wargi wyginają się w uśmiechu, ale go powstrzymałam. Każdy przejaw słabości oznaczał wystawienie się na okrucieństwo Rachel. Musiałam się zachowywać jak gdyby nigdy nic. Zawsze musiałam się zachowywać jak gdyby nigdy nic.

– Okej – powiedziała, podnosząc torbę. A potem ruszyła przed siebie. A ja miałam ruszyć za nią.

Kilka dni później, w sobotę czy niedzielę, leżałam rano w łóżku, czytając „Wielkiego Gatsby’ego”. Była to lektura szkolna, ale jakoś mnie wciągnęła. Chyba podobało mi się, że akcja rozgrywa się na Long Island. Miałam na sobie szlafrok i szorty, na stoliku nocnym stał kubek parującej kawy. Jakoś tak przed dziesiątą coś stuknęło w szybę. Był to jeden z tych mroźnych zimowych poranków, więc uznałam, że to wiatr, ale po chwili znowu coś stuknęło. I jeszcze raz.

W pierwszej chwili pomyślałam, że to musi być Rachel, to byłoby bardzo w jej stylu, takie dziwne akcje w sobotni czy niedzielny poranek. Ale kiedy odsunęłam zasłonę, zobaczyłam, że na trawniku przed domem stoi Adam.

Zeszłam na dół, mocniej otulając się szlafrokiem.

– Chciałem dać ci prezent – powiedział z uśmiechem godnym Kota z Cheshire. W obu rękach trzymał pudło. Włosy wpadały mu do oczu. Przekrzywił głowę na bok, by je odgarnąć.

– Przyniosłeś mi prezent? – Ja nadal nie wiedziałam, co mu kupić na Gwiazdkę.

W tamtych czasach nie miałam problemów z oddychaniem. Zawsze przychodziło mi z łatwością. Ale to było przed Adamem i całym tym syfem, który później się wydarzył. Stałam na progu, szczelnie otulona szlafrokiem. Było lodowato. Powinnam była zaprosić go do środka. Normalna osoba tak by zrobiła, ale ja tylko stałam tam i patrzyłam na niego, na ramiona, otaczające wielkie białe pudło.

Miał na sobie koszulę w szaro-czarną kratę. Wydawał się wyższy.

– Trzymaj – powiedział, podając mi pudło. – Muszę już iść. Może otworzysz je w domu? – Rzucił mi pudło w ramiona. Okazało się cięższe, niż myślałam, mało brakowało, a wypuściłabym je z rąk.

– Dzięki – powiedziałam. Adam już szedł w swoją stronę, jego nogi i ramiona poruszały się harmonijnie.

– Proszę – odparł, nie oglądając się.

Zaniosłam paczkę do pokoju i rozciąłam papier tymi okropnymi niewygodnymi nożyczkami, które trzeba trzymać w lewym ręku – bezpiecznymi nożyczkami. Pewnie należały do Eliego.

Otworzyłam pudło, usunęłam warstwę styropianu. W środku znajdowało się dziesięć słoików typu Mason. Absolutna szklana doskonałość.

W styczniu nastąpiło oficjalne spotkanie. Dzień Nowego Roku. Karen zaprosiła go na obiad. Chyba dopiero wtedy po raz pierwszy pomyślałam o nas w kategorii pary – mimo jego wcześniejszego wyznania. Może to głos Rachel w mojej głowie kazał mi wątpić w wartość naszego związku. Tak czy inaczej, teraz wydawał mi się on całkowicie prawdziwy. Denerwowałam się przed spotkaniem. On też.

– To dla twojej mamy – powiedział, kiedy otworzyłam drzwi. Trzymał w ręku bukiet różowych i żółtych goździków, przewiązany tanią czerwoną azurową wstążką. Jestem pewna, że kupił te kwiaty po drodze, w supermarkecie. Z trudem opanowałam uśmiech. Karen nie cierpiała goździków.

Nawet nie zdążyłam zaprosić Adama do środka, kiedy nadciągnęła. Przepchała się bok mnie, chwyciła jego dłonie. Kwiaty smętnie zwisły główkami w dół.

– Ty na pewno jesteś Adam – powiedziała. – Tak mi przykro z powodu twojego brata. – Rzuciła mu smutne współczujące spojrzenie. Poczułam panikę. *Dzięki, Karen* miałam ochotę wrzasnąć. *Oczywiście musiałaś poruszyć ten temat akurat teraz.* Ale Adam zareagował tak, jak reagował za każdym razem, kiedy ktoś wspominał o Maksie: uśmiechnął się uprzejmie i wdzięcznym ruchem skinął głową w podzięcie. Mniej więcej w tym okresie przestałam zwracać się do Karen „mamo”. Nastąpiło to w sposób gładki i bezbolesny, po prostu któregoś dnia, kiedy kazała mi wynieść śmieci, odparłam: *Okej, Karen.* Kilka razy powtarzałam tak na próbę, a ponieważ nie reagowała, tak już zostało.

Zastanawiałam się, co czuje chłopak, kiedy po raz pierwszy spotyka matkę swojej dziewczyny i baba wyjeżdża z takim tekstem. Totalna żenada.

Odchrząknęłam. Karen oderwała wzrok od Adama.

– To dla ciebie – powiedziałam, wkurzona, że nie skomentowała bukietu.

– O rany! – wykrzyknęła, udając zaskoczenie. – Jak miło. Dziękuję. – Wzięła kwiaty z rąk Adama i wsadziła je do turkusowego wazonu, który już czekał pośrodku nakrytego do obiadu stołu, napełniony wodą. Widziałam, że poczuła się mocno zawiedziona.

Obiad był z gatunku sztywnych i oficjalnych. Karen wypytywała Adama o rodzinę, szkołę, takie tam pierdoły, mające na celu tak zwane przełamanie lodów. Chciałam, żeby Adam też zaczął zdawać pytania, takie wścibskie i dociekliwe, aż Karen skręcałaby się z zakłopotania. Na przykład: dlaczego już nie jest żoną mojego ojca, czy wie, że jej syn upala się do nieprzytomności, czy któryś z jej uczniów kiedykolwiek poruszył temat samobójstwa i jeśli tak, co zrobiła, by odwieść go od tego zamiaru.

Nawinęłam spaghetti na widelec.

Ostrzegałam go. Matka lubiła sobie pogadać.



– Będzie próbowała poddać cię psychoanalizie – powiedziałam poprzedniego wieczoru przez telefon. Leżałam na łóżku, trzymając bezprzewodową słuchawkę między ramieniem a szyją.

– Niech spróbuje – odparł. – Jestem terapioodporny. – Później przekonałam się, że to prawda. Matka wysłała go do terapeuty, kiedy miał dwanaście lat. Albo tylko tak mówił.

– Raz wdałem się w bójkę – zaczął. Wyobrażałam sobie ten krzywy uśmiech na drugim końcu linii.

Próbowałam się nie roześmiać.

– Serio? I jak poszło, twardzielu?

– Nazywał się James Riley, miał ognieście rude włosy, ale nie dlatego mu przyłożyłem – opowiadał. – Wracalem autobusem ze szkoły, czytałem książkę, strasznie mnie wciągnęła, a najzabawniejsze, że teraz nawet nie pamiętam tytułu. – A więc jednak czyta książki. Skinęłam głową na zachętę, tak jakby mógł mnie widzieć.

– Tak czy inaczej, książka mnie wciągnęła, a ja miałem za sobą fatalny dzień. James siedział za mną. Co i raz czułem jego kolano za plecami. Potem przewiesił się przez oparcie i zaczął walić mnie po głowie.

– I co zrobiłeś? – zapytałam, nadając głosowi ton zainteresowania. Wcale nie byłam taka znowu ciekawa, chociaż chętnie bym się dowiedziała, jak taki cherlak zdołał komuś przywalić.

– Nie zwracałem uwagi. Ale potem zerwał mi czapkę z głowy.

– Palant.

– To nie koniec. Nagle, zanim zdążyłem zareagować, pochylił się i wyrwał mi z ręki książkę. Okładka się rozdarła i tak dalej. Rzucił tekstami w stylu: „Co tam czytasz, pedale?”. A pamiętaj, że był rudy jak marchewa. Poczekalem, aż wysiądziemy z autobusu. Szedł ze swoimi koleżkami i chyba zdążył o mnie zapomnieć, ale podszedłem do niego od tyłu, całkowicie opanowany, i pchnąłem go na ziemię, a właściwie w śnieg. Opadł na kolana, a ja zacząłem okładać go pięściami. Po twarzy.

– Hm. Przypomnij mi, żebyś nigdy cię nie wkurzała.

Adam zaśmiał się tym swoim chrapliwym beznamiętnym śmiechem.

– Dzieciak przez tydzień nie chodził do szkoły, a mnie nakazano wykonanie badań psychologicznych. Okazało się, że jestem normalny. W każdym razie tak stwierdził terapeuta.

Widziałam, jak szczerzy się przy słuchawce i zastanawiałam się, czy naprawdę jest normalny, czy pod powierzchnią nie czai się jakiś groźny mrok, którego terapeuta nie zauważył.

I siedząc obok niego przy rodzinnym stole, szukałam znaku, czegoś, co go zdradzi. Nie potrafiłam zrozumieć, jak po tym wszystkim, co przeżył w związku z

Maxem, może zachowywać się tak spokojnie. Czułam, że gra, lecz nie znaliśmy się na tyle, bym mogła to wiedzieć na pewno. Adam zjadał spaghetti, swobodnie odpowiadał na pytania Karen, jakby przygotował wszystkie odpowiedzi poprzedniego wieczoru niczym pracę domową.

– Jak ci się podoba w nowej szkole? – spytała Karen. – Chyba sporo się różni od szkoły katolickiej?

Adam przeżuł jedzenie i odparł:

– W porządku. Podoba mi się, że jest tak swobodnie. Nie trzeba nosić mundurka. No i poznałem pani córkę. – Karen uśmiechnęła się. Wyglądała niemal na zawstydzoną. Ale może po prostu próbowała czarować. Nigdy nie potrafiłam rozpoznać. Kiedy sięgnęła po sałatę, Adam spojrzał na mnie, jak zwykle dyskretnie, i puścił oczko. W każdym razie próbował. Wyszło trochę jak tik nerwowy.

– Chyba nie jest ci łatwo przebywać wśród przyjaciół brata? Wyobrażam sobie.

Miałam ochotę kopnąć ją pod stołem, ale zamiast tego tylko zamknęłam oczy, koszmarnie zażenowana, i przełknęłam sałatę.

– Jest w porządku – odparł. – Miło mieć wokół siebie ludzi, którzy go znali.

– A w domu? Wszystko dobrze? Mieszkasz z obojgiem rodziców?

– Z obojgiem, tak – odpowiedział, kiedy już dokładnie przeżuł jedzenie. Rzuciłam Karen miazdzące spojrzenie, ale ona patrzyła na Adama, z głową przekrzywioną na bok, żywy obraz wzorcowego doradcy szkolnego. Myślałam, że zaraz sięgnie przez stół, dotknie jego dłoni i powie: *Adamie, tutaj jesteś bezpieczny*. – Na pewno nie jest im łatwo, ale jakoś dają radę. Wszyscy okazują nam wielkie wsparcie.

– Wiedzą, co się tak naprawdę zdarzyło? Słyszałam różne wersje, ale jakoś nie umiem sobie wyobrazić, żeby były prawdziwe.

– Mamo – warknęłam, ciskając widelcem w talerz. – Adam? – spojrzałam na niego.

– Wszystko w porządku, Aubrey – powiedział, wygładzając serwetkę na kolanach. – Jedzenie smakuje wyśmienicie. Dodała pani papryki w proszku do sosu?

– A wiesz, że tak – odparła Karen. – Skończyła mi się papryka w płatkach i postanowiłam zaryzykować. Zabawne, że zauważyłeś. Lubisz gotować? – Karen uśmiechnęła się promiennie i wreszcie wetknęła do ust widelec pełen spaghetti. Poczulałam, że moje ciało się odpręża. Adam sięgnął pod stół i dotknął mojego kolana. Mówił prawdę. Rzeczywiście był teraapiodporny.

# Rozdział 13

*Poniedziałek, 6 października 2014*

Czemu częściej nie biorę kąpieli w wannie? Moje ciało unosi się, przecina powierzchnię mętnej niebieskiej wody. Przeklinam samą siebie, że przyjechałam zaproszenie na damski wieczorek. Ale przynajmniej będzie wino.

W kącie mruga pojedynczy płomień – Fresh Linens albo Cotton Ball Ocean, w każdym razie coś niebieskiego o zapachu proszku do prania z szafki Karen. Bez wątplenia gwiazdkowy prezent ode mnie.

Miękkie bąble zastygają w bezruchu, by po chwili rozpląnąć się w białe ameby. Czuję się rozluźniona. Ale tak jakoś dziwnie, może relaks nie do końca tak powinien wyglądać, to uczucie przypomina raczej niski poziom cukru. Albo wreszcie przekroczyłam próg, który do tej pory dzielił mnie od kompletnego odrętwienia.

Na suficie tańczą wodne refleksy i migotliwy płomień świecy. Przez chwilę wyglądają, jakby ze mnie drwiły, ale zaraz sobie przypominam, że mam się rozluźnić.

Unoszę biodra nad powierzchnią wody. Pokazuje się tatuaż. Sięgam po mydło. Ciekawe, czy jeśli będę tarła odpowiednio mocno, w końcu zniknie, spłynie do wanny strużką atramentu. Przesuwam palcami po sercogramie.

Wstrzymuję oddech i zanurzam się – uszy wypełniają się wodą, gęstą ciszą, nie licząc szumu toalety i dalekiego pomruku telewizora za ścianą.

Nie mogę przestać myśleć o Adamie. Ale nie spotkam się z nim. Bo niby czemu? Nie jestem mu nic winna. Poza tym to by było nie w porządku wobec Danny'ego. Wiele można o mnie powiedzieć. Można powiedzieć, że jestem zimna, bezduszna. Że kłamie i manipuluję. Ale nie to, że zdradzam. Nie zdradzam.

Jestem rozgrzana i pomarszczona od kąpieli i przychodzi mi do głowy, że jeśli kiedyś zechcę to zrobić, jeśli kiedyś zechcę popełnić samobójstwo, to właśnie w taki sposób. Ciało unosi się na powierzchni, podskakuje jak wzdęta ryba, krew powoli wypływa z żył do mętnej niebieskiej wody. Rachel zabiła się około trzeciej w nocy, w sobotę. Znalazła ją Chloe, tak przynajmniej powiedziała mi Karen przez telefon. Wzięła jakieś proszki, które przepisał jej lekarz, na lęk czy bezsenność. Nie słuchałam zbyt uważnie, wyobrażałam sobie Rachel, siną i spuchniętą, na łazienkowej podłodze. Wzięła za dużo, byli niemal pewni, że popełniła samobójstwo, chociaż możliwe, że jednak był to wypadek. Nie zostawiła listu. Nagrała wiadomość na pocztę głosowej – ale o tym wiem tylko ja.

Owijam się w puchaty brązowy ręcznik. Lampa nad moją głową rozgrzewa ciało. Czuję z kuchni zapach pieczonego kurczaka. Nie jestem głodna, ale nie mam pomysłu, co innego miałabym robić, jedzenie wydaje się najprostszą opcją.

Karen robi straszne zamieszanie w związku z tym, że tego wieczoru jesteśmy wszyscy w domu. Nakryła stół w jadalni obrusem, wyciągnęła odświętną zastawę, ustawiła świece i pusty turkusowy wazon, ten sam, w który kiedyś wsadziła goździki od Adama. Wyciąga butelkę wina i stawia pośrodku stołu.

Na moim miejscu siedzi nowa dziewczyna Eliego. Nie odzywam się, ale bardzo wiele mnie to kosztuje. Siedzę na miejscu ojca, dziwnie się czuję, robię się niespokojna, bardzo chciałabym usiąść na swoim krześle, dziewczyna uśmiecha się i jest nerwowa, więc milczę. Ma na sobie fioletową sukienkę w kwiaty i biały sweterek. Karen chwali, że jest jej bardzo do twarzy w żywych kolorach, a potem patrzy na mnie i sugeruje, że powinnam wybrać się z Ashley na zakupy.

Ashley uśmiecha się do mnie.

– Byłoby fajnie – mówi.

Błę.

Ja mam na sobie antracytowy sweter i czarne spodnie do jogi. Włosy związałam w kucyk, na nos wsadziłam okulary w grubych czarnych oprawkach – hipsterskie okulary, jak mawia Danny. Kontakty zostawiłam na babski wieczorek. Na razie chcę dostarczyć oczom jak największej ilości powietrza. Okulary są od Gucciego, sweter jest z kaszmiru, ale z jakiegoś powodu Karen uważa, że powinnam uczyć się stylu od klientki sieciówek dla nastolatek.

– Podać ci coś, skarbie? – mówi Karen, głównie do Ashley, jakby chciała mi przypomnieć, że w ten sposób zwracała się do Rachel. Podać ci coś, skarbie? Bądź kochanie. Bądź Rach. Do mnie zawsze zwraca się „Aubrey”.

– Szklaneczkę Jacka Danielsa – rzucam.

– Whiskey? – dziwi się. – Chcesz pić whiskey do obiadu? – Przesuwa wzrokiem dokoła.

– Tak, chętnie napiję się whiskey. I dietetyczną colę. – Rozkładam serwetkę i wyglądam ją na kolanach – ...proszę – dodaję. – Pamiętam twoje zasady w kwestii gazowanych napojów, nie martw się, wypiję tylko jedną. – Przekrzywiam głowę i posyłam jej najśłodszy z uśmiechów. – Colę, znaczy się.

Patrzę, jak podchodzi do barku i sięga po Jacka Danielsa.

– Z lodem? – pyta.

– Tak. Proszę.

Potrząsa głową i patrzy na Ashley, jakby chciała powiedzieć: „Wybacz mojej niezdolnej córce. Nie wiem, co w nią wstąpiło!”.

Karen opiera butelkę o brzeg słoika typu Mason, czeka, aż napełni się w jednej czwartej. Dziwne, że nadal trzyma te słoiki, szczególnie że sama nazywała je kiedyś

tandeta. Nagle w moich myślach pojawia się Adam. Jak gwałtowne tępe uderzenie, jak koszmarne ból głowy – goździki, uprzejme odpowiedzi na wścibskie pytania Karen, białe pudło pełne słoików. Nie mogę przełknąć śliny, czuję się słaba, spanikowana. Patrzę na Karen, która nalewa whiskey ze sprawnością godną bartendera z domu pogodnej starości.

– Więcej – mówię. – Proszę. – Wzdycha i wlewa jeszcze trochę. – Więcej. To nawet nie jest setka.

– Aubrey – warczy. Uśmiecham się i w tym samym momencie mój wzrok pada na drzwiczki lodówki. A tam wisi pośrodku przyczepione magnesem zdjęcie: Rachel i ja na paradzie halloweenowej w kostiumach hipisek. Mam ochotę je zerwać i z wrzaskiem podetknąć Karen pod nos. Nie dość, że weszła do mojego pokoju bez proszenia, wykopała zdjęcie ze starego pudełka po butach, to jeszcze wywiesiła je na widoku jak jakieś trofeum.

Stawia przede mną słoik z whiskey, obok puszkę z colą.

Ashley uśmiecha się, spogląda na Eliego, pociera jego ramię, niespokojnie porusza się na krześle.

– Przepraszam – mówię, z trudem powstrzymując się od śmiechu. – Jestem taka nieokrzesana. Chcesz? – Podaję jej słoik, ale Ashley potrząsa głową, patrzy na moją mamę i znowu się uśmiecha.

– Zwykle nie pijamy mocnego alkoholu do obiadu – oznajmia Karen.

Eli puszcza do mnie oczko. Karen patrzy to na niego, to na mnie, jakby podejrzewała, że coś knujemy.

– A więc, Ash? Chyba mogę tak cię nazywać? Czy dziwnie to brzmi według ciebie? – Otwieram colę i wlewam odrobinę do whiskey. Kostki lodu stukają o siebie. Biorę spory łyk.

– Jasne. Wszyscy znajomi tak na mnie mówią.

– Świetnie – mówię i biorę kolejny łyk. Panuje gęsta cisza. W końcu Ashley znowu się odzywa, nie wiem, czy jest zdenerwowana, czy też czuje się całkiem swobodnie. Tak czy inaczej, jest to ciut niepokojące.

– Eli wspominał, że jesteś reporterką. Niesamowite.

Prycham i znów upijam whiskey. Pali w gardło, ale tłumi myśli tłukące się w mojej głowie. Kątem oka znowu widzę zdjęcie na lodówce.

– Wolę określenie „ściśle lokalna dziennikarka”, brzmi bardziej profesjonalnie. Ten zawód wcale nie jest taki glamour, jak może się wydawać. Ściśle rzecz biorąc, jestem po prostu twórcą treści. – Upijam whiskey, mówię dalej: – Jakie masz plany? Słyszałam, że w Nassau panuje spora rywalizacja. – Matka posyła mi mordercze spojrzenie, ale Ashley chyba nie zwróciła uwagi na ton mojego głosu. Dopijam drink i ocieram usta wierzchem dłoni.

– Owszem, ale w tym semestrze nieźle sobie radzę – mówi Ashley. Bierze małeńki

łyżek wina. Przyglądam się jej, próbując wybadać, czy naprawdę pije, czy tylko udaje. – Jeszcze nie wiem, co chcę robić. Może psychologia czy pedagogika.

– O – mówię, a potem wstaję, podchodzę do wyspy kuchennej, biorę nadal pełną do połowy butelkę Jacka Danielsa, napełniam słoik i tym razem nie dodaję coli. Zasada Karen. – Zapewne wiesz, że tu obecna pani Glass jest wybitnym psychologiem szkolnym. Z pewnością mogłabyś się od niej bardzo wiele nauczyć. – Biorę kolejny łyk, potem kręcę słoikiem. Whiskey pali w gardło, krzywię się, ale jest to przyjemny rodzaj bólu, jak podczas zbyt szybkiego biegu albo robienia tatuażu. – Na pewno chętnie ci doradzi. Prawda, Kar?

Matka kiwa głową, uśmiecha się do Ashley, ale wciąż patrzy na mnie. Słysząc, jak otwierają się drzwi wejściowe, potem rozlegają się ciężkie kroki Marca, matka zrywa się z miejsca.

– Dobrze się bawicie? – pyta Eli, kiedy matka wychodzi z pokoju.

– Jeszcze jak – mówię. Ashley ma nieswoją minę, znowu pociera ramię Elięgo.

– Ona cię zabije – mówi Eli.

– Nie mogę się doczekać.

Karen przynosi kurczaka na półmisku ze stali nierdzewnej. Przepis pochodzi z jej ulubionego programu kulinarnego, „Barefoot Contessa”. Nie zdziwiłabym się, gdyby Adam też go oglądał. Ostatnim razem, kiedy miałam wieści na jego temat, nadal pracował w portowej restauracji ojca Jasona.

Około ósmej skronie zaczynają boleśnie pulsować. Dwie godziny do babskiej imprezy. Właśnie zastanawiam się, jak by tu się wymigać, kiedy Marc pyta:

– Naprawdę nie idziesz? Znaczący, na pogrzeb. Mama mówiła, że strasznie się uparłaś. – Wszyscy milkną. Wsuwam do ust kawałek kurczaka nadziany na widelec. Karen wstaje i wychodzi do kuchni. Wywracam oczami. – No wiesz, nawet ja czuję, że powinienem pójść. Wszyscy idą. Przynajmniej na after party.

Czuję ukłucie w głębi płuc. Przetykam, otwieram usta, przypominam sobie, że muszę oddychać.

– Jezu – mówię. Zbyt głośno. – Co jest nie tak z wami wszystkimi? Czy jestem jedyną osobą w tym mieście, która uważa pomysł z pogrzebowym after party za odrażający? – Marc się śmieje, Karen wsadza głowę do pokoju i wzdycha ostrzegawczo.

– Będzie niesamowicie – mówi. – Bobby ma robić za didżeja. – Znowu oddycham, usiłuję pamiętać, że chodzi o pogrzeb. Pierdolony pogrzeb. Nie imprezę. To nie ja mam problem, tylko wszyscy dokoła.

– Po co właściwie wybierasz się na pogrzeb? Kręciłeś z nią czy co? – pytam półzartem.

– No nie do końca – odpowiada. Jakoś udaje mi się nie wypluć whiskey.

– Nie do końca? – Gapię się na niego, czekam, aż się uśmiechnie i powie, że żartował. Ale potem myślę sobie: niby czemu miałyby nie przespać z moim bratem? Spała praktycznie ze wszystkimi.

– Impreza u O'Reilly'ego, jakieś dwa lata temu. Oboje byliśmy pijani. – Ścisza głos, żeby Karen nie słyszała. – Wciągnęliśmy kreskę w łazience. Trochę się pomacaliśmy. I już.

– I już – powtarzam. – A ty? – patrzę na Elięgo. Na myśl, że Rachel dobrała się do mojego młodszego braciszka – nawet jeśli są między nami tylko dwa lata różnicy – mam ochotę walić pięścią w ścianę.

– Skąd – odpowiada i na wszelki wypadek klepie Ashley po plecach. – Ale na pewno wybieramy się na imprezę.

Wypuszczam powietrze z płuc. Kolejny powód, żeby nie iść.

– Aubrey! – woła matka. – Możesz mi pomóc? Pozwól na minutkę.

Wiem, do czego zmierza. Chwytam słoik z Jackiem i wychodzę do kuchni.

– O co ci chodzi? – cedzi przez zaciśnięte zęby.

– A tobie? – warczę. – Może nie jestem miła i uprzejma?

– Trochę ciszej – mówi ostrzegawczo.

– Nie – odpowiadam bełkotliwie. Dopiero teraz dociera do mnie, jaka jestem nawalona. – Odpiędol się od mnie. – Karen robi karpia, potem łapie mnie za ramię. Wybucham chrapliwym śmiechem, przy okazji prychnając śliną na jej twarz.

– Przepraszam – mówię, znowu prychnając. – Wyluzuj. Jezu. – Znowu łapie mnie za ramię. – Serio, odwal się ode mnie. – Patrzy, jakby całkiem mi odbiło. Zastanawiam się, co w tej Rachel było takiego wspaniałego. Pamiętam, jak raz znalazłam ją zaryczaną w łazience, bredziła coś, jaka jej matka jest straszna i jaka ze mnie szczęściara.

Aubrey, jesteś dla mnie jak rodzina.

Usiadłam razem z nią na zimnej podłodze i pozwoliłam płakać, a potem przyszła Karen, podniosła Rachel z podłogi, objęła i zaprowadziła do mojego pokoju. Rach, zawsze jesteś u nas mile widziana. Tak powiedziała. Jesteś częścią naszej rodziny.

– Pójdiesz na ten pogrzeb – mówi matka surowo, nadal ściskając mój łokieć. – Okaż trochę szacunku.

– Pewnie żałujesz, że to nie mój pogrzeb? – Rzucam jej twarde spojrzenie. Wcale tego nie chcę. Nie wiem, dlaczego to powiedziałam, ale ona tylko patrzy na mnie z głupią miną. – Co? Ty i Rachel. Ta przebojowa dziewczyna! Idealny team, mamusia z córeczką. Idealnie zestrojone radosne, kurwa, duo.

– Aubrey – mówi. – Uspokój się. Przestań.

– To ja mam przestać?! – wrzeszczę. Słowa drapią mnie w gardło, ręce zaciskają się wokół słoika. – Ja mam przestać? – powtarzam, jeszcze głośniej. – To nie ja

połknęłam fiołkę zasranych prochów. Tylko przebojowa Rachel. Nie czuła się szczęśliwa, więc się zabiła. A może próbowała. Bo naprawdę jak nikt kochała zwracać na siebie uwagę.

– Aubrey – mówi, jej oczy zachodzą łzami, co tylko podsyca moją wściekłość.

– Będziesz płakać? Serio? Błagam. Nie próbuj wywołać u mnie wyrzutów sumienia. Nie masz pojęcia, co ona mi zrobiła.

Karen bierze krótki wdech.

– To mi powiedz! – krzyczy. Nie myślę, ciskam słoikiem typu Mason o granitową podłogę, słoik roztrzaskuje się u stóp Karen.



# Rozdział 14

*Luty 2009*

Pieprzyć go.

Kopnęłam w krawężnik, boleśnie uszkadzając przy tym co najmniej trzy palce, rzuciłam jego kurtkę w kałużę i wróciłam do środka. Od razu się lepiej poczułam.

Pieprzyć go.

Ostatnio Adam przechodził fazę emo: obcisłe džinsy, koszulki z nadrukami zespołów muzycznych, włosy opadające na oczy i vintage'owa kurtka z džinsu, właśnie nasiąkająca parkingowym błotem. Wraz z nową fazą nadszedł nowy poziom smętnej tajemniczości. Stał w tylnej części sali koncertowej, ścisnął w rękę puszkę piwa, chwiejąc się niepewnie. Oparł się o ścianę i odrzucił głowę na bok, odgarniając włosy z czoła. Flirtował z niską laską w conversach, z krótką fryzurką typu pixie. Laska chichotała, nie odrywając od niego wzroku. Prychnęłam, potrząsnęłam głową i czekałam, aż Adam na mnie spojrzy. I spojrzał. Na jego twarzy malował się zimny krzywy uśmieszek. Lodowate szare oczy przebijały tłum i patrzyły prosto na mnie. Odwzajemniłam spojrzenie. Nawet nie była ładna i na pewno nie w jego typie. Uśmiechała się, śmiała nerwowo, ramiona trzymała skrzyżowane na piersi. Onieśmiała ją. Widziałam to i on też, wisiał nad nią, też się uśmiechał i kiwał głową, ale przez cały czas patrzył na mnie. Wyjęła telefon i w tym momencie Adam dyskretnie uniósł rękę i pomachał. Ale nie w przyjazny sposób, tylko tak jakoś skąpo i perfidnie, bardzo powoli.

Lekcja numer jeden: nigdy nie ufaj osobie, która zadeklarowała, że odwiezie cię po imprezie do domu, szczególnie jeśli samochód należy do ciebie.

Adam kupił bilety na ten koncert, by uczcić moje urodziny. Niezły żart. Nie słuchałam takiej muzyki. Zawsze wyciągał mnie na koncerty zespołów, których nazwy nawet nie obły mi się o uszy. Ale chodziłam. Tym razem grali Jimmy Eat World, nawet ich lubiłam. Adam skwapliwie skorzystał z okazji i sprawił mi prezent, który był prezentem również dla niego. Dwie pieczenie przy jednym ogniu. Ale żeby lepiej wypaść, kupił trzy bilety. Dla nas i dla Rachel. Powiedział, że siedemnaste urodziny powinnam spędzić z chłopakiem i najlepszą przyjaciółką. Tyle że koncert miał odbyć się pięć miesięcy później.

Ostatnio niezbyt dobrze nam się układało, więc towarzystwo trzeciej osoby wydało mi się całkiem niezłym pomysłem. Rachel dawała mi wyraźnie do

zrozumienia, że spędzam z Adamem stanowczo zbyt dużo czasu, że ją olewam i dbam tylko o faceta, i że jest to żalosne.

– Co według ciebie mam zrobić, Aub? Jesteśmy w ostatniej klasie. A wy i tak ciągle się kłócicie. – To prawda, często się kłóciliśmy. Ale prawdą było też, że opowiadałam jej wyłącznie o kłótniach, nigdy o dobrych chwilach. Nie powiedziałam jej na przykład, jak w zeszłym tygodniu, kiedy musiałam zakuwać w nocy do egzaminu, przyszedł z kawą ze Starbucksa i babeczkami z Magnolia Bakery, po które specjalnie pojechał do miasta.

Tak więc koncert był moim prezentem urodzinowym, pięć miesięcy po urodzinach. Wieczór zaczął się całkiem miło. Nie musiałam wybierać między Adamem a Rachel.

Koncert odbywał się w Stony Brook. Rachel i ja złopałyśmy w samochodzie Jacka Danielsa zmieszanego z dietetyczną colą, z butelki po wodzie mineralnej. Adam siedział na miejscu kierowcy, bębnił palcami do lecącego z głośników „Pain”. Rachel wzięła głęboki łyk, otarła kąciki ust, wyprostowała się, obejrzała przez ramię i posłała uśmiech chłopakom ze szkoły, jadącym w samochodzie za nami.

– Rach, chlejesz liskacza z colą z plastikowej butelki. Nie musisz udawać damy. – To miał być żart, ale twarz Rachel wykrzywiła się i ułożyła w klasyczną minę wkurwionej Rachel.

– I kto to mówi.

– Jezu, żartowałam.

– Nieważne – odparła. Napiałam się i podałam jej butelkę. Wyrwała mi ją z ręki i przesiadła się na miejsce z przodu. – Masz, napij się – powiedziała do Adama. – Będzie ci to potrzebne. Twoja dziewczyna ma dzisiaj paskudny humor.

– Adam prowadzi – rzuciłam, krzyżując ramiona na piersi. – I przecież mówiłam, że tylko żartowałam. Jezu. – Twarz Rachel złagodniała.

– Wiem. Ja też – odparła. Ale wcale nie byłam taka pewna. Przy Rachel nigdy nie byłam pewna. Wróciła na tylne siedzenie, wzięła w palce kosmyk moich włosów.

– Powinnaś je upinać – zawyrokowała. – Masz ładną twarz. Lepiej byś wyglądała, gdybyś dała mi zrobić fryzurę. – Poczułam na szyi jej gorący alkoholowy oddech. – Co, Adam?

– Uważam, że jest idealna. – Odwrócił się i puścił mi oczko. I tym razem bardziej przypominało to tik nerwowy. Rachel puściła moje włosy, przycisnęła twarz do szyby i – nie jestem pewna, ale mogłabym przysiąc, że westchnęła.

Przeniosłam się na przedni fotel. Z trzeszczących głośników leciała „Konstantine”.

– Nasza piosenka – powiedział, chwycił mnie za rękę i zaczął śpiewać, przesadnie zawodząc.

– Boże, co za koszmar – syknęła Rachel, otworzyła drzwi i wysiadła, prosto w

zamglony lutowy wieczór.

– „Na zawsze ty” – śpiewał Adam, głośno i fałszywie. – „W moich snach”.

Potrząsnęłam głową, a on zaserwował mi krzywy uśmiezek i zgasił silnik.

Z początku bardzo dobrze się bawiliśmy. Rachel i ja trzymałyśmy się z tyłu, tańczyłyśmy razem, a Adam skoczył pod scenę, prosto w szalejący tłum, zanurzył się w morzu kończyn śmierdzących potem i salą gimnastyczną. Z boku stała grupka chłopaków ze szkoły, w rękach trzymali puszki piwa. Widziałam, że gapią się na Rachel, ona najwyraźniej też była tego świadoma. Zakręciła biodrami, odwróciła się twarzą w ich stronę i posłała im swoje sławetne pościelowe spojrzenie.

Podczas „Work” jeden z nich, niski krępy dzieciak z lekką łysiną, podszedł do Rachel, złapał ją za biodra, przycisnął twarz do jej karku i zaczął się kołysać, sztywno i niezgrabnie. Tańczyli tak przez chwilę, poruszając biodrami w tył i w przód, totalnie niezgrani.

Rachel chwyciła mnie za rękę i przyciągnęła do siebie. Kątem oka zobaczyłam Adama, spojrzeliśmy na siebie przelotnie, a potem znikł w tłumie.

Może pojedziemy do domu? Spadajmy stąd, zanim będzie za późno.

– Zatańcz ze mną – poprosiła Rachel, przekrzykując muzykę. Konus nadal kręcił biodrami. Rachel przytrzymała moje dłonie i zaczęłyśmy tańczyć, naśladowując jego obleśne ruchy. Rachel pochyliła się w moją stronę, poczułam jej oddech przy uchu.

– Fajny? – zapytała teatralnym szeptem.

– Ani trochę – odparłam, ciągle tańcząc. Rachel odrzuciła głowę do tyłu, o mało nie wybijając mu zębów i zaśmiała się chrapliwie.

Nagle poczułam czyjeś dłonie na biodrach. Odwróciłam się i nagle moja twarz znalazła się przy piersi tego gościa. Dosłownie na sekundę, ale Adam już łapał mnie za łokieć.

– Co ty wyprawiasz? – spytał ostro. Chłopak cofnął się i znikł w tłumie. Rachel tańczyła dalej, z zamkniętymi oczami, głową odrzuconą do tyłu, udawała, że niczego nie zauważyła, ale na jej twarzy widniał ten nieznacznym zadowolony uśmiezek.

– Nic. – Wyrwałam łokieć. – Złapał mnie. Wyluzuj.

Twarz Adama lśniła od potu, włosy miał całkiem mokre.

– Wszystko widziałem. Nie wciskaj mi kitu, Aubrey.

– Jeśli wydaje ci się, że coś widziałeś, to właśnie niczego nie widziałeś. – Znowu chwycił mnie za ramię, odepchnęłam go. Zachwiał się, a potem mnie pchnął. Nie bardzo mocno, ale wystarczyło, żeby bramkarze interweniowali.

– Masz problem z tym gościem? – zapytał jeden z nich.

– Właśnie wychodziłem – wtrącił Adam, rzucił mi swoją kurtkę i ruszył w stronę toalet.

Więc pieprzyć go.

A teraz jego bezcenna kurtka nasiąka wodą z kałuży, on sam papla z jakąś małą zdziwą, Rachel znikła gdzieś z tym konusem, a ja od godziny piję straszne ilości wody, żeby w miarę wytrzeźwieć i sięść za kierownicą. Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin.

Wysłałam Rachel piąty esemes. Gdzie jesteś? Wiedziałam, że nie odpisze, nigdy nie odpisywała, ale chciałam wyglądać na bardzo zajęta. Nie mogłam pozwolić, żeby Adam wygrał.

Dopiero kiedy zespół zaczął się zwijać, a Adam otworzył chyba siódme piwo, nie wytrzymałam.

– Zbieram się do domu – powiedziałam. Pixie spojrzała na mnie z miną wyrażającą zaskoczenie zmieszane z niechęcią. – Sorry, że przerywam wam zabawę. – Adam spojrzał na dziewczynę, wzruszył ramionami, potem skinął głową i bez słowa ruszył w stronę wyjścia. Chwyciłam go za ramię, odwróciłam twarzą do siebie. Patrzył zimnym twardym wzrokiem.

– Ten gość mnie złapał – powiedziałam. – Chyba nie sądzisz, że przyszedłam tu flirtować z piętnastolatkami.

– Nieważne. – Śmierdział potem i piwem. Wstrząsnął się, kiedy wyszliśmy na parking, ale nie spytał o kurtkę. – Gdzie Rachel?

– Nie wiem. Pewnie bzyka się z tym niskim. W każdym razie nie odpowiada.

– Jasne – wybełkotał. – To chyba nic nowego. – Rachel nigdy nie odpowiadała na telefony w czasie swoich imprezowych zniknięć. Jakby wystawiała mnie na próbę. Jestem o tym przekonana. Celowo ignorowała esemesy i połączenia, żebym przez cały wieczór musiała jej szukać. A co by było, gdybym śmiała pojechać sama do domu!

– Telefon mi wysiadł – tłumaczyłaby potem płaczącym tonem. – Jak mogłaś mnie zostawić! Nigdy bym tak nie zrobiła. – Tylko że jej telefon miał się doskonale. Wyłączała go, w ten sposób mogła sprawować nade mną kontrolę.

– Kluczyki – powiedziałam zimno i dobitnie. Adam sięgnął do kieszeni, wcisnął mi kluczyki do ręki.

Zbliżała się północ, powietrze było rozrzedzone, temperatura w okolicach zera. Szliśmy obok siebie w milczeniu.

– Hej, Sullivan – zawołał nosowy głos. Adam odwrócił się w stronę grupki chłopaków, stojących obok czerwonego Volkswagena Jetta, wysokich i napakowanych. Jeden z nich zrobił otwór w denku puszki piwa i zaczął pić, pozostali palili papierosy, oparali plecami o samochód.

– Nie znoszę tego gościa – powiedział cicho Adam. Uniósł rękę w powściągliwym pozdrowieniu, ale chłopak już zmierzał w naszą stronę.

– Dawno cię nie widziałem – zmierzył Adama wzrokiem. Potem spojrzał na mnie. – Kto to? – Adam tylko potrząsnął głową, nie zatrzymując się. Chłopak zaszedł nam

drogę.

– Jestem Greg – przedstawił się, podając mi rękę. Odwzajemniłam uścisk, ale on nie potrząsnął moją dłonią, trzymał ją luźno. – Chodziliśmy z Sullivanem razem do podstawówki.

– Chodź, Aubrey – rzucił ostro Adam, wyrwał moją rękę z ręki Grega i pociągnął mnie w stronę samochodu.

– Dziewczyno – zdziwił się Greg – pozwalasz, żeby ci rozkazywał? – Wzruszyłam ramionami i poszłam za Adamem. – To pewnie rodzinne – dodał Greg. Adam zatrzymał się i obrócił na pięcie.

– Co powiedziałeś?

– Chodź, Ad – wtrąciłam.

– Powiedziałem, że to pewnie rodzinne. No wiesz, przemoc, gwałty. – Greg zarechotał, jego kumple wyszczerzyli się szeroko, czubkami butów kopiąc parkingowy żwir.

Puściłam rękę Adama, który nagle rzucił się do przodu, zręcznie i niespodziewanie. Zanim zdążyłam zareagować, już przygniatał Grega do ziemi. Trzasnęła kość, nie wiedziałam czy to pięść Adama czy szczęką Grega.

– Spadamy – krzyknęłam, pomagając Adamowi wstać. Koledzy Grega stali w miejscu jak wmurowani. Greg usiadł, przyciskając rękę do szczęki.

Wsiedliśmy do samochodu. Knykcie Adama spuchły i zsiniały.

– Chyba złamałem rękę – powiedział. A potem się załamał. Wtulił twarz w moją pierś. Płacz wstrząsał jego ciałem, łzy moczyły moją bluzkę.

– Już dobrze – powiedziałam. – Zawiozę cię do szpitala. – Pomasowałam jego ramię, cała zeszywniałam. Nigdy nie radziłam sobie za dobrze w tego typu sytuacjach. Głaskałam wilgotne włosy Adama, aż jego oddech się uspokoił. Mój oddech dostroił się do jego rytmu. Poczułam, że się rozluźniam.

Kiedy przypominam sobie cały nasz związek, to właśnie w tamtej chwili kochałam go najmocniej. Ze wszystkich wspomnień, żarcików, sekretów, najwyraźniej zapamiętałam tę chwilę w samochodzie. Miłość do Adama rozsadzała mnie od środka, pochłaniała. Może spowodowała to jego kruchość w tym momencie, a może moja, w każdym razie czułam się dobrze ze świadomością, że mnie potrzebuje. Że mi ufa. I na chwilę, tylko na chwilę, pozwoliłam sobie uwierzyć, że ja też go potrzebuję, i że mu ufam.

– Wierzysz w to? – zapytał. Oczy nadal miał mokre od łez. Siedzieliśmy tak, on z głową na moich kolanach, chyba przez dobre pół godziny.

– W co?

– W to, co mówią o Maksie. Że był gwałcicielem? – Wzięłam głęboki wdech, westchnęłam. Tak naprawdę nie wiedziałam, w co wierzę. Max mnie onieśmielał. Ale to dlatego, że byłam bardzo młoda. Całowaliśmy się. To wszystko. Z tamtego dnia

mam same dobre wspomnienia. Pierwszy pocałunek. Pierwszy alkohol. Drugi papieros. Mogłam powiedzieć Adamowi. Mogłam powiedzieć, że znałam jego brata, że był dla mnie bardzo miły. Ale nie powiedziałam. Czułam, że to nie jest odpowiedni moment. Wcześniej się pokłóciliśmy, a teraz po raz pierwszy się przede mną otworzył, jakąś część mnie bardzo to doceniała. Inna część miała mu to za złe. Tak czy inaczej, nie chciałam powiedzieć czegoś, przez co mógłby pożałować, że mi zaufał. Nie chciałam wykorzystywać jego chwili słabości, to by było nie fair.

– Czy moja opinia ma jakieś znaczenie? – spytałam. – Czyjakolwiek opinia? Był twoim bratem, kochałeś go. Reszta jest nieważna.

– Próbuję o tym nie myśleć – powiedział. Mocno zacisnął szczęki. – Wiem, że Max nie był święty, ale nie wierzę, żeby zrobił coś takiego. Był dobry.

– Może był dobry i właśnie dlatego nie mógł z tym żyć. Ludzie popełniają błędy – odparłam. – I dlatego to zrobił. Dlatego się zabił. – Nie powinnam była tego powiedzieć. Uświadomiłam to sobie w tej samej sekundzie, kiedy słowa wyszły z moich ust. Ale Adam nie zaprotestował. Westchnął i powiedział:

– Może.

– Czy twoi rodzice czasem o tym rozmawiają?

– Nie. Ale Max dał mi coś, zanim, no wiesz. Myślę, że należało do tej dziewczyny. Pierścionek. Po co mu go dała? Naprawdę nie rozumiem. To trochę dziwne, żeby dziewczyna dawała facetowi swoją biżuterię. – Kiwnęłam głową. Rzeczywiście, dziwne. A więc może Max go zabrał. Może jednak skrzywdził tę dziewczynę. Nie znajdowałam innego wyjaśnienia. Lecz nie powiedziałam tego Adamowi. Siedzieliśmy tak jeszcze przez kilka minut, nagle zadzwonił mój telefon. Rachel.

– Odbierz – powiedział. Przycisnęłam telefon do ucha.

– Gdzie jesteś?

– Aubrey – wymamrotała. – Jestem na plaży. Przyjdź po mnie.

– Na plaży? Co ty tam, do licha, robisz?

– Po prostu po mnie przyjeźdź. Proszę, Aubrey. Jesteś mi potrzebna.

Adam usiadł na swoim miejscu.

– W porządku – powiedział. – Dam sobie radę. Wyrzuć mnie po drodze. – Zamknął oczy, odchylił się na oparcie, zimny i daleki, jakby przed chwilą nie płakał na mojej piersi, wspominając zmarłego brata.

Podjechałam do wylotu tunelu łączącego parking z plażą. Widziałam Atlantyckie światła reflektorów, czarny i spieniony. Zamrugałam światłami trzy razy – dwa długo, raz krótko. Coś jak sygnał Morse'a. Miałam nadzieję, że Rachel po prostu sama przyjdzie do samochodu. Dwa krótkie, jedno długie. Zero odpowiedzi. Wysiadłam i weszłam do tunelu, reflektory za moimi plecami oświetlały drogę. Wiatr mocno dmuchał, piach i płatki śniegu wirowały u moich stop niczym pełzające przy ziemi duchy. W otworze widziałam Atlantyckie światła, mgła kleiła się do powierzchni wody.

Poczułam dreszcze, otuliłam się mocniej płaszczem.

Dotarłam do końca tunelu. Księżyc wisiał na niebie jak obrzynek paznokcia. Jakies trzydzieści metrów dalej widziałam cień Rachel, mały i nieruchomy. Po chwili zobaczyłam jej twarz. Miała sine wargi, oddychała bardzo powoli, jakby popłakiwała, palce kurczowo zaciskała wokół butelki Pinot Noir.

– Co się stało? – zapytałam, siadając na piasku.

– Nic – odparła. – Gość jest palantem. Zrobiłam mu laskę i nagle okazało się, że musi natychmiast wracać do domu – mówiła bełkotliwie. – Pierdolić to. Powiedziałam, żeby się o mnie nie martwił.

Wstałyśmy i ruszyłyśmy w kierunku reflektorów. Rachel zatrzymywała się co kilka kroków, wciskała pięty w piasek i przekręcała głowę, jakby ktoś umieścił ją na osi. Włosy kleiły się do zabarwionych winem ust.

– Jesteś moją najlepszą przyjaciółką, Aubrey. Strasznie cię kocham – mówiła.

– Wiem. Ale jest lodowato, chodźmy.

Padła na plecy i wydała z siebie maniacki chichot, który zmienił się w przenikliwy pisk.

Lutowy wiatr ciskał mi piachem w twarz, ostre ziarna kłuły w dłonie. Sięgnęłam do kieszeni po rękawiczki.

– Opowiadałam ci kiedyś o moim pierwszym pocałunku?

– Z Frankiem? – Rachel macała się z Frankiem Weberem na urodzinowej imprezie u Ally, w drugiej gimnazjum.

– Nie – odparła, nadal chichocząc. – O moim prawdziwym pierwszym pocałunku. Miałam dwanaście lat. Poznałam go w sieci. Na czacie. Pamiętasz? ASL.

– Yy, nie – odparłam. – Nigdy o tym nie słyszałam.

– Wiek, plec, miejsce zamieszkania. Napisał: 18/m/Queens. Chyba oboje skłamaliśmy.

– Jezu, Rachel. I co się stało? – Głos mi się załamał i zrobił się bardzo cichy, nawet nie wiedziałam, czy Rachel usłyszała. I nie byłam pewna, czy chcę poznać odpowiedź, ale ona i tak opowiadała dalej:

– Czатовaliśmy przez jakiś tydzień czy coś. Każdego dnia po szkole, zanim moja mama wróciła z pracy. – Mówiła lekko rozbawionym głosem, przywoływała szczegóły historii z pijacką nonszalancją. – Bardzo chciałam się z kimś całować, wiesz? Albo przynajmniej powiedzieć, że się całowałam. Sądziłam, że to całkiem normalne marzenie. – Szczelniej owinęła się płaszczem, osunęła się na wilgotny piach. – Umówiliśmy się na spotkanie. Napisał, że przyjedzie po mnie na parking przed kinem. Naprawdę wierzyłam, że po prostu wsiądę do samochodu, pocałujemy się i sobie pójdę. I koniec. Oboje będziemy bardzo szczęśliwi. Może obejrzymy film dozwolony od osiemnastu lat czy coś w tym stylu i jeszcze raz się pocałujemy. Pamiętam, że wtedy w kinach znowu leciał „Egzorcysta”. Ależ byłam

głupia.

– Rachel, miałaś dwanaście lat. Dlaczego mi nic nie powiedziałaś?

– Dwanaście lat i pusto w głowie – wybełkotała. – Tak czy inaczej. Głupi ma szczęście. – Wzięła w rękę garść piachu. – Wsiadłam do jego samochodu. Radio było włączone, leciał jakiś grunge, coś jak Nirvana, ale nie Nirvana. Gdybym usłyszała tę piosenkę, na pewno bym ją rozpoznała. – Otworzyła rękę, piach przeleciał między jej palcami. – Był bardzo pewny siebie, a mnie zrobiło się niedobrze. Zatrzasnęłam drzwi i dokładnie w tym samym momencie poczułam, że jest źle. Rozumiesz?

Przytaknęłam.

– Miał na twarzy dzioby po ospie. Jak blizny potrądzikowe – dodała. – I tłuste włosy. Wyraźnie pamiętam te jego tłuste włosy. Mdlilo mnie, ale nie mogłam tak po prostu wysiąść. Rozumiesz?

Znowu przytaknęłam. Ocean był całkiem czarny.

– Machał nogą nad pedałem gazu i co kilka sekund wciskał za mocno i samochód podskakiwał. Siedzieliśmy tak bardzo długo, nic nie mówiąc. Żuł gumę, naprawdę głośno, w końcu pochylił się i powiedział: To jak, może coś, tego? A potem mnie pocałował. Miał zimny sflaczały język, oblizał nim moje zęby, a potem wepchnął go i wyjął, i tak kilka razy. W końcu się odsunęłam.

– Odrażające – powiedziałam. Nic innego nie przyszło mi do głowy.

– Mnie to mówisz – odparła, ciągle rozbawionym tonem. Usiadła, wcisnęła palce w piach. – Spanikowałam, otworzyłam drzwi i zwałam do domu.

– Nikomu o tym nie mówiłaś?

– Nikomu. – Na jej twarzy znów pojawiło się coś na kształt uśmiechu. – A komu niby? Czuję się jak debilka. Nie mogłam ci powiedzieć.

– Mogłaś – odparłam i pomogłam jej wstać. – Ale chodźmy już stąd. Zamarzam. – Posłusznie ruszyła do samochodu, już się nie chwiała. I ani słowem nie podziękowała, że po nią przyjechałam.

Stałam w kuchni u Rachel i wlewałam w siebie kolejne szklanki wody, jeszcze i jeszcze, aż poczułam, że mdłości mijają. Odwiozłam ją do domu, położyłam do łóżka, wytarłam rzygi z twarzy i nagle uświadomiłam sobie, że jestem kompletnie zalana. Wcześniej chyba byłam zbyt zdenerwowana z powodu Adama, by to do mnie dotarło. Zadzwoiłam do niego raz po drodze, tak żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku, ale nie odebrał. Pewnie już spał. Dochodziła trzecia.

Ponownie napełniłam szklankę wodą z kranu i w tym momencie go zobaczyłam. Jeff, zwalisty burak, wielbiciel wyścigów samochodowych, prawie goły, nie licząc obcisłych białych slipów. Czaił się w ciemnościach. Aż podskoczyłam na jego widok, przy okazji strącając pojemnik z mydłem do metalowego zlewu.

– Ło, spokojnie – powiedział. – Nie chciałem cię przestraszyć. – Było ciemno, ale



przez szklane drzwi sączył się do środka blask księżyca, doskonale podkreślając zarys krocza w białych gaciach.

Jeff otworzył lodówkę i wyjął puszkę piwa. – Chcesz?

Potrząsnęłam głową, z trudem powstrzymując się od puszczenia pawia na podłogę z taniego linoleum. Jeff zaczynał łysieć, nad gumką od majtek sterczał wielki brzuch. Oparł się o blat, biodra wypchnął w moją stronę, jakby chciał popisać się swoim pięknym ciałem.

– Ciężka noc? – rzucił, otwierając piwo. – Słyszałem, jak wchodziłyście. Rachel chyba całkiem się zwała. – Zaśmiał się chrapliwie. Przyłapałam się na tym, że patrzę na kręcone kłaki porastające górną część jego ud.

Spojrzałam na zegar przy mikrofalówce, właśnie pokazał trzecią siedem, mruknęłam coś o łazience, wpadłam do pokoju Rachel i zamknęłam drzwi na klucz.

# Rozdział 15

*Poniedziałek, 6 października 2014*

Blask ulicznych latarni oblewa dom Ally – a właściwie dom jej rodziców. Wygląda tak samo jak w czasach liceum, nie licząc nowej werandy czy czegoś w tym rodzaju. Niczym nie różni się od pozostałych willowych domów w tej dzielnicy, więc trudno powiedzieć. Parkuję po drugiej stronie ulicy, siedzę w samochodzie, nadal czuję się pijana, w głowie pulsuje mi od wypitej whiskey.

Ally mieszka z dala od oceanu, we wschodniej części miasta, niedaleko Seaport Diner. Wiem, że nie powinnam prowadzić, ale po tym, jak słoik roztrzaskał się na podłodze, po prostu musiałam wyjść. Nie mogę zapomnieć wyrazu twarzy Karen. Jakby nagle doznała olśnienia, jakby wreszcie uświadomiła sobie, jaka naprawdę jestem. Totalnie popierdolona.

Nie zostałam, żeby posprzątać i przeprosić, uciekłam, łapiąc po drodze kluczyki. Dopiero w samochodzie zauważyłam, że zapomniałam telefonu. Spodziewam się co najmniej czterdziestu nieodebranych połączeń. Jestem pewna, że po moim wyjściu zrobiło się niezłe zamieszanie. Już to widzę: Ashley pociesza rozhisteryzowaną Karen, Marc i Eli sprzątają rozbite szkło.

Siedzę w samochodzie, patrzę na cienie za roletami, trzy czy cztery szczupłe postacie. Nie mam pojęcia, czego się spodziewać po tym spotkaniu, i nie jestem pewna, czy chcę się tego dowiedzieć.

Sięgam do torby po papierosa – trzeciego tego dnia – i fiolkę z xanaxem, odchyłam się na oparciu, otwieram okno na dwa centymetry, żeby nie nadymić. Wsuwam tabletkę między zęby, przełykam.

Ostatni raz byłam tutaj pięć lat temu – na imprezie w Pierwszy Piątek, w końcowej klasie liceum. Ally zawsze marzyła, by to jej przypadł zaszczyt wyprawienia pierwszopiątkowej imprezy – tak jak niektórzy marzą, by zostać kapitanem drużyny pływackiej albo dostać się na prestiżową uczelnię. Ally zaś marzyła, by wyprawić pierwszopiątkową imprezę dla naszego rocznika, jakby dzięki temu miała spłynąć na nią chwała po wsze czasy. Pamiętam, że czułam się z niej dziwnie dumna.

Zgodnie z tradycją Adam i ja wymknęliśmy się z imprezy zaraz po północy, zabierając butelkę Jacka Danielsa. Była ciepła wrześnieowa noc. Podawaliśmy sobie butelkę i piliśmy na zmianę, paląca whiskey spływała mi po brodzie i plamiła koszulkę. Karen była u babci w Connecticut, Eli u taty, więc mieliśmy wolną chatę.

Ally byłaby bardzo rozczarowana, gdyby się dowiedziała, że tak wcześniej wyszłam z jej imprezy, ta noc pewnie była najważniejszą w jej dotychczasowym życiu, ale przypuszczam, że była zbyt zajęta skrobaniem plam po spermie z bezcennej pościeli w sypialni rodziców.

Adam zaniósł mnie do domu na plecach. Ledwo przekroczyliśmy próg, pchnął mnie na ścianę i przywarł ustami do mojej szyi. Chwyciłam go za kołnierzyk przy koszulce i pociągnęłam w stronę schodów. Pokryte dywanem stopnie wbijały mi się w plecy, Adam leżał na moim bezwładnym pijanym ciele.

Nie mam pojęcia, jakim cudem znaleźliśmy się pod prysznicem. Może na chwilę straciłam przytomność, a może byłam zbyt przejęta tym, co się dzieje, tak czy inaczej w jednej chwili leżeliśmy na schodach, całkowicie ubrani, a w następnej staliśmy całkiem nadsy pod strumieniem gorącej wody.

Nie dotykaliśmy się. Staliśmy w odległości co najmniej trzydziestu centymetrów od siebie. Adam po raz pierwszy widział mnie bez ubrania. Nie było to przyjemne uczucie. Ale nieprzyjemne też nie. Raczej niepokojące.

Nie odrywając ode mnie wzroku, wsunął język w moje usta. Przycisnął ciepłe ciało do mojego ciała. Oplotłam ramionami jego szyję i poczułam na udzie twardniejący członek. Adam poruszał się przez chwilę w powolnym rytmie, aż z jego gardła wymknął się stłumiony jęk.

Mam wielką ochotę uciec, odjechać jak najszybciej, wczołgać się do łóżka – rano wyślę Ally esemes z jakimś bezsensownym wykrętem – ale w tym momencie ktoś wygląda zza rolety. Potem zjawia się kolejna para oczu i nagle wszyscy machają do mnie z zapalem.

– Kurwa – mrużę. – Kurwa. Kurwa. Kurwa. – Szybko gaszę papierosa w popielniczce.

Wysiadam, wyglądam na brzuchu sweter z szarego kaszmiru i macham do nich, zarzucam torbę na ramię, uśmiecham się, aż do bólu w szczękach.

Drzwi się otwierają dokładnie w momencie, kiedy stoję na tej chyba nowej werandzie.

– No wreszcie – mówi Ally i obejmuje mnie. Od razu widzę, że jest nawalona. – Tak się cieszę, że przyjechałaś. Już myśleliśmy, że nic z tego.

Patrzą na mnie z bladymi uśmiechami na twarzy. Ally, Sasha i dwie inne twarze, które skądś znam, ale za nic nie mogę przypomnieć sobie ich imion. Nie wiem, czy to wina whiskey, czy pamięć całkiem mi wysiadła, tak czy inaczej wchodzę do środka i uświadamiam sobie, że jestem zalana zdecydowanie mocniej, niż sądziłam.

Jest za gorąco, rodzinne fotografie na ścianach wyglądają jak fałszywki, kaszmir klei mi się do skóry, plecy wilgotnieją. I nagle mój wzrok pada na stół w jadalni. Gadzety przygotowane na pogrzeb Rachel stoją w idealnie równym rzędku. Ally nie kłamała. Rzeczywiście są tam kieliszki, co najmniej sześćdziesiąt, z matowego szkła,

z wygrawerowanym imieniem Rachel, datą urodzenia i datą śmierci, a także T-shirty, co najmniej trzydzieści białych T-shirtów ozdobionych nadrukiem wyszczerzonej twarzy Rachel, umieszczonej nie całkiem pośrodku. Ten, kto je robił, naprawdę konkretnie spieprzył robotę. Podchodzę do stołu, dotykam bawełnianej tkaniny.

Ally nalewa mi Pinot Noir, siadam na sofie obok jednej z tych dwóch dziewczyn, których twarze nic mi nie mówią – a, Ellie, tak, Ellie Martin.

– Nadal jesteś z tym chłopakiem? – zagaja Ally, krzyżując nogi i pochylając się w moją stronę.

– Dannym – mówię. Upijam wina i kiwam głową. Wino grzeje mnie w gardło, jest bogate i ziemiste. Czuję na sobie wzrok Ellie.

– Opowiedz o nim – prosi Ally.

– No nie wiem. Jest w porządku – mówię. Ciekawe, czemu je to w ogóle interesuje.

– Tylko w porządku? – Prycha głośno i patrzy na pozostałe dziewczyny. – Chyba mieszkacie razem, nie? – Policzki ma zaczerwienione, mysie brązowe włosy sięgają do połowy pleców. Nałożyła za dużo bronzera.

– Mieszkamy – potwierdzam. Znowu kiwam głową i kręcę kieliszkiem.

– A więc to coś poważnego? – Nie wiem, czy to z powodu ciemnego tonu, który przybiera jej głos, ale nagle czuję ucisk w żołądku. Skąd ona ma takie informacje? Nie mam konta na Facebooku ani nic w tym stylu właśnie dlatego. Wolę zachować prywatność.

– Chyba tak. Jesteśmy razem już jakiś czas. – Czuję, że zaczynam przybierać pozycję obronną, nienawidzę tego poczucia, że muszę im coś udowodnić. Sasha, Ally, Ellie i Ta Laska, Której Imienia Nie Mogę Sobie Przypomnieć siedzą jak komisja sędziowska, pochylone w moją stronę, czekają na kolejne słowa, fragmenty mojego nudnego monochromatycznego życia.

– To miły facet – dodaję. Pierścionek uderza o nóżkę od kieliszka, ręce znowu mi się trzęsą, więc wypijam jednym haustem resztę wina i wsuwam dłonie pod uda.

– Mm – mówi Ally z przebiegłą miną i odchyła się na oparcie. – Widziałaś się z Adamem? Wiesz, że pomaga nam przy organizacji imprezy? – Imię wytacza się z jej ust, chociaż bardziej odbieram je jak splunięcie prosto w moją twarz. Czuję, że policzki mi czerwienieją, wyciągam ręce i sięgam po pusty kieliszek. – Trochę niezręczna sytuacja.

– To skomplikowane – mówię zimno.

– To znaczy, no wiesz. – Ally patrzy na pozostałe dziewczyny. – Co nieco obilo nam się o uszy. – Świat zatrzymuje się w miejscu. Pokój zaczyna wirować, światła – przysięgłabym – ciemnieją.

– O czym ty mówisz? – pytam. Chociaż wiem.

– Słyszałyśmy, że zrobiłaś coś bardzo złego – cedzi, niemal śpiewnie. Pozostałe dziewczyny tłumią śmiech.

Wstaję. Za szybko. Kręci mi się w głowie. Strasznie kręci mi się w głowie.

– No, Ally – mówię, a pokój nadal się obraca, bardzo powoli. – A co u ciebie? Nadal mieszkasz z rodzicami. Nie masz chłopaka? Wciąż pracujesz w centrum handlowym?

– Nie było cię przy niej, kiedy byłaś jej potrzebna. – Ally też wstaje i podchodzi do stołu z pogrzebowym badziewiem. – Nie uważasz, że mogła potrzebować pomocy najlepszej przyjaciółki? – Chcę coś powiedzieć. Chcę zepchnąć te kretyńskie kieliszki, chcę, by roztrzaskały się u stóp Ally jak miniaturowe granaty. Ale tego nie robię. Stoję w miejscu. Ręce mi się trzęsą. Odrętwienie zderza się z zimną twardą paniką – kombinacja przyprawiająca o mdłości. A ja? Mam ochotę krzyknąć. Może ja też potrzebowałam pomocy najlepszej przyjaciółki? Ale nie mówię tego. Nie mówię nic, stoję tak, ściskając kieliszek w spoconej garści.

– Ale wszyscy za nią tęsknimy. Jaka szkoda, prawda? – mówi Ally. Chwiejnie odrywa się od stołu, podchodzi do mnie, za blisko, palcami odgarnia włosy z mojego czoła.

– Ja ani trochę – mówię. Słowa spływają z języka gładko, bez wysiłku. Oddech Ally czuć winem. Pokój przestaje wirować. Ot tak. Zapada cisza. Zatechłe milczenie. Jedna z dziewczyn mlaska językiem, jakby chciała coś powiedzieć, ale pozostałe patrzą na nią, na mnie nikt nie patrzy. Nawet Ally, której twarz znajduje się dosłownie kilka centymetrów od mojej twarzy.

– Dlaczego tak mówisz? – pyta Ally, wciąż patrząc na Saszę, Ellie i Laskę, Której Imienia Nie Mogę Sobie Przypomnieć, wtulone w siebie na sofie. Podnoszę butelkę wina, biorę łyk. Czuję ciepły gorzki smak. Przelykam.

– Czemu udajesz, że cię to obchodzi? – pytam.

– Daj spokój, Aubrey. Wcale tak nie myślisz – wtrąca Sasha, cichym niepewnym głosem. To jej pierwsze słowa od mojego przyjścia.

– Yy, owszem. Tak właśnie myślę. – Biorę kolejny łyk, ocieram podbródek wierzchem dłoni. Znowu czuję, jak słowa buzują w moim wnętrzu. – Była durną pizdą, chorobliwie spragnioną uwagi otoczenia. – Słowa wychodzą na zewnątrz mokre i bełkotliwie. – Podaj jakiś przykład, kiedy nie zachowała się jak ostatnia sucz. No, dawaj. Tylko jeden przykład. – Patrzą na stojące w rzędzie kieliszki. Mrugają do mnie, drażnią się, kuszą, żebym jednym zręcznym ruchem zrzuciła je na podłogę. Ale ja siadam z powrotem na sofie, całkowicie wyczerpana. – Ale z was smęciary – mówię.

– Spotkałyśmy się z powodu pogrzebu. Czego się spodziewałaś? – pyta Ally. Nadal stoi w tym samym miejscu, gdzie ją zostawiłam. Panuje cisza, nie licząc delikatnego głosu Adele płynącego z iPod'a na drugim końcu pokoju. Zauważyłam muzykę dopiero

teraz.

Biorę pustą do połowy butelkę Pinot, wstaję, wciskam torebkę pod pachę.  
– Ja nie przyjechałam z powodu pogrzebu – mówię.

# Rozdział 16

*Marzec 2009*

Rachel zakręciła przed szkołą swoim jaskrawożółtym pathfinderem, otarła się o krawężnik. Zrobiłam krok w tył, zaczekałam, aż wycofa, potem wskoczyłam do środka, na siedzenie z przodu. Było piątkowe popołudnie, druga połowa marca. Jeszcze zanim mój tyłek zdążył dotknąć fotela, Rachel podała mi kubek z kawą. Kropla śmietanki, szczypta cynamonu, bez cukru. Wiedziała, jaką piję. To muszę jej przyznać. Zawsze umiała zdobyć się na takie drobne gesty, które w gruncie rzeczy znaczyły bardzo wiele: pamiętała, jaką piję kawę, pierwsza składała życzenia urodzinowe, przyjeżdżała po mnie, kiedy dłużej zostawałam w szkole, żeby popracować nad gazetą.

Rachel piła swoją karmelową mrożoną frappe z czymś tam, jedną ręką kręcąc kierownicą. Beżowa breja ściekła po jej nadgarstku. Podniosła rękę i oblizała – język zostawił mokre ślady wokół fioletowej silikonowej bransoletki. Od lepkiego zapachu śliny i karmelowej kawy zrobiło mi się niedobrze. Sięgnęłam do schowka i podałam Rachel poplamione kawą serwetki z logo Dunkin Donuts.

– I co? Jakies wieści od kolegi? – Nie traciła czasu.

Pokręciłam głową. Próbowałam udawać, że mnie to nie rusza.

Od naszej ostatniej kłótni minęło jedenaście dni. Poszło o głupotę. Zaczęło się zapasami na żarty, nic nadzwyczajnego w naszym przypadku. Ale byliśmy razem od początku liceum, wokół tematu seksu narastało coraz większe napięcie.

– Jezu – warknął. Leżeliśmy na podłodze w moim pokoju, drzwi były otwarte. Był początek marca.

– O co chodzi? – zapytałam. Ale znałam odpowiedź. Adam usiadł, poprawiając dzinsy.

– Albo to robimy, albo nie. Zdecyduj się wreszcie. Skończ z tym pierdoleniem.

– Czy raczej zacznij, chciałeś powiedzieć? – Milczał. – Czy co? – Zacisnął szczęki, szare oczy wypalały dziurę w podłodze. Wstałam i podeszłam do drzwi. Adam nadal miał nadąsaną minę i nadal gapił się w podłogę, jakby zamierzał wypluć z siebie jakąś nieprzyjemną uwagę.

Przez ostatni miesiąc, od tamtego koncertu, Adam nabrał masy. Jego klatka piersiowa i plecy zrobiły się szersze, nagle, niemal w ciągu jednej nocy. Zaczął podnosić ciężary i pracował w restauracji portowej, u taty Jasona Dowda, sprzątał ze

stolików, nosił pudła z towarami. Nadal był mroczny i ponury, jakby przemarznięty, przez te sinawe usta, lecz kiedy mnie całował, nigdy nie były zimne, a kiedy mnie obejmował, rzadko stawiałam opór.

– Adam – powiedziałam. Nie podniósł wzroku, rysował palcem kółka na podłodze. – Hej? – Dalej nic. – Zamierzasz się na mnie boczyć przez cały wieczór? – Pachniał frytkami i wodą morską, z lekką nutą kawy. – Okej.

Wciąż stałam w drzwiach.

Próbowałam, nie mógł mi tego zarzucić. Rok wcześniej pierwszy raz zrobiłam mu ręką, sześć miesięcy później zrobiłam mu laskę. Przeważnie kładł się na mnie i przez dziesięć minut ocierał o moje udo, aż na dżinsach pokazywała się mokra plama. Nie miałam nic przeciwko temu. Wolałam to, niż gdyby próbował coś zrobić ze mną. Talia stanowiła w tym czasie nieprzekraczalną granicę – moja talia, nie jego.

– Jakies to ma właściwie znaczenie? – zapytał.

– Co masz na myśli?

– I tak w końcu wyjedziesz. Więc jaki to ma sens?

– Nie mówiłam, że wyjeżdżam.

– Myślisz, że twoja mama się zgodzi? Jedziesz do Brown. Ja o tym wiem. Ty o tym wiesz. Więc skoro nie chcesz tego ze mną zrobić, to znaczy, że oszczędzasz się dla jakiegoś debila, którego poznasz na uczelni. Pewnie będzie należał do bractwa. I wlezie ci w majtki tylko na tę jedną noc.

Siedział na podłodze, naburmuszony, uparcie rysując palcem kółka na deskach.

– Wiesz, że to nieprawda – zaczęłam. – Jak w ogóle mogłeś coś takiego powiedzieć? – Nie odzywał się. Nawet nie podniósł wzroku. Wypuściłam powietrze z płuc i czekałam, jego słowa kipiały w moim wnętrzu. Były tylko słowami. Okrutnymi pustymi słowami, oznaką jego własnej niepewności, ale kiedy tak czekałam, a czas mijał, coraz trudniej przychodziło mi zachować panowanie nad sobą.

Nie zamierzałam rzucić Adama. Nawet mi to nie przyszło do głowy. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego tak ostro zareagował z powodu mojego wyjazdu na studia. Wiedział przecież od zawsze, że kiedyś wyjadę. Miałam poczucie niesprawiedliwości. Ciężko pracowałam. Wiedział o tym. Dostałam się na prestiżową uczelnię należącą do Ivy League, mimo negatywnej opinii Karen na mój temat. Powinien cieszyć się razem ze mną, a nie wpędzać mnie w poczucie winy. Przerabiałam jego słowa w myślach – te o oszczędzaniu się dla jakiegoś debila z bractwa – i nagle ogarnęła mnie wielka chęć, żeby walnąć go w twarz, chwycić za ramiona i potrząsnąć, aż wytrząsnę z niego wszystkie wątpliwości. Ale tego nie zrobiłam. Zachowałam spokój, jak zwykle, i beznamiętnym głosem powiedziałam:

– Pierdol się. – A potem wyszłam z pokoju.

Nie zaszłam bardzo daleko, bo tylko do łazienki. Stałam przed lustrem, zacisnęłam pięści tak mocno, aż rozboleły mnie plecy, aż całe ciało zaczęło drżeć.



Kiedy wróciłam, Adama nie było. Usiadłam na brzegu łóżka, położyłam dłonie na kolanach, oddychałam gwałtownie, aż paliło mnie w piersi. Nie chciałam do niego pisać. Nie chciałam zachowywać się w taki sposób. Nie miałam za co przeproszać, on za to tak.

Wiedziałam, że to się stanie. Od wielu miesięcy czułam, jak narasta w gęstej przestrzeni pomiędzy naszymi słowami: jego humory, protekcyjny ton, zaangażowanie w pracę. Czułam się jak idiotka, że wcześniej nie dostrzegłam, co się za tą zmianą kryje. Miałam wyjechać. Miałam wyjechać, a on miał zostać. Nici z Vermont. Nici z Kanady. Nici ze śniegu, proszącego niczym gwiazdny pył w nieskończonej ciemnej przestrzeni, w której mieliśmy żyć we dwójkę jak w bajce. W naszym raju. Nic z tego. Jeszcze tylko jedno wspólne lato na Long Island.

Pierwszy esemes był pasywno-agresywny. Chciałam dać mu szansę na przeprosiny: To jak z nami będzie?

Drugi esemes był propozycją zawarcia pokoju: Zadzwoń.

Trzeci był wyrazem narastającej wściekłości: Nie, pierdol się.

– On ma rację, Aub – zawyrokowała Rachel, kiedy wyjeżdżałyśmy z parkingu. – Będiesz żałowała, jeśli teraz tego nie zrobisz. Przecież go kochasz.

– A to co niby znaczy?

– To znaczy – odparła – że kiedy pójdziesz na studia, żaden facet nie będzie tak cię kochał. Na studiach nikt nie chce się wiązać. W końcu zrobisz to z jakimś przypadkowym gościem.

– Na pewno nie – zaprotestowałam. Rachel uniosła brwi i upiła kawy przez słomkę. – On w ogóle nie chce ze mną rozmawiać. Jutro jego urodziny. Co mam zrobić?

– Jezus. Po prostu to zrób.

– Trochę trudne, zważywszy, że Adam nawet nie odpowiada na moje esemesy.

– Dziś wieczorem wszyscy będą u O'Reilly'ego. Adam na pewno też. Powiesz mu to osobiście. No wiesz: Niespodzianka! Najlepsze życzenia urodzinowe! A oto moja wagina!

– Chodzi o zasady – odparłam. – Nie zamierzam tak po prostu ustąpić.

– O, daj spokój. Teraz to upierasz się bez sensu. Wiesz, że i tak to zrobisz. – Miała rację. Rzeczywiście. W każdym razie tak planowałam. Ale planowałam też z nim zostać. A brak zaufania ze strony chłopaka i najlepszej przyjaciółki wydawał mi się mocno odstręczający.

Większość studentów zdążyła wrócić do domu na ferie wiosenne, wszyscy mieli spotkać się u O'Reilly'ego – uczniowie ostatnich klas i studenci pierwszego roku, ci z kategorii „jestem za fajny na to miasto, ale jeszcze nie skończyłem dwudziestu jeden lat”. Bar u O'Reilly'ego to była zwykła speluna, nic specjalnego. Budynek stał obok stacji kolejowej, ozdobiony lampkami choinkowymi. Owszem, miejsce nie należało

do szczególnie ciekawych, ale jak słusznie zauważyła Rachel, to była moja szansa, by porozmawiać z Adamem i wszystko wyjaśnić.

Oparłam się wygodnie na fotelu i uniosłam do ust kubek z kawą, ostrożnie, żeby nie zalać białej bluzy.

Z głośników poleciał „Fast Car”. Pochyliłam się i podkręciłam dźwięk.

– Poważnie? – powiedziałam z wdzięcznością.

– Kochasz ten utwór – odparła Rachel. – To nasza piosenka.

– No, ale nie spodziewałam się, że usłyszę ją zaraz po „Milk Shake”.

Rachel uśmiechnęła się, ściskając w zębach papierosa.

– Przegrałam ci – powiedziała, ruchem głowy wskazując deskę rozdzielczą. Otworzyłam schowek i rzeczywiście, w środku leżała płyta CD w przezroczystej plastikowej okładce, z napisem „Składanka zima 2009”. Włożyłam ją do torby.

– Jak tam w gazecie? – zapytała Rachel, kiedy stanęliśmy na czerwonym świetle. Powiedziała to w taki wstrętny sposób, jakby sugerowała, że powinnam się wstydić.

– No wiesz, jak zwykle – odparłam, maskując ukłucie poczucia winy, którym napełniała mnie przez te wszystkie lata. Nie kibicowała mi, kiedy zaczęłam pisać do gazety. Ale to nie ona próbowała dostać się do Brown. Zajęcia dodatkowe nigdy jej nie interesowały, no, chyba że chodziło o kibicowanie w drużynie cheerleaderek. Chociaż i na tym polu jej dni były policzone. Spóźniała się na treningi, jeśli w ogóle raczyła się pokazać, kilka razy trener przyłapał ją na paleniu papierosów w czasie, kiedy powinna być na zajęciach. Za pierwszym razem dostała ostrzeżenie. Za drugim zawiesił ją na tydzień. I obiecał, że następnym razem ją wyrzuci.

Rachel przyspieszyła. Za oknami migają drzewa, gęste i zielone, zmarniałe i brązowe, wszystko naraz. Kolory południowego wybrzeża Long Island. Jak sięgnę pamięcią, wzdłuż tych dróg nigdy nie rosła trawa, niezależnie od pory roku. Wszędzie tylko sucha popękana gleba, gęste krzaki, plamy zieleni, we wszystkich możliwych odcieniach, wszędzie, tylko nie przy samej ziemi.

Jechałyśmy z dużą prędkością, zimne powietrze wciskało się do samochodu przez pękniętą szybę. Otworzyłam okno. Wiatr wpadł do środka, potargał mi włosy.

– Jaki mamy plan zajęć na dzisiejszy wieczór? – zapytała Rachel. Wzruszyłam ramionami. Nie zastanawiałam się nad tym.

Przejechaliśmy przez pierwszy most, nad srebrnym pasmem zatoki. Zapatrzyłam się na mokradła. Było za zimno na sporty wodne, ale w oddali śmigало kilku dzielnych zapaleńców na skuterach i w łódkach rybackich. Wzdłuż mokradeł rozciągało się nasze miasto – przystanie wodne, pomosty, kilka większych domów niemal na linii wody.

Wciągnęłam w płuca zimne słone powietrze – charakterystyczny zapach oceanu.

Nasz osobisty kawałek raj, z dala od podmiejskiego koszmaru przerośniętych domków jednorodzinnych, włoskich delikatesów, salonów paznokcia, piekarni z bajglami, pizzerii w centrach handlowych. Ten świat zniknął, kiedy tylko wyjechało się na drogę na południe od Merrick Road. Krajobraz nagle się zmieniał. Porastały go inne rośliny, tylko turzyca i wierzby, od czasu do czasu nieśmiała plama koloru – samotny hibiskus, nawłóć, ale podczas szybkiej jazdy wszystko zlewało się w jednostajną zielen. Kolczastą zielen.

– Nie myślałaś o tym, co? – zapytała Rachel. Znowu wzruszyłam ramionami, dopiłam kawę.

– W sumie to nie – odparłam. – Zamierzałam poddać się chwili, rozumiesz. – Kiedy przejechałyśmy kolejny most, droga się zwęziła. A ja zamknęłam się w sobie. W oddali pokazał się amfiteatr.

– Przede wszystkim trzeba cię upić – zawyrokowała Rachel. – Musisz się znieczulić. Uwierz mi. – Nie protestowałam. Pamiętałam historie, które opowiadały Rachel i Ally, historie, w których występowały rozerwane błony i spore ilości krwi. Alkohol wydawał się stosowny na taką okazję.

Okrążyłyśmy Ołówek – wieżę ciśnień, ikonę Long Island, nieomylny znak, że jesteście na Jones Beach – i wjechałyśmy na parking. Sięgnęłam na tylne siedzenie po zmaltretowany koc. Słońce zachodziło, od oceanu porządnie wiało. Rozłożyłyśmy koc na

plaży, niedaleko linii wody i wyciągnęłyśmy się na nim, odziane w za duże bluzy i za duże okulary słoneczne.

Był 31 marca, pierwszy naprawdę wiosenny dzień tego roku. Nasza pierwsza wyprawa na plażę. Usiadłam, otrzepałam się z piachu i chwyciłam butelkę po wodzie mineralnej, wypełnioną ginem z tonikiem. Na plaży nie było nikogo, nie licząc pary uprawiającej power walking i samotnego rowerzysty na promenadzie.

– Denerwujesz się? – spytała Rachel.

– Nieszczególnie – odparłam. Ale się denerwowałam. Nawet nie z powodu planowanej defloracji. No bo co w tym takiego strasznego? Rachel miała to za sobą – a przynajmniej tak twierdziła. Ally też. Adam i ja byliśmy w mniejszości. Traktowałam całą sprawę raczej jak przykry obowiązek. A denerwowałam się ze strachu przed odrzuceniem. Bałam się, że wszystko stracę, że Adamowi zależało tylko na tym – że stanie się to, co dzieje się w każdym związku, który donikąd nie zmierza. Ostatnio panowała między nami napięta atmosfera. Chociaż w przypadku Adama zawsze istniało jakieś napięcie. Takim już był człowiekiem i to w nim lubiłam. Równoważył moje własne braki w tej dziedzinie.

– A ja tymczasem zajmę się Erikiem – oznajmiła Rachel, stłumionym głosem, bo właśnie zapalała papierosa. – No bo skoro ty będziesz miała dzisiaj seks, to ja też powinnam, no nie? – Błysnęła uśmiechem Kota z Cheshire. – Ale skoro ma do czegoś

dojść – dodała – powinnaś pokazać więcej cyca. – Chwyciła mnie za bluzę. Pacnęłam ją w rękę i sięgnęłam po jej paczkę papierosów.

– Rób, co chcesz, Rach – odparłam, zapalając papierosa. – Ale uważaj, bo niedługo ludzie pomyślą, że jesteś puszczalską szmatą.

– Hej! – wrzasnęła, ciskając we mnie zgniecioną butelką. – Masz szczęście, że cię lubię. – Zaciągnęła się papierosem, spoważniała. – Mam na niego ochotę od drugiej klasy.

– Aha. Od czasu, kiedy opowiedział nam, co to jest erekcja.

– Skoro poruszyliśmy romantyczny temat: jak twój tatuaż? – zapytała, po czym podciągnęła koszulkę, ściągnęła spodnie aż do wzgórków łonowych i odkleiła opatrunek. Jej skóra była nadal czerwona i podrażniona, czarny tusz wypukły i nierówny. Zrobiłyśmy nasze sercogramy tydzień wcześniej, na osiemnaste urodziny Rachel. Odsłoniłam swój, nie wyjmując papierosa z ust.

– Chyba nieźle, co? – mruknęłam, wypuszczając dym kącikiem ust. W sumie tak bardzo nie bolało. Nawet było w pewnym sensie przyjemne. Ale przez cały tydzień tatuaż piekł i swędział – nieważne, ile razy dziennie smarowałam go maścią.

Udało nam się zachować tatuaż w tajemnicy przed mamami. Pomyślałam, że muszę dotrwać tylko do wyjazdu na studia. Przetrwać lato. A kiedy przyjadę na Święto Dziękczynienia, Karen pomyśli, że zrobiłam go sobie niedawno. Rachel miała studiować na uczelni Hofstra, nie wyjeżdżała z domu. Ale chyba za bardzo się nie przejmowała, jej matka i tak nie zwracała na nią uwagi.

– Myślisz, że mi się uda? Z Erikiem? – spytała.

– Jeśli właśnie tego chcesz, to do dzieła. Chociaż ja cię nie rozumiem. – I naprawdę nie rozumiałam. Eric był krępy, miał fatalne zęby i za dużo piegów.

– Zapomniałam, że lubisz chudych ponuraków – powiedziała.

Poczułam, że twarz mi czerwienieje, a język puchnie, jak zwykle, kiedy Rachel mówi coś takiego, że mam ochotę przywalić jej w zęby.

– Rachel. – Zaczęłam od imienia, ponieważ jest to najlepsza metoda, żeby nadać wypowiedzi protekcyjny charakter. Jeśli chcesz sprawić, by ktoś poczuł się nieskończenie mały i głupi, zacznij zdanie od imienia swojej ofiary. – Adam ma dość posrane życie. Jego brat się, kurwa, powiesił, pamiętasz? Więc odczep się od niego.

– Aha – odparowała Rachel. – Brat, z którym się lizałaś dosłownie na chwilę przed jego śmiercią. Nadal nie podzieliłaś się tą informacją ze swoim ukochanym? – mówiła ironicznym, a może raczej rozbawionym tonem, ale i tak miałam ochotę wybić jej zęby.

Chyba coś wyczuła, bo zaciągnęła się papierosem, prychnęła z wyższością i rzuciła:

– Wyluzuj, Aub. Przecież żartuję.

Zapaliłam kolejnego papierosa i potrząsnęłam głową.

– Jasne.

– Dobra. – Mrugnęła do mnie i zgasiła niedopałek w piachu.

Jej popielatoblond włosy sięgały tuż za łopatki, grzywka opadała na bok. Wyszczupiała gdzieś tak pod koniec gimnazjum, mniej więcej w tym czasie, kiedy ja zaczęłam tyć w dupie i udach. Policzki miała usiane piegami, ale nikt by się nie zorientował. Dobrze je kamuflowała.

– Powinnyśmy pojechać jutro do Montauk – oznajmiła ochryplym głosem. – Żeby uczcić wielką okazję.

– Montauk. Montauk – powiedziałam, wciskając w piach wyrzuconą na brzeg gałąź. – Dlatego tak dziwnie mówimy. Montauk. Wantagh.

– Taaa. Zrobię ołbiad i obejrzę film – dorzuciła Rachel. – Wszystko przez tych Indian.

– Yh – przytaknęłam. – Napiałabym się jeszcze kawy. – Chwyciłam niemal pustą butelkę z ginem, zakręciłam zawartością. Miał boski smak, tak mogłyby smakować chmury, sucho i lekko, ale na myśl o kolejnym łyku wzdrygnęłam się i wylałam resztki w piach.

# Rozdział 17

*Wtorek, 7 października 2014*

Chodź ze mną, chodź, powtarza.

Chwieję się na piętach, przekręcam kluczyk w zamku. Drzwi się nie otwierają. Dym unosi się z papierosa, który ściskam między zębami.

– Nie chce się otworzyć – mamroczę. A potem wybucham histerycznym chichotem. Padam na ziemię, sweter się podciąga, asfalt drapie gołe plecy.

Chodź, Aubrey, powtarza głos. Zabiorę cię do domu.

Czuję dotyk – to chyba czyjeś ręce, podnoszą mnie do pozycji stojącej.

Latarnie brzęczą, kluczyki z grzechotem uderzają o ziemię. Jego ręka sięga w dół, chwytając je. Czuję, że przechyliłam się na bok, że zaraz upadnę. Dom Ally wznosi się na końcu ulicy jak gigantyczny różowy słoń.

Światła latarni wirują, moja głowa opada na jego pierś. Wciągamy w nozdrza zapach kawy i cynamonu.

Zabiorę cię do domu.

Moim, mówię. Chyba mówię. Ale wnętrzości wywracają się na drugą stronę, ulice obracają się dookoła, środek ciężkości wyrzywa się z wnętrza bebechów, przepycha przelykiem i utyka w gardle. Osuwam się na kolana i wymiotuję: pieczony kurczak Karen, Jack i pół butelki Pinot lądują na asfalcie.

Ręka pociera moje plecy. Kluczyki brzęczą w jego kieszeni. Pomaga mi wstać.

Słońce wrzeszczy przeraźliwie przez szparę w zasłonie. Wnętrze ciała jest suche i wydrażone. Otwieram usta, powietrze uderza o język. Czuję się tak, jakbym żuła piach, piach o smaku rzygowin. Otacza mnie gęsta watowata mgła, przez chwilę nie mogę sobie przypomnieć, gdzie jestem i dlaczego czuję się jak dno, i nagle świadomość uderza jak cios cegłą prosto w splot słoneczny. Ogarnia mnie panika.

Znajduję się we własnym łóżku.

Nie widzę, co pokazują zegar elektroniczny na stoliku, ale kiedy zmrużę oczy, dostrzegam niewyraźny kształt. 7:51. Prawie na pewno. Przez okno wpada światło dnia, jaskrawe nienaturalne światło poranka, takie, co to pojawia się nagle, bez wstępów. Wydaję bolesny jęk i przewracam się na bok. Jest mi jednocześnie gorąco i zimno, zalewa mnie pot. Skopuję kóldrę, ale mam na sobie tylko szorty i koszulkę i czuję się goła; nawet nie pamiętam, żebym to na siebie wkładała. Naciągam kóldrę na głowę, chciałabym zniknąć w pościeli. Próbuję odtworzyć w pamięci wydarzenia

tej nocy. Nie widzę zegarka, więc nie mam kontaktów. Tyle wiem na pewno. A więc wykazałam się jakąś dozą odpowiedzialności. Ale poza tym, nic – czarna dziura i pulsujący ból w czaszce.

I w którymś momencie wszystko wraca. Kawalek po kawałku. Obiad. O kurwa.

Ally. O kurwa, kurwa.

Pamiętam, że padam, rzygam. I ten zapach. Kawa i cynamon. Znam tylko jedną osobę, która tak pachnie. A więc ta część musiała mi się przyśnić. Jestem pewna.

Chce mi się pić, ale wolałabym wyschnąć na śmierć niż wejść teraz do kuchni. Jestem pewna, że Karen zwołała komisję. Właśnie obradują w salonie, widzę ich wyraźnie: Eli, Ashley i Karen siedzą wokół stołu, na blacie w równym rzędzie stoją styropianowe kubki z kawą, takie, jakich używa się na wakacyjnych przyjęciach i piwnych imprezach. Każde z nich przygotowało przemowę o tym, jak moje nieobliczalne zachowanie wpłynęło na ich emocje.

Wiem, że właściwie prawie się nie znamy, Ołbry, mówi Ashley, ale czuję, że powstała między nami jakaś więź. I wiesz? Chciałabym ci pomóc.

Może nawet zjawi się Ally. Może się przejęła i zechce sprawdzić, czy dotarłam do domu. Co jest raczej wątpliwe. Nie przejęła się pięć lat temu, więc dlaczego teraz miałyby się przejmować.

Odwracam twarz od okna, w głowie nadal mnie łupie. I nagle: stoi na stoliku nocnym – słoik typu Mason, po brzegi napełniony wodą.

# Rozdział 18

*Marzec 2009*

Rachel oparła się o bar, nadąsana. Ciągle gapiała się na Erica, on jednak gadał z koleżkami z drużyny i zupełnie nie zwracał na nią uwagi. Zespół z miejscowej uczelni stroił instrumenty na scenie. Rachel obróciła się na pięcie, dała barmanowi znak, żeby nalał jej setkę i westchnęła, głośno i boleśnie.

– Nawet na mnie nie spojrział – powiedziała. – Niewiarygodne.

Wzruszyłam ramionami, ściskając w dłoni puszkę piwa. Zaczynało mi się kręcić w głowie. Piłyśmy przez cały dzień. Sprawdziłam telefon. Ciągle nic. Wygładziłam sukienkę na udach.

Tak, podeszłam do procesu uwodzenia w sposób metodyczny i włożyłam sukienkę. Kupiłam ją w styczniu w Urban Outfitters za pieniądze, które dostałam na Gwiazdkę, ale dopiero teraz zrobiło się na tyle ciepło, żeby ją nosić. Była to prosta sukienka z czarnej bawełny, z głębokim dekoltem, sięgająca do połowy uda. Przewiązałam ją w pasie sznurkiem.

– Wyglądasz niesamowicie seksownie – stwierdziła Rachel w przymierzalni.

– Kosztuje siedemdziesiąt dolarów. No wiesz, to zwykła czarna sukienka.

– Zamknij się. Wygląda super. Genialnie podkreśla figurę.

Tak więc tamtego wieczoru miałam na sobie właśnie tę sukienkę, wisiołek w kształcie serca i tanie płaskie buty z czarnej siatki zdobionej cekinami, które kupiłam w Chińskiej Dzielnicy. Rachel przyjechała po mnie o szóstej. Zaparkowałyśmy przy stacji, tuż obok baru, i siedziałyśmy w samochodzie, wlewając w siebie gin zmieszany z napojem energetycznym. Smakował igłami sosnowymi i chemią. Krzywiłam się przy każdym łyku, ale szybko poczułam szum w głowie.

– A jeśli on nie przyjdzie? – rzuciłam po kolejnym, szczególnie ohydny łyku.

– To go pieprz – odparła Rachel. – To znaczy, nie dosłownie. Pieprz się z kimś innym. – Miała na sobie jasnozieloną koszulkę bokserkę, która mocno ściskała jej piersi, czarne džinsy rurki i jaskraworóżowe szpilki, krzyczące „weź mnie”. Popielatoblond włosy opadały na twarz i spływały na plecy, lekko falując. Wyglądała szczuplej niż wcześniej na plaży, ale nie powiedziałam jej tego, tylko zmierzyłam ją wzrokiem, wsiadając do samochodu, i rzuciłam:

– Fajna koszulka.

Adam nie odpowiadał na moje wiadomości. „Ad. To ja. Chcę pogadać”, nagrałam



na poczcie głosowej. Chciałam poczekać, aż spotkamy się osobiście, aż zobaczy mnie ubraną jak dama, chętną i gotową. Nie mogłam się doczekać jego miny. Jak po raz pierwszy, kiedy zobaczył gołe cycki w „Titanicu”. Zbliżała się północ, a ja stałam w tym obskurnym barze, by Rachel mogła dalej robić słodkie oczy do Erica i jego kolegów.

Wysłałam, z nadzieją, że może spotkam Adama przed drzwiami, kłócącego się z ochroniarzem o sfałszowany dowód osobisty.

Bar u O'Reilly'ego znajdował się pod peronem stacji kolejowej – doskonała lokalizacja. Słyszałam stłumiony dźwięk, dochodzący z głośników.

Pociąg do Babylon wjeżdża na stację. Planowany odjazd godzina 11:45.

Moje wnętrześci powoli zwijały się we wściekły kłębek. Włożyłam butelkę z piwem do torby, z roztargnieniem kiwnęłam głową w stronę grupki młodszych dziewczyn, dzielnie chwiejących się w czółenkach z lakierowanej skóry. Mogłam tylko czekać. Gdybym wróciła do środka, ryzykowałabym, że stracę go na zawsze. Jeszcze raz sprawdziłam telefon. Nic.

Pociąg do Penn Station wjeżdża na stację. Planowany odjazd godzina 11:53.

Za siedem minut Adam skończy osiemnaście lat. Nie mogłam znieść myśli, że nie świętuje tej chwili ze mną.

– Chcę tego – powiedziała Rachel, kiedy wróciłam do niej, przepychając się przez tłum. Nadal stała chwiejnie oparta o bar. Wskazała dyskretnie, choć nie dość dyskretnie, na jakiegoś chłopaka. – Ma na imię Rod – wybełkotała, po czym wybuchła histerycznym chichotem. Rod stał obok Erica. Nigdy wcześniej nie widzieliśmy tego faceta, przypuszczałyśmy, że to jeden z kolegów Erica z drużyny lacrosse'a i że pewnie pochodzi z północnej części stanu. Kiedy Rod zauważył niedbale wymierzony w siebie palec Rachel, ruszył w naszą stronę. Ally, Sasha i Ellie, stojące w kolejce do łazienki, dawały mi znaki.

– A co z Erikiem? – zapytałam.

– Jak wspominałam, trzymam go na specjalne okazje – odparła śpiewnie. – Poza tym może w ten sposób wzbudzę w nim zazdrość. – Rod miał wygoloną czaszkę, twarde spojrzenie i krótki podbródek.

– Chcę iść do domu – powiedziałam. – Nudzę się. Adam chyba nie przyjdzie. – Sięgnęłam do torby i poczułam pod palcami mokry zwitek banknotów – utopiony w piwie, które przeszmygłowałam na zewnątrz.

– Wyluzuj. Baw się. W mojej opinii jesteś teraz singielką.

Zespół zaczął grać wolną emo wersję „Invincible” Pata Benatar.

Rachel przegoniła mnie machnięciem ręki i otoczyła ramionami grubą szyję Roda. Przyglądałam się ich miękkiemu tanecznym ruchom. Rachel kołysała biodrami do powolnego rytmu piosenki.

Ta krwawa droga pozostanie tajemnicą.

Nagle ciemność wypełnia przestrzeń.

– Cześć. – Aż podskoczyłam. Odwróciłam się gwałtownie, skraj sukienki otarł się o uda.

– Eric – powiedział, wskazując na siebie. Znałam jego imię. Uświadomił mnie w temacie erekcji, środkowego palca i dziewic. Ale miał prawo, przecież jego matka zmarła. Skończył szkołę dwa lata temu i z tego, co mówiła Rachel, studiował na jakiejś snobistycznej uczelni, za stypendium sportowe. Mieszkał niedaleko Adama. Mijałam jego dom za każdym razem, kiedy odwiedzałam Adama, ale nie rozmawialiśmy ani razu od dnia, kiedy w drugiej klasie pokazał mi środkowy palec.

Miał na sobie niemodny granatowy sweter, rękawy podciągnął do łokcia, odsłaniając muskularne przedramiona. Patrząc na sterczące włoski na jego skórze, przypominałam sobie, jak kiedy miałam dziesięć lat, siedziałam na sofie w salonie, czekając, aż Karen zabierze mnie na trening piłki nożnej czy coś w tym stylu. Już byliśmy spóźnione. Włoski na moich nogach sterczały i zdecydowałam, że trzeba zacząć się golić. Tamtego wieczoru golarką taty ścięłam fragment skóry z kolana. Z czasem blizna rozmyła się, zarosła cienką ledwo widoczną białą błoną.

– Hej?

– Przepraszam? – powiedziałam, nagle wracając do rzeczywistości. Gęste barowe powietrze wirowało dookoła mnie jak spaliny z rury wydechowej. Eric powiedział coś jeszcze, ale zagłuszyła go muzyka.

– Tak masz na imię? – zapytał.

– Nie – odparłam. Łyknęłam piwa i wyciągnęłam szyję, szukając wzrokiem jakiejś znajomej twarzy. Rachel puściła do mnie oczko z parkietu, muzyka grała dalej.

– Napijesz się czegoś? – spytał. – Bo ja tak.

Potrząsnęłam głową, spojrzałam na drzwi wejściowe. Ani śladu Adama. Eric też wzruszył ramionami i poszedł do baru. Poruszał się z zimną obojętnością.

Zaczekałam, aż znów uchwycę wzrok Rachel, dałam jej znak. Szepnęła coś Rodowi do ucha i przepchała się do mnie.

– Wszystko w porządku? – spytała, kładąc mi rękę na ramieniu.

– Chyba tak – odparłam i wzięłam kolejny łyk. – Po prostu jestem wkurzona. Chyba pójdę do domu.

– Nie idź – jęknęła. – Daj mi jeszcze z godzinę, wrócimy razem. Okej? Poza tym twoja torba jest u mnie, zapomniałaś? – Uśmiechnęła się tym swoim lepkiem uśmiechem, objęła mnie ramieniem za szyję i przyciągnęła do siebie. – Proszę. – Poczulałam jej gorący oddech na policzku. Chciałam odmówić. Powinnam była odmówić, ale jakąś cząstką mnie nadal wierzyła, że w drzwiach za chwilę stanie Adam.

– Zmykaj – powiedziałam. Uśmiechnęła się, objęła mnie i wycisnęła całusa na mojej twarzy. Otarłam policzek wierzchem dłoni.

Siedziałam przy wysokim stoliku barowym obok wyjścia, zdrapując etykietkę z butelki budweysera. Rachel znikła ponad godzinę wcześniej, mój telefon prawie się rozładował. Ally, Sasha i Ellie tańczyły. Na Adamie postawiłam kreskę i już miałam zbierać się do wyjścia, gdy nagle poczułam, że ciężar stolika się zmienił.

– Napijesz się? – spytał Eric, pochylając się nad stolikiem. Postawił przede mną dwa kieliszki tequili. – Możesz wypić oba. – Nie uśmiechał się, ale wyglądał na rozbawionego, w taki powściągliwy beznamiętny sposób. Przypominał w tym Adama. Ale uśmiechał się inaczej, bardziej sztucznie. Jego sweter zalatywał tanią wodą z drugstore’u.

– Dziękuję panu – powiedziałam, zerkając na niego, wlałam do ust pierwszy kieliszek, płyn o smaku mosiądzu zapłonął w gardle. Z bliska Eric nie wyglądał w sumie tak źle, przez chwilę wydawało mi się, że zobaczyłam w nim to, co Rachel – jaskrawoniebieskie oczy i powściągliwy sposób bycia.

– Chyba się nudzisz? – powiedział, z trudem przekrzykując muzykę. Z bliska jego klata też wydawała się szersza – coś, czym Adam nigdy nie mógł się pochwalić, nieważne, ile by robił pompek. Jakaś część mnie miała ochotę wyciągnąć rękę i go dotknąć, tak tylko, żeby wreszcie poczuć prawdziwe męskie ciało.

– Nudzę się – potwierdziłam, a potem wypiłam drugą tequilę.

– Ja też – powiedział, po czym dał znak barmanowi. – To znaczy, już nie.

– Nasi przyjaciele chyba nas olali – zauważyłam.

Pochylił się nad stołem, nadal nie siadał, zbliżył telefon do mojej twarzy. Zmrużyłam oczy i przeczytałam: Telefon Rachel wysiadł. Wracamy na chatę. Przyprowadź jej kumpelę.

– Od Roda – wyjaśnił.

– Typowe – mruknęłam, dopijając tequilę.

– Czemu się na to godzisz? – Wypił swoją, a ja wzruszyłam ramionami. Nie wiedziałam i nie zamierzałam roztrząsać tego tematu z facetem, który pokazał mi faka w drugiej klasie podstawówki.

– Podobasz jej się. – Sama nie wiem, czemu to powiedziałam. Rachel by mnie zabiła, ale słowa jakby same wypadły mi z ust. Przesunęłam się na stolku. Czułam, jak tequila zaczyna buzować w moich żyłach.

– Serio? A tobie? – Spojrzenie miał spokojne i rozbawione jednocześnie. Znowu przypominał Adama. Odsunęłam od siebie tę myśl, popatrzyłam prosto w jaskrawoniebieskie oczy.

– Co, mnie?

– Czy ci się podobam? – Nagle jego nieruchoma chłodna twarz nabrała życia, uśmiechnął się krzywo, jednocześnie wzruszając ramionami, i usiadł na stolku.

– Mam chłopaka – odparłam.

Czekałam, kopiąc piętą w krawężnik. Eric podjechał pikapem.

Pociąg do Babylon wjeżdża na stację. Planowany odjazd godzina 1:53.

Stałam na chodniku, w kółku razem z Ally, Sashą i Ellie. Podawałyśmy sobie skręta, powietrze było chłodne i mgliste. Czułam się lekka, prawie bezcielesna, a jednocześnie ciężka i chora.

Eric czaił się w pobliżu. Od kiedy rzuciłam bombę z chłopakiem, wyglądał trochę nieswojo, jakby obiecał Rodowi zająć się mną, kiedy tamten będzie robił swoje. Gdyby tylko Rachel wiedziała, może zachęciłaby mnie do nawiązania znajomości z Rodem.

– Jesteś pewna, że nie chcesz z nami wrócić? – zapytała ponownie Ally, patrząc na Erica, który czekał przy otwartych drzwiach, niecierpliwie tupiąc nogą w chodnik. Podałam jej skręta. Zgasiła go i wsadziła do stanika. Nagle poczułam, że zioło zaczyna działać.

– Znasz Rachel. Mistrzyni wychodzenia po angielsku. – Potrząsnęłam głową i zatoczyłam się w stronę samochodu. – Obiecałam jej, że wrócimy razem. Zresztą zostawiłam torbę u niej w domu – powiedziałam. – Na pewno możesz prowadzić? – zapytałam Erica, chociaż właściwie niewiele mnie to obchodziło. Obiecał, że wpadniemy do niego, zabierzemy Rachel i pojedziemy do niej. Marzyłam o chwili, kiedy wskoczę do łóżka i wyślę Adamowi życzenia urodzinowe.

Może w końcu pożałuje. Może wystawił mnie na próbę. Może jeśli się przed nim otworzę, jeśli powiem, co naprawdę czuję, jaka jestem smutna, rozczarowana i zraniona. Zraniona. Chyba najbardziej żalosne słowo na świecie.

Eric kiwnął głową. Pomachałam Ally. Wygładziłam sukienkę i wskoczyłam na siedzenie. Kręciło mi się w głowie, ale jakoś się opanowałam, utkwiałam wzrok w desce rozdzielczej. Zrobiło się zimno, zaczynałam żałować, że nie wzięłam kurtki. To też był pomysł Rachel.

Zagryzałam wargi tak długo, aż w końcu przecięłam skórę. Pikap podskakiwał i terkotał na ciemnej drodze. Skupiłam się na metalicznym smaku krwi w ustach, nawet nie zauważyłam, kiedy dojechaliśmy na miejsce.

Eric zgasił silnik, zapadła cisza. Spojrzał na mnie, rozciągając wargi w cienką linię. Od ciszy powietrze aż zgęstniało, miałam wrażenie, że dusi mnie w pierś.

– Możesz odwieźć mnie do domu. Rano przyjadę po Rachel, jeśli tak bardziej ci pasuje. – Nie wiedziałam, co powiedzieć. Czułam się jak zbędny ciężar, a Eric nie był z tych, co lubią robić za skrzydłowego.

– Nie, czemu – odparł. – Zaraz coś wymyślimy. – Zaczynałam czuć się jak dziecko podrzucone na progu.

Kiedy weszliśmy do środka, nie zapalił światła w przedpokoju. Było ciemno, z kuchni dochodziły głosy. Wyobraziłam sobie grupkę facetów grających w karty.

– Zaczekaj tutaj – powiedział.

– Gdzie jest Rachel? – zapytałam. Nie miałam ochoty wchodzić dalej. Dom był zimny, śmierdzał stęchłym drewnem i papierosami. Nie rozpoznałam nikogo znajomego w głosach z kuchni, tak czy inaczej wszystko wskazywało na to, że impreza toczy się w najlepsze, a ja nie byłam w towarzyskim nastroju. – Nie zostajemy. Chcę ją tylko znaleźć i jedziemy. Okej?

– Okej – odparł i znowu zaserwował ten swój protekcyjny uśmiezek. – Usiądź sobie. – Pchnął mnie na fotel i nagle dotarło do mnie, jaka jestem pijana.

Znikł na chwilę. Może dziesięć minut. Głosy były niskie, chrapliwie, wyluzowane. Nie potrafiłam powiedzieć, ile tam jest osób, ale na pewno nie było wśród nich Rachel.

– Moim zdaniem jest całkiem ładna – usłyszałam czyjś głos.

– No nie wiem, może. Ładna, tylko trochę pulchna.

Położyłam ręce na brzuchu. Pomyślałam, że jest w całkiem niezłej formie. Usiadłam, mocno prostując plecy, jakbym zamierzała wkroczyć tam i się bronić. Ale świat zaczął wirować dookoła, język spuchł mi w ustach, nie mogłabym wydusić ani słowa. Opadłam z powrotem na fotel i zamknęłam oczy.

To mogło trwać kilka minut. Trudno powiedzieć. W każdym razie obudziłam się, kiedy Eric potrząsnął moim ramieniem.

– Nie możesz tu zostać – powiedział, nie zabierając ręki.

– Okej – odparłam, zamroczona i nie całkiem dobudzona, moje ciało ważyło tonę. – Już sobie idę.

Zaśmiał się chrapliwie.

– Nie. Chciałem powiedzieć, że nie możesz zostać w tym fotelu. Wstawaj. Rachel śpi na sofie. Znajdę ci jakieś miejsce. Może być?

– Chyba tak – odparłam i poszłam za nim na górę. Otworzył drzwi do zimnego pokoju. Stała tam sofa – ktoś leżał na niej zwinięty w kłębek, odwrócony plecami – i wielkie puste łóżko.

– Może położysz się tutaj, a ja walnę się gdzieś indziej. – Uśmiechnął się. W niczym nie przypominał tego aroganckiego buca z baru. Niemal poczułam wyrzuty sumienia, że jestem dla niego taka niemiła. Rzuciłam się na łóżko i poczułam, że zasypiam. Co za ulga.

– Świetnie – mruknęłam. Ułożyłam się na boku, twarzą do ściany. Eric wyszedł do przedpokoju. Właśnie dryfowałam gdzieś między jawą a snem, kiedy drzwi skrzypnęły i do środka wpadł strumień żółtego światła.

– Nie ma miejsc – powiedział cicho. Poczułam, jak kładzie się obok mnie, przyciska gołą klatkę do moich pleców.

Nie ma nic gorszego niż facet, leżący na tobie całym ciężarem cielska: szczecina drapie cię w szyję, szorstkie palce dźgają skórę, nieustępliwy język rysuje mokre ścieżki na brzuchu.

Poczułam, że trzęsę się z zimna. Może to przez trawę, ale byłam pewna, że zaraz zwymiotuję. Że moje ciało pęknie i wnętrzności wyleją się na twardą podłogę.

– Ciszej – rzucił, ruchem głowy wskazując kształt na sofie.

– Przestań – powiedziałam, zbyt łagodnie. Uniosłam biodra, próbowałam wysunąć się spod niego, ale on uznał to za zaproszenie.

– Spokojnie. – Jedną rękę delikatnie przycisnął do moich ust. – Spokojnie. Wyluzuj. Co za beznadziejne słowo. Sięgnął pod sukienkę, odciągnął majtki na bok, przesunął palcami. Koronkowe majtki. Pożyczyłam je od Rachel. Miały być dla Adama.

Odblask latarni za oknem na taniej boazerii przykleił mi się do powiek, obrócił się powoli. Wyluzuj. A ja myślałam o tamtym dniu na plaży.

Miałyśmy chyba osiem lat, Rachel i ja, Eli około sześciu. Przez całe popołudnie kopaliśmy dół. Jeden z tych dołów, które dzieci znajdują na plaży i poprawiają, bo szkoda, żeby znikł. Ale nie chciałyśmy, żeby ktokolwiek korzystał z owoców naszej ciężkiej pracy, więc zakopałyśmy Eliego po szyję. Kiedy skończyłyśmy, nie mógł się uwolnić i nagle zaczął panicznie wrzeszczeć. Ratownicy musieli wykopać go specjalną łopatą. Później Karen wytłumaczyła nam, że mogłyśmy go zabić, że klatka piersiowa mogła się zapaść pod naciskiem piachu.

I leżąc tam na łóżku, czując ciężar obcego ciała na moich piersiach, już widziałam, jakie to uczucie, być żywcem pogrzebanym.

Patrzyłam w sufit. Latarnia za oknem nadal buczała. Jak można spać przy takim hałasie? Jego bokserki leżały zwinięte na podłodze.

Sukienkę nadal miałam na sobie, ale bielizna znikła, wciśnięta gdzieś między białą kołdrę a goły materac.

Leżał obok, odwrócony plecami, zwinięty w pozycji embrionalnej, oddychał spokojnie.

# Rozdział 19

*Środa, 8 października 2014*

Kłęczę na podłodze, wciśnięta w szafę, wyciągam jeden czarny but na obcasie, macam ręką w poszukiwaniu drugiego. Prawdopodobnie wcale nie będą mi potrzebne, ale wolę się przygotować, tak na wszelki wypadek. To noc przed pogrzebem Rachel. To także noc czuwania. Można ją odwiedzać między siódmą a dziewiątą. Jest szósta trzydzieści. Nie szykuję się, nawet nie planuję tam pójść, nalewam sobie wina z zapasów Karen.

Od wczoraj nie ruszam się z pokoju – nie licząc wizyt w łazience – dopiero koło południa, słysząc, że Karen wyjeżdża, poszłam do kuchni, i to tylko po to, by nalać wody do szklanki i porwać pudełko płatków, jeszcze nieotwierane.

Siedzę na podłodze koło szafy, w kieliszku mam Pinot Noir. Słyszę stukot jej obcasów, kiedy krąży między łazienką a korytarzem.

Katastrofalny poniedziałkowy obiad i wszystko, co wydarzyło się u Ally, piecze jak świeża rana, słowa nie przestają krążyć w mojej głowie.

Słyszałam, że zrobiłaś coś bardzo złego. Nie uważasz, że mogła potrzebować pomocy najlepszej przyjaciółki?

Od dwóch dni leżę w wyrze, próbując poskładać do kupy tamtą noc – każde słowo, każdy zapach, czy raczej to, co zapamiętałam. Koło dziesiątej skrzypnęły drzwi do mojego pokoju – pewnie Karen sprawdzała, czy żyję – ale nie wystawiłam głowy spod kołdry, udawałam, że śpię. Nie próbuje ze mną rozmawiać, a ja od ponad czterdziestu ośmiu godzin próbuję wymyślić, jak tej ewentualnej rozmowy uniknąć. Nigdy nie radziłam sobie w takich sytuacjach.

Upijam wina i wracam do poszukiwań zaginionego czarnego pantofla. Wyciągam inne buty, od pary, kilka pogniecionych torebek od projektantów, stare pudło po butach. Jest rozerwane, poplamione i rozłazi się na brzegach. W środku leżą notatki, zdjęcia i kartki urodzinowe. Biorę do ręki plik fotografii. Na kilku jesteście Rachel i ja, Adam i ja, Rachel, Adam i ja. Nie warto ich trzymać. Wrzucam wszystkie do kosza.

Miłe uczucie. Nie wyzwalające, nic w tym stylu, po prostu miłe.

Gulgoczę winem w ustach, przetykam, przeglądam kolejne pudła z butami. Zaczynam wyrzucać jakieś stare szkolne notatki. Nagle mój wzrok pada na zeszyt w czarnej marmurkowej okładce, na białym fragmencie widnieje napis ołówkiem As If.

– O rany – mówię głośno i otwieram zeszyt pośrodku. Tkwi tam przyklejona kartka ze spłowiałym fioletowym wydrukiem tekstu do piosenki „Kochaj mnie mocno”.

Sięgam po wino, porządnie rozbawiona, nie mogę oderwać oczu od niedoszęłego hitu, który miał rozpocząć naszą wielką karierę. Zapomniałam, że zachowałam ten zeszyt po niesławnej rozprawie z panią Price. Okłamałam Rachel i Ally, powiedziałam, że pani Price go zabrała. Uśmiecham się mimowolnie i przez sekundę, dosłownie przez sekundę, żałuję, że nie mogę zadzwonić do Rachel i powiedzieć jej, co znalazłam.

Znów upijam wina. Jest słodkie i ziemiste. Karen puka do drzwi, trzy razy.

– Tak? – Drzwi uchylają się ze skrzypnięciem, powoli i dramatycznie, jakby spodziewała się, że zacznę krzyczeć albo rzucę szklanką. – Tak? – powtarzam. Karen otwiera drzwi na całą szerokość. Ma na sobie czarny kostium ze spodniami.

Idzie na czuwanie. Beze mnie.

– Wychodzę. Na pewno nie idziesz? – Głos ma znużony. Patrzy na butelkę wina, stojącą na podłodze.

Wspomnienia to zabawna sprawa. Wspominam Rachel i myślę: słaba narcystyczna zdzira, niesprawiedliwa sucz, sadystyczna psychopatka. Widzę w pamięci, jak w wieku siedmiu lat wpycha mnie pod autobus. Jak bez mrugnięcia okiem mówi pani Price, że to ja napisałam „Kochaj mnie mocno, kochanie”. Jak w wieku lat trzynastu uprzejmie wyjaśnia Karen, że to ja ukradłam butelkę whiskey z domowego barku. Widzę ją za kierownicą żółtego nissana, z papierosem wiszącym pomiędzy cienkimi wargami. Widzę, jak zachęca mnie do pozbycia się cnoty, a potem znika, ledwo spojrział na nią jakiś fiut z doczepionym na końcu facetem. Zastanawiam się, gdzie była, kiedy leżałam obok Erica Robbina i jego zwiniętych na podłodze gaci. Widzę ją za każdym razem, kiedy patrzę w lustro, za każdym razem, kiedy idę do łazienki. Widzę ją na wieczność wyrytą na moim biodrze. Widzę ją z Adamem.

I całe ciało ponownie wypełnia się bólem.

I cała reszta: wyprawy samochodem, sekrety, niezrozumiałe dla postronnych osób żarciki, wszystko rozpada się na kawałki. Już nie ma znaczenia. To tylko puste skorupy roztrzaskane u moich stop.

Chcę coś powiedzieć, ale Karen mnie ubiega.

– Przynajmniej ze względu na jej rodzinę, Aubrey. Nawet jeśli zaszło między wami jakieś nieporozumienie, okaż szacunek jej matce i siostrze. – Głos ma zimny i oskarżycielski. Czuję mrowienie w palcach. Po chwili obejmuje całe dłonie, następnie ramiona i piersi. Jak tysiące igiełek. Odrętwienie. Chcę jej powiedzieć, żeby pilnowała własnych spraw. Chcę jej powiedzieć, żeby wynosiła się z mojego pokoju, zostawiła mnie samą, ale zamiast tego sięgam po kieliszek i unoszę go wysoko.



– Zdrówko – mówię.

Ostatni raz nurkuję w szafie i wreszcie wylaniam się z lewym czółenkiem. Sukienka, którą wybrałam, wisi na drzwiach, groźna i mroczna. Pewnie już na mnie nie pasuje. Sporo zrzuciłam od czasów ładnej, tylko trochę pulchnej. Ale nawet jeśli sukienka będzie nieco wisiąca, całość tworzy bardzo ładny zestaw: klasyczna mała czarna, czarne kurewskie czółenka, może odrobina czerwonej szminki – oto prawdziwy Funeral Chic.

Jestem w połowie drugiej butelki Pinot, kiedy za oczami odzywa się tępy ból. W piersi znowu mrowi. Wiem, że jeśli natychmiast nie wyjdę z tego domu, będzie źle.

Zarzucam na ramiona stary szary sweter, zamykam za sobą drzwi. Wciągam w płuca jesienne powietrze, głęboko, tak by dotarło do miejsca, gdzie nigdy nie dociera mój oddech.

Okrażam dom, siadam na krawężniku, nogi wyciągam przed sobą, między drżącymi palcami ściskam papierosa.

Zza rogu wychodzi łysiejący facet w średnim wieku. Kilka kroków przed nim biegnie mały biały piesek, ciągnie smycz.

Mężczyzna zwalnia, w ten typowy sąsiedzki sposób, kiwa głową, jakby oczekiwał, że zapytam, czy mogę pogłaskać psa. Zaciskam wargi w niechętnym uśmiechu, przenoszę wzrok na pustą butelkę po piwie, leżącą przy krawężniku po drugiej stronie ulicy.

– Taka śliczna dziewczyna nie powinna palić – mówi mężczyzna. Figlarny uśmieszek o sekundę za długo widnieje na jego twarzy.

Wciągam dym, znowu próbuję wypełnić to puste miejsce, wydychuję kątem ust.

– Nieprawda – odpowiadam. – Nie jestem śliczna. – Szary popiół odrywa się od papierosa, osypuje moje legginsy jak gwiazdny pył. – Ładna. Tylko trochę pulchna.

# Rozdział 20

*Kwiecień 2009*

Ławka była zimna i mokra, zasłona deszczu wisiała na niebie pod ciężkimi szarymi chmurami. Ławka wydzielala gęsty metaliczny zapach. Ścianki były pomalowane na czerwono. Trzymałam papierosa między dwoma palcami. Nie zaciągałam się tak do końca. Nigdy, dopiero na studiach. Nigdy nie paliłam sama, zawsze z Rachel. Ale tego ranka chowałam się na boisku jak jakaś podejrzana wagarowiczka – którą zresztą byłam – i wstrzymywałam dym w wydętych policzkach. Dym unosił się z końcówki papierosa, tworząc niewidzialne ornamenty na dziewięćdziesiątej siódmej stronie „Szklanego klosza”, pośrodku tkwiła czerwona papierowa zakładka. Dym kręcił się i wił jak kosmyk włosów oplatany wokół palca.

Wcześniej czytałam „Szklany klosz” dwa razy. Raz w trzeciej gimnazjum, żeby sprawdzić, o co ten cały hype, ale jakoś nie załapałam. Książka nie zrobiła na mnie najmniejszego wrażenia. Chyba nawet jej nie skończyłam. A potem drugi raz w drugiej liceum, na zajęciach z literatury feministycznej. Pamiętam, że wtedy mi się spodobała, styl był piękny, ale jakoś nic nie zostało w pamięci. Tym razem jednak słowa wypęzły z kartek jak maleńkie pajęczki, łąziły mi po skórze. Nienawidziłam za to samej siebie. Stałam się jedną z tych pretensjonalnych egzaltowanych nadwrażliwych dziewczyn, chociaż przysięgałam, że nigdy taka nie będę. Tych, co cytowały w szkole Sylwię Plath ot tak, bez szczególnej okazji, tylko po to, by udowodnić otoczeniu, jakie są mroczne i skomplikowane.

Rzeczywistość dopadła mnie dopiero w niedzielę, późnym popołudniem. Tamtej nocy nie zmrzyłam oka. Gapiłam się w sufit, a tequila i zioło pulsowały w moich żyłach. Zaczekałam, aż Eric zaśnie i w końcu zmusiłam się, żeby wstać. Próbowałam obciągnąć sukienkę, ale ona uparcie podjeżdżała do połowy ud. Wydawała się krótsza. Czułam się obnażona. Ale pewnie tak zawsze jest po. Przynajmniej tak mówią. Chciałam dostać się do łazienki, sprawdzić, czy nie krwawię. Nadal czułam jego łapę dźgającą moje krocze.

Buty ślizgały się na podłodze. Na dole blask z salonu nieco rozświetlał ciemności w korytarzu. Migwały fantomowe cienie z telewizora, dźwięk był wyłączony. Usiadłam ciężko na fotelu i wyjęłam telefon. Nic. Było po czwartej, w telewizji zaczynały się wiadomości. Przeczytałam napis: 1 kwietnia 2009. Prima Aprilis.

Siedziałam tak przez chwilę. Kilka minut. Może dziesięć. Czas stracił znaczenie.

Ze swojego miejsca widziałam dwa ciała przykryte kocem, leżące na wysuwanej sofie pośrodku pokoju. Widziałam popielatoblond włosy rozsypane na poduszce. Wyszłam, zanim się obudziła.

– No – usłyszałam nagle śpiewny i twardy zarazem głos Rachel. Zdjęta przerażeniem, zatrzasnęłam książkę. – Widzę, że oddajesz się lekturze? – Wrzuciłam książkę do plecaka. Nim zdążyłam odpowiedzieć, Rachel przeszła do rzeczy. – Nie zadzwoniłaś, suko.

Niedziela, poniedziałek i wtorek tworzyły szczelną barykadę między tamtą nocą w barze u O'Reilly'ego a obecną chwilą, nami dwiema na pustym boisku do baseballa.

Przez pierwszą połowę tygodnia skutecznie symulowałam migrenę, bardzo wiarygodna wymówka, jako że przypadłość tę dostałam w spadku genetycznym po matce. Nawet nie musiałam starać się o zrozumienie u Karen. Przez dwa dni nie chodziłam do szkoły, spędziłam je, leżąc w łóżku i gapiąc się w sufit, pusta i znieruchomiała. To było gorsze od najgorszej migreny. Tępy ucisk pulsował w tyle czaszki. Żebra bolały jak po wielkim wysiłku, na który nie pomaga żaden odpoczynek. Czasami ból przesączał się do płuc, przygniatał mi pierś i odbierał oddech.

Do tego mdłości. Nieustające. Uporczywe. Nie byłam w stanie wepchnąć w siebie więcej niż kilka kęsów jedzenia, niezależnie od tego, co to było, i już czułam, że podchodzi mi do gardła. Ograniczyłam się do zimnej kawy i mrożonego jogurtu, przy obiedzie robiłam wykręty: późno jadłam drugie śniadanie, boli mnie żołądek. Karen tylko spojrzała i wzruszyła ramionami. Pewnie pomyślała, że mogłabym w sumie zrzucić trochę dziecięcego tłuszczu przed pójściem na studia.

Słyszałam, że lęk może objawiać się w formie fizycznych symptomów. To, co masz w głowie może, rozprzestrzenić się po twoim ciele jak trucizna. Czułam się pełna trucizny.

Udało mi się unikać obojga, Adama i Rachel. W przypadku Adama nie było to szczególnie trudne, najwyraźniej nie chciał mieć ze mną do czynienia. W przypadku Rachel miałam pewien problem. Od niedzielnego poranka dzwoniła na okrągło.

– Chciałam ci opowiedzieć o moich seksprzygodach – oznajmiła Rachel, wrywając mi papierosa. Zaciągnęła się głęboko, drugą rękę oparła na biodrze i zrobiła taką minę, jakby właśnie przypomniała sobie, że słyszała, jak wchodziłam z Erikiem do domu. Ta jej mina, sposób, w jaki uniosła brwi, ponownie wywołała u mnie to uczucie miażdżenia w klatce piersiowej. Wciągnęłam powietrze w płuca, próbowałam zachować kamienną twarz. – Czekaaj, czekaaj – powiedziała.

Wstrzymałam oddech. Nagle powietrze zrobiło się gorące. Stanowczo zbyt gorące. Zaczęłam coś jąkać, żeby szybko zmienić temat, żeby tylko nie rozmawiać o sobotniej nocy. Nagle Rachel, nadal z ręką na biodrze, zapytała:

– A od kiedy ty palisz?

Poczułam ulgę. Odetchnęłam, moje mięśnie odrobinę się rozluźniły. Rachel zaczęła opowiadać ze szczegółami o swojej nocy z Rodem. Frazy takie jak: trzy razy, twardy jak skała, wielki wzwód Roda, wisiały w powietrzu niczym BAM! czy PIF PAF! z komiksów o superbohaterze. Słuchałam w milczeniu, jednocześnie przypominając sobie własny wieczór, powrót do domu w ciemnościach, ciepłą mieszaninę spermy i krwi spływającą między nogami, klejącą się do skóry jak śluz.

Mój telefon zdechł jeszcze w barze, nawet gdybym chciała, nie mogłabym wrócić do domu. Klucze zostały w torbie, a torba u Rachel. Musiałabym zapukać. Karen od razu by się domyśliła. Wciągnęłaby nosem powietrze, położyła kościste ręce na kościstych biodrach i powiedziała: Uprawiałaś seks. I paliłaś marihuanę. I jesteś pijana. A więc powrót do domu nie wchodził w rachubę. Rachel też nie wchodziła w rachubę, chociaż przez chwilę rozważałam tę opcję – podejść do tej ohydnej sofy ze sztucznej skóry, potrząsnąć Rachel, opowiedzieć, co się stało, w szczegółach: jak Eric zwabił mnie do swojego pokoju, zostawił i wrócił później, kiedy przysypiałam i byłam zbyt oszołomiona, by zorientować się, co on knuje. Jak podciągnął moją sukienkę do szyi, kiedy udawałam, że śpię. Jak przyciskał twarz do mojej skóry, chociaż próbowałam go odepchnąć. I jak mnie przytrzymał – jedną ręką uwięził nadgarstki, a drugą dźgał tak długo, aż moje ciało ucichło.

Chciałam jej powiedzieć, ale znałam Rachel aż za dobrze. Wiedziałam, że będzie patrzyła na tę sprawę zupełnie inaczej niż ja. Że uzna to za zdradę. Uzna, że pieprzyłam się z facetem, na którego sama od dawna miała ochotę.

Więc poszłam pieszo.

Było ciemno, zimno i wilgotno. Fluorescencyjne światła lśniły z wnętrza Pathmarku – wielkiego centrum handlowego w środku miasta. Drzwi automatyczne rozsunęły się i uderzył we mnie strumień lodowatego powietrza. Po raz pierwszy tej nocy pomyślałam, że chyba zwymiotuję, jakaś część mnie chciała skulić się za kubłem na śmieci i wsadzić palec do gardła, aż wyrzycam flaki na asfalt.

Zatrzymałam się i przez chwilę stałam naprzeciwko drzwi, zamknęłam oczy, przełknęłam mdłości i weszłam do środka. Chodziłam sklepowymi alejkami przez godzinę czy coś koło tego – zimne zatęchłe powietrze i ostre światła przypominały, że w moim wnętrzu nadal pulsuje życie, że nadal istnieję, nawet jeśli jest to istnienie na poziomie puszek z brzoskwiniami i butelek wina Chateau Diana. Metodycznie przemierzałam wszystkie alejki po kolei, ustawiałam pudełka z płatkami w równych rzędach, zapisywałam w pamięci wszystkie smaki lodów firmy Ben&Jerry. Na regale z produktami sezonowymi piętrzyły się wiklinowe koszyczki w celofanie, wypełnione czekoladowymi zwierzątkami i nadziewanymi jajkami Cadbury. Widok tej przesłodzonej pastelowej propagandy okołowielkanocnej wywołał u mnie mdłości. W sklepie było pusto, nie licząc świeżo upieczonego taty kupującego pieluchy i odżywkę dla niemowląt. Popchnął wózek w stronę kasy, przednie koło zaskrzypiało na PCV. Ja

kupiłam wodę, gumkę do włosów i małą butelkę Listerine'u.

Kasjerka zmierzyła mnie wzrokiem, przesuając towary pod czytnikiem. W ostatniej chwili dorzuciłam paczkę gum do zucia. Kobieta miała koło pięćdziesiątki, siwiejące włosy nosiła ściągnięte w ciasny koczek. Uchwyciłam własne odbicie w drzwiach lodówki z napojami. Matowe kłaki sterczały wokół twarzy jak lwia grzywa, tusz do rzęs rozmażał się w ciemne kręgi wokół oczu.

Sięgnęłam do torby i wyjęłam plik banknotów, pomięty i wilgotny. Siedem dolarów. Nadal śmierdziały piwem od O'Reilly'ego. Kasjerka z irytacją mlasnęła językiem, zacisnęła wargi. Patrzyłam twardym wzrokiem, jak prostuje banknoty na kasie. Po raz pierwszy w życiu miałam ochotę przywalić zupełnie obcej osobie.

Zdarzały się chwile, kiedy zapominałam. Szłam przed siebie czy leżałam na plecach w parku Clear Pond – niedaleko od miejsca, gdzie umarł Max – i nagle przez moment czułam się całkiem normalnie, nawet spokojnie. Nadal dygotałam, nadal byłam przemarznięta, przemoczona i wyczerpana, lecz na chwilę zapomniałam dlaczego. A potem wspomnienie uderzało jak cios. Czułam je w gardle. Rozlewało się w środku piersi i wszystko sobie przypominałam.

Wcześniej próbowałam dostać się do samochodu, ale na parkingu stał wóz policyjny i kiedy kierowałam się – bardzo ostrożnie stawiając kroki, pięta do palców – w stronę mojego saaba, gliniarz uważnie mnie obserwował. Za drugim razem otworzył okno.

– Dokąd to, młoda damo? – zapytał. Był to facet w średnim wieku, z szerokim wąsem, wyglądał jak czyjś tata. Przez chwilę zastanawiałam się, co powiedzieć, chwyciłam ruszyłam w stronę wozu policyjnego. Nie było mowy, żebym wsiadła teraz do swojego samochodu. Byłam trzeźwa, a przynajmniej czułam się trzeźwa. Ale od ostatniego drinka minęło zaledwie kilka godzin. Obowiązywała zasada zero tolerancji dla pijanych nastolatków za kierownicą. Nadal czułam woń alkoholu na skórze. Nie zamierzałam ryzykować.

Zacząłam mówić, uważając, żeby nie bełkotać i nie chwiać się. Zastanawiałam się, co by było, gdybym mu powiedziała, że chyba padłam ofiarą gwałtu. Ale czy Eric złamał prawo? Czy powiedziałam „nie”? Nie potrafiłam sobie przypomnieć. Czy krzyczałam? Chyba tak. A może nie. Może odrętwiałam, zaniemówiłam.

A potem mignął mi przed oczami ciąg kolejnych wydarzeń, jak ostrzeżenie: Karen przyjeżdża na komendę, siedzę na zimnej ławce, okryta kocem z szorstkiej szarej wełny, wzywają Erica, może również Rachel, a w poniedziałek wie już cała szkoła – połowa jest za Erikiem, widzieli mnie wcześniej tego wieczoru w barze pijaną, w dodatku nielegalnie – weszłam na sfałszowany dowód; widzieli też, jak wsiadałam do samochodu Erica, z własnej nieprzymuszonej woli; widzieli, jak wchodziłam do jego domu, jak siedziałam na kanapie, pamiętają jak przez mgłę tę ładną, tylko trochę pulchną dziewczynę, którą zabrał do swojego pokoju. Więcej nikt

nic nie widział ani nie słyszał, nie licząc tego kogoś śpiącego na sofie, kto przysięgnie, że nie krzyczałam.

– Mieszkam tu niedaleko – powiedziałam i wymamrotałam coś, że miałam zostać na noc u koleżanki, ale źle się poczułam, a nie chcę budzić mamy. Policjant popatrzył na mnie przez długą nieprzyjemną chwilę i spytał, czy mnie podwieźć i czy na pewno wszystko w porządku. Przypomniało mi się, czytałam gdzieś, że składanie fałszywych zeznań jest przestępstwem, ale nie pamiętałam czy to na pewno prawda i skąd o tym wiem, i czy można powiedzieć, że kłamię, skoro nie znam prawdy?

– Em – zaczęłam i poczułam, że słowa łaskoczą mnie w gardło, jakbym zaraz miała się rozplakać. Nie miałam żadnej historii do opowiedzenia, nie miałam nic, nie licząc koszarnej dziury w żołądku. Ale chciałam coś powiedzieć. Tylko że policjant mi przerwał.

– Piłasz? – Zamarłam. Potrząsnęłam głową, odparłam, że jestem po prostu zmęczona i chcę wrócić do domu. Zamknął okno i znów zagłębił się w lekturze gazety. Ruszyłam przed siebie, bardzo pewnym krokiem. Pięta do palców.

Gliniarz odjechał dopiero ponad godzinę później. Niebo powoli przybierało delikatny odcień fioleto. Łyknęłam Listerine'u, już po raz trzeci, wyplukałam usta i wyplułam na chodnik.

– Gdzie jesteś? – W samochodzie wreszcie naładowałam telefon. Pamiętam, że bardzo starałam się mówić obojętnym tonem.

– U taty. Śpię – odparł Eli. – Co jest? – Ziewnął. – Która godzina? – Pięta trzydzieści. Musisz mnie wpuścić, tylko po cichu.

Otworzył z tyłu, drzwi siatkowe skrzyknęły, kiedy wśliznęłam się do środka. Nie miałam tu swojego łóżka, nie mogłam wziąć prysznic, nie budząc ojca, więc pożyczyłam od Eliego dres, poszłam do łazienki i wytarłam się mydłem i zwilżonym ręcznikiem.

Kiedy się kładłam na sofie, przez świetlik w dachu wpadały promienie słońca. Nakryłam głowę szydełkową narzutą, ale światło wpełzało przez dziurki. Przekręciłam się na brzuch, wcisnęłam twarz w czarną skórzaną sofę. Kark zesztyniał, bolały mnie wszystkie kości. Nie wiem, czy udało mi się tak naprawdę zasnąć. Nadal go czułam, jego ręce obmacujące moje ciało. Palce wciskające się do środka.

Obudził mnie głos ojca dochodzący z kuchni. Zapomniałam wyjąć kontakty, zrobiły się maziowate, jakby ktoś nalał mi kleju do oczu, w skroniach pulsowało. Zmrużyłam oczy i spojrzałam na zegarek. Ósma. Od mojego przyjścia minęły dwie godziny.

– Aubrey! – zawołał tata. – Kupiłem bajgle. – Wstałam, półprzytomna, ledwo trzymałam się na nogach. Nie mogłam nawet myśleć o jedzeniu. Bajgle były

podstawą mojej diety na kaca. Może była to kwestia miejsca zamieszkania, może cecha osobnicza, w każdym razie jedynym lekarstwem po pijackiej nocy wydawał mi się bajgiel z serkiem śmietankowym i bardzo duża porcja kawy. Ale tamtego ranka na samą myśl, że miałabym wbić zęby w słoną kanapkę, żołądek wywracał mi się na drugą stronę. Wody. Potrzebowałam wody. W głowie miałam pustkę, a w ustach piaskownicę. Zacisnęłam zęby i ruszyłam do kuchni, trzymając się ściany, by nie stracić równowagi.

Ojciec siedział przy pustym stole, przed nim stała filizanka z kawą i leżała gazeta. Brązowe przetykane siwizną włosy sterczały na wszystkie strony. Ani śladu bajgli.

– Prima Aprilis – powiedział głośno. Za głośno. Każdego innego dnia poczułabym się zawiedziona. Rozerwałam zgrzewkę wody stojącą na podłodze i wyjęłam butelkę.

– Bardzo śmieszne – odparłam i ruszyłam z powrotem na sofę.

# Rozdział 21

*Środa, 8 października 2014*

– Mogę zadać panu pytanie? – Stoję przed posterunkiem, usta mam fioletowe od Pinot, jestem zachwycona, bo udało mi się pokonać całą drogę w idealnie prostej linii. Połykam czkawkę, splatam ramiona na piersi. Cała moja rodzina i pozostali mieszkańcy Seaport właśnie oddają szacunek zmarłej Rachel Burns. Policjant jest młody, jedną rękę trzyma na drzwiczkach samochodu, jakby właśnie wsiadał.

– Jasne – mówi. Druga ręka błądzi w pobliżu broni, pewnie go szkolono, że ma być zawsze czujny, zwarty i gotowy, nawet w takim miejscu jak Seaport.

– To trochę dziwne pytanie – mówię. Jest przystojny, niewiele starszy ode mnie, może pod trzydziestkę. Nie wygląda na rozbawionego. Zachowuję się trochę zalotnie, ale raczej nie widać po mnie, że jestem zalana czy coś w tym rodzaju. – Jak wygląda procedura zgłoszenia napadu?

– Co ma pani na myśli? – pyta. – Ktoś panią napadł? – Przybiera poważny ton, a ja zaczynam żałować. To był taki spontaniczny pomysł, wpadł mi do głowy, kiedy wyszłam na papierosa. Od pięciu lat nieustannie przerabiam go w myślach.

Odtwarzam tamtą noc raz po raz, bez końca: policjant otworzył okno i spytał, czy nic mi nie jest, czy nie potrzebuję pomocy. Milczałam, zatrzymując słowa w gardle, zastanawiając się, co będzie, jeśli je wypowiem. Ale policjant jednym pytaniem zmiażdżył załóżek kielkującej odwagi: Piłasz? Wiedziałam, że nie mam cienia szansy.

– Nie, nie – odpowiadam. – To znaczy, jeśli jakaś dziewczyna przychodzi do was i mówi, że padła ofiarą napaści seksualnej, to jak reagujecie? Obowiązuje zasada domniemanej niewinności? Czy jeśli kłamie, popełnia przestępstwo? A nawet jeśli ona tak nie uważa, ale ktoś inny tak? Albo ten ktoś twierdzi, że ona kłamie? Jak wygląda zasadne zgłoszenie? – Patrzy na mnie jak na debilkę, zabiera rękę z kabury. Odgarniam włosy z oczu. Jestem trochę nieprzytomna, ale nie chcę, żeby zauważył, więc przenoszę ciężar ciała na jedną nogę, udaję wyluzowaną.

– Wszystkie zgłoszenia są traktowane jako zasadne do czasu wyjaśnienia sprawy.

– A co się dzieje potem? Zawiadamiacie rodziców?

– Jeśli sprawa dotyczy osób nieletnich, wtedy tak, musimy zawiadomić rodziców.

– A jeśli ona nie chce, żeby wiedzieli?

– W takim przypadku niewiele możemy zrobić. – Mierzy mnie wzrokiem. – Czy pani próbuje mi coś powiedzieć? – Potrząsam głową.



– To rozważania czysto teoretyczne – odpowiadam. Nadal dziwnie na mnie patrzy. – Mam dwadzieścia trzy lata, pokazać prawo jazdy? – Uśmiecha się, kręci głową.

– Jeśli kobieta zgłasza przestępstwo, przesłuchujemy ją i proponujemy, by wypełniła formularz i udała się do szpitala na obdukcję – mówi. – Jeszcze jakieś pytania?

– A jeśli jej historia jest pełna dziur? Jeśli kobieta nie może sobie wszystkiego przypomnieć, ze zdenerwowania czy innego powodu?

– Dlaczego zadaje pani te wszystkie pytania? Chce pani zgłosić przestępstwo? Przykro mi, ale nie mogę dłużej z panią rozmawiać, spieszę się.

– Research – odpowiadam. – Jestem pisarką.

– Aha. Ale ja właśnie idę na czuwanie, koleżanka zmarła. Jeśli chciałaby pani jeszcze porozmawiać, dam pani numer telefonu. – Wciągam powietrze, potrząsam głową. No jasne, że idzie na czuwanie.

– Rachel? – rzucam.

– Znała ją pani? To straszne. Chodziliśmy ze sobą kilka lat temu. Krótko – zaznacza.

– Znałam ją z widzenia – mówię. Uśmiecham się, dziękuję i maszeruję do domu, w idealnie prostej linii. Pięta do palców.

Zapalam kolejnego papierosa. Wiele się zmieniło przez te pięć lat. Wtedy nie było tych słynnych przypadków gwałtów ze Steubenville i Maryville. Panowała cisza. Nawet gdybym coś wówczas powiedziała, zapewne prędko by się okazało, ilu mam prawdziwych przyjaciół, i może to tylko przypuszczenia, ale coś mi się wydaje, że ta liczba byłaby bardzo niewielka. A może nawet poniżej zera.

Nie licząc skandalu z Maxem Sullivanem w roli głównej, w Seaport zdarzyła się tylko jedna podobna historia. Chodziło o dziewczynę z sąsiedniego miasteczka, Heather Coştam. Była rok czy dwa lata młodsza od Eliego. Chłopcy z jego klasy na jakiejś imprezie schlali ją w trupa, ściągnęli majtki do kostek i nagrali wszystko iPhone'em. Chyba cała okolica widziała to nagranie. Byłam wtedy na drugim czy trzecim roku, więc mnie ominęło. Ale opowiedzieli mi całą historię, kiedy przyjechałam na Święto Dziękczynienia.

Ludzie się śmiali, ponieważ jest to najprostsza reakcja. Nazwali ją szmatą, bo łatwiej im było obwinić pijaną dziewczynę, niż grupę obiecujących młodych atletów, którzy tylko chcieli się trochę zabawić. Dziewczyna nie zgłosiła sprawy na policję. W końcu się przeprowadziła. Potem słyszałam, że wypiła środek wybielający i trafiła do szpitala, a potem przeniosła się do jakiegoś miasta w Suffolk.

Słyszałam, jak ktoś stwierdził, że dostała to, na co zasłużyła. Wróciłam do domu na Święto Dziękczynienia, stałam w kolejce po kawę. Tak sobie żartowali dwaj brodaci panowie w puchowych kamizelkach. Pewnie mieli synków w drużynie

futbolowej i próbowali usprawiedliwić sprawców, którymi równie dobrze mogły być ich kochane latorośle. Wiem, że mówili o Heather. Tak to jest, jak baba chleje. W końcu spotka ją kara boska. Eli stał obok mnie, oboje jednocześnie wywróciliśmy oczami. Chyba nie zorientował się, jak bardzo mnie te słowa zaboląły. Dobrze się kryłam. Przez wiele lat. Ale kiedy podeszliśmy do kontuaru, odwrócił się i powiedział: „Z całym szacunkiem, ale zawsze mi się wydawało, że kara boska za chłanie to kac następnego dnia”.

W pewnym sensie zazdrościłam tej dziewczynie – zastanawiałam się, jak by to było mieć nagranie z tamtej nocy, uwiecznić całą sytuację, móc wrócić do niej, zdobyć dowód, niezaprzeczalny dowód, choćby dla samej siebie. Może wtedy bym wiedziała, czy zrobiłam wszystko, co trzeba. Czy powiedziałam „nie”. Czy walczyłam. Bo za każdym razem, kiedy odtwarzam tamtą noc w mojej głowie, za każdym razem, kiedy znów oglądam tamte wydarzenia, on staje się coraz mniej agresywny, a ja coraz bardziej bierna i wszystko się płacze i miesza w jednym wielkim nieporozumieniu.

# Rozdział 22

## *Kwiecień 2009*

Nadeszły święta wielkanocne, nie byłam na nie przygotowana. Nic się nie zmieniło. Próbowałam trzymać się z boku, ale Rachel regularnie dopadała mnie przy szafkach w szkole, zawsze umiała namówić mnie na wspólny powrót do domu.

– Co się nie odzywasz? – usłyszałam jej głos. Stałam na parkingu, walcząc z kluczykami. Zawsze jeździłyśmy razem, ale w tamtym tygodniu wołałam jeździć swoim samochodem. Wiedziała, że coś jest na rzeczy. Ja za to nie wiedziałam, co wie dokładnie.

– Byłam zajęta. I niezbyt dobrze się czuję, no wiesz.

– No wiem. – Spojrzała na mnie lekko rozbawionym wzrokiem, a ja uśmiechnęłam się z przymusem. Żałowałam, że zaczęłam w ten sposób.

Oparła się o drzwiczki po stronie pasażera, kołyszając kluczykami do swojego samochodu i nagle zaczęła:

– A co z Adamem? Nie poszłaś do niego w urodziny. Gdzie się podziewałaś?

Poczułam, że czerwienieję, ale zachowałam ostrożność, dawałam wymijające odpowiedzi, próbowałam skierować rozmowę na nią.

– Nie wiem. To chyba koniec. A ty? Jak Rod?

Położyłam książki na siedzeniu kierowcy i dopiero teraz dostrzegłam, że ręce mi się trzęsą. Rachel uniosła brwi.

– Kofeina – wyjaśniłam, wciskając ręce w tyle kieszenie i odwracając się twarzą do Rachel.

– Rozmawiałaś z nim?

– Z kim?

– Z Adamem. Jezu, Aub, czy ty mnie w ogóle słuchasz?

– Nie rozmawiałam. Zdaje się, że zerwaliśmy. Przed chwilą to powiedziałam.

– A, no tak. – Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się, jakby chowała przede mną jakiś sekret.

Na święta przyjechała rodzina mamy, gałąź irlandzka. Siedzieli nad talerzami z szynką, gawędząc i przerzucając się błyskotliwymi złośliwościami. Z udawanym rozbawieniem słuchałam opowieści kuzyna Petera z czasów studenckich. Zapewne miały mnie przygotować na zbliżający się wyjazd na uczelnię. Śmiałyśmy się, wymienialiśmy uprzejme uśmiechy, przesuwaliliśmy widelcem tłuczone kartofle na

talerzach.

Cavanaughowie nigdy nie prowadzili rozmów na poważne tematy. Może to typowe dla Irlandczyków. Od kiedy rodzice sześć lat wcześniej ogłosili, że się rozwodzą, rodzina ze strony mamy nie wspomniała o nim ani razu. Nigdy nie pytali moich braci ani mnie, co u nas słychać, co słychać u taty. Zachowywali się tak, jakby nigdy nie istniał. Grassowie z kolei – pół-Włosi, pół-Żydzi, linia dramatyczna – dzwoniли co najmniej raz w tygodniu, by się upewnić, czy wszystko w porządku. Wujowie ściskali mnie w objęciach o sekundę za długo, klepali po plecach, pytając: Jak się miewasz? Jak mama? Wszystko dobrze?

W ogóle nie przejęłam się rozwodem. Można było się go spodziewać. Takie rzeczy zdarzają się każdemu. Nigdy za bardzo się nad tym nie rozczulałam.

Tak więc cieszyłam się, że tę Wielkanoc spędzę w towarzystwie Cavanaughów. Nawet gdyby dostrzegli, że coś jest nie tak, nawet gdybym miała to wypisane na twarzy, nigdy by nie spytali.

Zawsze się dziwiłam, jakim sposobem Karen wybrała zawód psychologa szkolnego. Pochodziła z rodu nieprzystępnych Irlandczyków, a całe dni spędzała, próbując dotrzeć do nastolatków, załamanych rozwodem rodziców.

Babcia Kath z Connecticut – właśnie tak się przedstawiała: Katharine L. Cavanaugh z Connecticut – siedziała na miejscu honorowym. Zawsze była wysoka i szczupła, jak Karen, miała rudawe włosy przycięte w idealnego boba, sięgającego tuż przed ramiona. Nikt nie wyglądał w tej fryzurze równie wspaniale jak ona.

Siedzieliśmy przy stole w jadalni – tym używanym na specjalne okazje, tym, przy którym jedliśmy pierwszy rodzinny obiad z Adamem. Metodycznie niszczyłam kopczyk z groszku, oddzielając kulki jedną po drugiej widelcem. Miałam taką teorię, że jeśli zrobię bałagan na talerzu, może wszystkim będzie się wydawało, że zjadłam więcej niż w rzeczywistości. I może, może przy okazji uda mi się pozbyć obecnej siebie, ładnej, tylko nieco pulchnej.

– No, Aubrey – zaczął kuzyn Peter, stawiając szklankę na stole. Brzęknęły kostki lodu. – Dostałaś już odpowiedź od wszystkich szkół, do których wysłałaś papiery? – Uśmiechnęłam się, zaciskając wargi, i kiwnęłam głową. – Świetnie.

– Chyba zdecydujemy się na Brown – powiedziała matka. – To jej wymarzona uczelnia. Nikt nie wierzył, że się dostanie. Pierwsza studentka prestiżowej uczelni w naszej rodzinie! – Matka odchrząknęła. Kostki lodu znowu zabrzęczały. Uśmiechnęłam się, zaciskając wargi, i kiwnęłam głową.

Przesuwałam groszek tak długo, aż znikł pod kupką tłuczonych kartofli.

– Ekscytujące, prawda? – ciągnął Peter. – Studia. Najlepszy czas w życiu.

Najlepszy czas w życiu. Jasne. Wzięłam głęboki wdech, zerknęłam znad talerza, Uśmiechnęłam się, zaciskając wargi i kiwnęłam głową, a potem odeszłam od stołu.

Przez cały poprzedni dzień walczyłam z atakiem paniki – Karen rzuciła od

niechcenia, że zapisała mnie na wizytę u ginekologa na początku maja. Za kilka miesięcy skończę osiemnaście lat i powinnam zaliczyć badanie przed wyjazdem na studia.

Czy jesteś aktywna seksualnie, Aubrey? Wiedziałam, że lekarz – czy lekarka – z pewnością zada to pytanie.

I co odpowiem? Tak, ale zrobiłam to tylko raz i nie, nie użył prezerwatywy. Nie, nie znam jego historii. Nie pytałam, ponieważ nawet nie wiedziałam, że to się stanie.

Potem kolejna wizja. Lekarz – czy lekarka – bada mnie i mówi: Aubrey, jesteś dziewicą. Wszystko zmyśliłaś. Pewnie byłaś pijana. Albo jesteś nienormalna. To tylko twoja wyobraźnia.

Stałam przy zlewie, odkręciłam wodę, maksymalnie gorącą, wycisnęłam trochę pomarańczowego płynu na ręce. Kartofle, groszek i sos wymieszane w szarą paciaję zsunęły się z talerza do metalowego zlewu. Wzięłam do ręki salaterkę pokrytą zaschniętym czerwonym sosem i zaczęłam obracać ją po gorącym strumieniu, pomarańczowe mydliny wypełniły zlewozmywak. Patrzyłam, jak czerwona maź spływa z naczynia i znika pośród piany. Dokoła unosiła się para, dłonie odrętwiały, a ja dalej tarłam salaterkę kciukiem, aż stała się nieskazitelnie biała, tak biała, że widziałam w niej własne odbicie. Pomyślałam, że jeszcze nigdy nie widziałam niczego równie białego.

W drzwiach stanęła Karen.

– Zachowałaś się bardzo niegrzecznie – oznajmiła.

– Mam migrenę – rzuciłam, nie odwracając się w jej stronę. Para unosiła się znad zlewu, gorąca woda nadal opływała dłonie, wprawiając je w odrętwienie. Powietrze było zatęchłe, szare i zatęchłe, jakbyśmy brały udział w jakimś programie z epoki czarno-białej telewizji. Było duszno – może z powodu pary, w każdym razie poczułam, że za chwilę zemdleję. Odwróciłam się i osunęłam na podłogę, szorując plecami o dębowe szafki.

Karen podbiegła do mnie, położyła rękę na moim czole, jakby podejrzewała, że nagle dostałam wysokiej gorączki.

– Nic mi nie jest – powiedziałam, odpychając ją. – Chcę zostać sama. Nie zniosę opowieści tego pretensjonalnego idioty o starych dobrych czasach, ani minuty dłużej.

Karen oblała się rumieńcem. Odsunęła się ode mnie, zaczęła krążyć po kuchni, mruczając do siebie i trzaskając szafkami.

– Co cię ugryzło? – spytała. – Przez cały tydzień zachowujesz się jak wstrętna gówniara. – Wzruszyłam ramionami, jej słowa krążyły dokoła mnie, splatając się z oparami, moja klatka piersiowa zaciskała się mocno, miałam wrażenie, że nie zdołam wtłoczyć w nią ani odrobiny powietrza, nieważne, jak mocno będę próbować. – Aubrey. Odpowiedz na moje pytanie.

Stała nade mną podparta pod boki. Zauważyłam, że ma na ustach szminkę,

Jungle Red, zdaje się, a ja dalej siedziałam na podłodze, z kolanami pod brodą, zasysając gorące pełne pary powietrze i miałam ochotę powiedzieć, żeby się zamknęła, że nie ma prawa mnie wypytywać, że ma przestać, natychmiast przestać, bo nie chce poznać odpowiedzi, nie chce nosić tego ciężaru, bo to będzie zbyt trudne, za to ja muszę go nosić, już do końca, już nigdy się go nie pozbędę, jestem wrakiem, jestem, kurwa, ruiną, wypełnia mnie potworny strach, wykręca flaki, a ona nie chce o tym wiedzieć. Ale milczałam, odrętwiała, zasysając powietrze, próbując wypełnić tę wydrążoną pustkę w moim wnętrzu.

– Aubrey – powtórzyła. Tym razem odpowiedziałam. Podniosłam się i walnęłam salaterką o granitową podłogę, biała ceramika roztrzaskała się u jej stóp na kawałki, ale ona nawet nie drgnęła.

Znów osunęłam się na ziemię, przycisnęłam twarz do kolan.

– Proszę – mruknęłam. – Zostaw mnie. – Gorące łzy plamiły moje dżinsy.

– Aubrey.

– Na pięć, kurwa, minut, mamo. Zostaw mnie samą na pięć zasranych minut.

Zmierzch oplatał miasto. Wymknęłam się tylnymi drzwiami i wyszłam na ulicę. Nie zniosłabym kolejnego pytania o to, na którą uczelnię się wybieram i czy czuję się podekscytowana. Bo gdybym miała odpowiedzieć szczerze: tak, nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie wyjadę z tej pierdolonej dziury w dupie.

Szurałam podeszwami o asfalt. Niebo znaczyły sińce w odcieniach szarości i fioletu. Studenci jeszcze nie wyjechali, nadal czułam jego obecność, kleił się do mnie jak zimny twardy brud.

Skóra mrowiła. Zawsze się zastanawiałam, skąd bierze się to odczucie. Doszłam do wniosku, że pewnie ciało próbuje w ten sposób odwrócić naszą uwagę – mrowienie zamiast prawdziwego bólu. W ten sposób odcina się od cierpienia.

Szłam wzdłuż domów, okien ozdobionych wielkanocnymi dekoracjami, i myślałam o tych wszystkich rodzinach, o tym, jakie sekrety kryją i jak bardzo się nawzajem nienawidzą.

Poszłam boczną drogą, żeby nie przechodzić obok jego domu, niepotrzebnie przecięłam skrzyżowanie, chłód przebił mnie tępym ostrzem. Ładna, tylko trochę pulchna.

Omijałam pęknięcia w płytach chodnikowych. Wzdłuż ulicy parkowały sznury samochodów.

Potrzebowałam snu. Potrzebowałam jedzenia i papierosa.

Byłam coraz bliżej domu Adama. Miasto wyglądało inaczej. Pomyślałam, że może nie żyję, miałam taką nadzieję, ale wystarczyło, że otarłam się o latarnię, lekkie uderzenie przypomniało mi, że jednak nie umarłam.

Jeśli Adam nadal jest na mnie zły, to trudno. Niech tam. Nie miałam nic do stracenia.

Jego jeepa nie było przed domem. Zobaczyłam go, wracając do domu, stał przy bocznej uliczce – tej, którą specjalnie ominęłam, by nie oglądać w oknie od frontu rodziny Robbinsów świętującej zmartwychwstanie Chrystusa.

Silnik był włączony. Zbliżyłam twarz do okna po stronie kierowcy. Nie zauważyli mnie.

– Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha – stwierdził Eli. Długo chodziłam ulicami, po prostu szłam przed siebie. Zobaczyłam Adama w samochodzie i musiałam chodzić, bez celu, gdziekolwiek. Eli zaszedł mnie od tyłu, wychynął z naszej ulicy. Był sam.

– Po prostu zmarłam – odparłam. Słowa brzmiały nierealnie, może tak naprawdę nie istniały. – Mama kazała ci mnie szukać?

Wzruszył ramionami, położył rękę na moim ramieniu.

– Chyba mam coś dla ciebie – powiedział.

Usiedliśmy obok siebie na trybunie obok szkoły. Zapalił skręta, obrócił go w ustach, wciągnął dym, aż pierś mu się zapadła.

– Nie pozwól Karen, żeby włąziła ci na głowę – powiedział. – Wiem, do czego zmierza.

– Nie chodzi o nią – odparłam, wzięłam od niego skręta i zaciągnęłam się. Eli emanował spokojem, był jeszcze taki mały, wyglądał jak dziecko.

– Czy czujesz się czasem jak w pułapce? – spytałam i od razu pożałowałam tych słów.

– To znaczy fizycznie, w domu?

– Tak i nie. Ale nie tylko w Seaport, tylko tak w ogóle, w życiu. – Dotknęłam skroni dwoma palcami, potarłam. – Czasami odnoszę wrażenie, że moje życie to taka idealnie wymyślona dekoracja, szklana kula ze śniegiem w środku. I stoi w cudzym domu. Sama nie wiem. Może należy do Boga, może do Karen, a może jakiś wstrętny gówniarz dostał ją w prezencie od dziwacznej ciotki. Nieważne, kto jest jej właścicielem, ja w każdym razie czuję się, jakbym siedziała tam w środku. I osoba, do której należy kula, w każdej chwili, kiedy przyjdzie jej na to ochota, może wziąć ją do ręki, potrząsnąć i patrzeć na padające płatki sztucznego śniegu. Z czego oni właściwie je robią?

– Z plastiku – odparł Eli. – A kiedyś z kościanych wiórków i porcelany.

– No właśnie. Płatki pływają dokoła, są zanurzone w cieczy, o czym większość ludzi zapomina. Tonę w śniegu i wodzie. I nikogo to nie rusza.

– Głębokie – powiedział, mrużąc oczy jak kociak. Uderzyłam obcasem o metalową ławkę i znowu się zaciągnęłam.

– A ciebie rusza? – pytam. Pewnie zioło zaczęło działać. Patrzę na niego, a on patrzy na boisko. Zawsze lepiej dogadywałam się z Elim niż z Markiem. Marc zawsze był taki poważny i obowiązkowy, chociaż na okrągło popalał. Większość ludzi się

nabierała. Eli za to nigdy niczego nie brał na serio.

– Jasne, że tak – odparł. – To znaczy, nie wiem, co dokładnie, ale kiedy mówisz, że toniesz czy coś w tej śnieżnej kuli, no to wiem, o co chodzi. Beznadzieja. Rusza mnie.

– Dzięki – wstałam powoli.

– Drobiazg – odpowiada, ale zostaje na miejscu. – I co by to nie było, pamiętaj, że za cztery miesiące wyjeżdżasz. Zaciśnij zęby i wytrzymaj. Już niedługo.



# Rozdział 23

*Wtorek, 9 października 2014*

Rano w dniu pogrzebu Rachel stoję przed toaletką. Nagle czuję, że ktoś wszedł do pokoju.

– I? – pyta Karen. Wiem, na co czeka. Ma na sobie czarny strój numer dwa, jest gotowa do wyjścia. Czuję, jak coś przepływa przez moje żyły, coś niebezpiecznego. Jestem gotowa i spokojna. Ręce mi się nie trzęsą. – Wczorajsza uroczystość była bardzo piękna – mówi. – I smutna. – Wciąż milczę. – Wiesz, kogo spotkałam?

Wzruszam ramionami do lustra, wklepuję krem pod oczy.

– Adama.

Moje ciało sztywnieje, tylko na sekundę, pamiętam, że muszę oddychać, zakręcam słoik.

– I?

– I pytał o ciebie. Wyglądał na zmartwionego.

– Zmartwionego? – pryham.

– Była twoją najlepszą przyjaciółką, Aubrey.

– Nie – mówię z odpowiednią dozą sarkazmu. – Nie była. Nie była moją najlepszą przyjaciółką. – Chodzę po pokoju, porządkuję rzeczy. Szara bawełna klei się do wilgotnych pleców.

– Od kiedy? – pyta.

– Co od kiedy? – Zwijam w kulkę jakieś papiery leżące na biurku, wrzucam butelkę po czerwonym winie do kosza.

– Od kiedy przestała być twoją najlepszą przyjaciółką? – Jej plecy odrobinę sztywnieją. – Próbuję zrozumieć, Aubrey.

– Hmmm – mówię. Zsuwam spodnie dresowe – spodnie Danny'ego – do kostek, zrzucam je kopniakiem. Pokazują się stare bokserki Adama. Dał mi je pewnej letniej nocy, kiedy oglądaliśmy razem film. Zachowałam je, jako swego rodzaju trofeum. Stoję boso na drewnianej podłodze, moje nogi są bledsze od reszty ciała, pod kolanem ledwo widoczna mała biała blizna, pamiątka po pierwszym goleniu.

Wciągam sztywne dzinsy i robię dwa przysiady. Nie mam ochoty rozmawiać, ale czuję się taka odrętwiała i obojętna, słowa i tak wydają mi się nierzeczywiste.

– Co mówiłaś? – pytam złośliwie. To jej wina, ciągle mnie osądza i krytykuje, czuję wielką potrzebę, by sprawić, że poczuje się niewiarygodnie głupia. – A, no tak.

Przestała być moją najlepszą przyjaciółką... A! Jakoś tak koło świąt wielkanocnych. Pamiętasz? Kiedy rzuciłam salaterką.

Karen milczy. Słyszę, jak wciąga powietrze nosem i wydmuchuje ustami.

– Pamiętasz, potem wyszłam – ciągnę. Mój głos jest spokojny, ciało odrętwiałe, ale nagle czuję coś jeszcze. Czystą radość. Przyływ czystej naturalnej niczym niezmałowanej radości. – I wiesz, stało się coś naprawdę zabawnego. – Pochyliłam się i śmieję do siebie. – Poszłam porozmawiać z Adamem. Pokłóciliśmy się, wiesz, bo nie chciałam się z nim pieprzyć. Powinnaś być ze mnie dumna. Koronny przykład kobiecej siły i niezależności. Ale Adam wywołał we mnie takie poczucie winy, że chciałam go przeprosić. Głupie, co? Chciałam go przeprosić za to, że nie mógł mi się dobrać do majtek. I wiesz, co się stało? Szłam tą boczną uliczką za jego domem, po prostu sobie szłam i nagle zobaczyłam jego samochód. I zajrzałam do środka. I wiesz, co zobaczyłam? Potrafisz zgadnąć?

– Aubrey – mówi matka cichym głosem – proszę.

– Czekaj, czekaj – mówię, coraz bardziej podekscytowana. Jeszcze nigdy tak mi się nie kręciło w głowie. – Teraz będzie najlepsza część.

Zaciska szczęki, widzę jej odbicie w lustrze, ale nie patrzę na nią. Jeszcze nie. Dawkuje sobie przyjemność. Udaję, że skupiam się na własnych ruchach.

– Naprawdę niezłe ćwiczenie – mówię, robiąc przysiad.

Robi krok w moją stronę, a ja rzucam się przed siebie – reakcja fight-or-flight. Zatrzymuje się, cofa, przystaje w drzwiach. Założę się, że jej nigdy nie spotkała tak popierdolona sytuacja, kiedy była w moim wieku, i chcę to powiedzieć, ale chyba nie załapałaby żartu. Ostatnio stanowczo nie nadajemy na tych samych falach.

– Gdzie to ja byłam? – mówię. – A, no tak. Adam. Adam w samochodzie. I kto jeszcze? Uwaga, spoiler! – wrzeszczę. Obracam się twarzą w jej stronę. – Rachel. I zgadnij, co takiego robili? No, nie wiem na sto procent, ale wydaje mi się... jestem prawie pewna... – zbliżam dłoń do ust, jakbym zamierzała zdradzić wielki sekret – ...że uprawiali seks – kończę szeptem.

Twarz Karen szarzeje, oczy są wielkie jak spodki.

Wciągam powietrze, koszulka lekko się unosi.

– I właśnie wtedy Rachel przestała być moją najlepszą przyjaciółką. – Uśmiecham się, szeroko i drapieźnie. – A, zaczekaj. Zapomniałam o najważniejszym. – Czuję, jak coś dziwnie bulgocze mi w gardle. – To nie do końca była ich wina. Oboje byli na mnie porządnie wkurwieni. I mieli prawo. – Myślę o tym, co mogłabym powiedzieć, jak mogłabym to powiedzieć, ale wszystko wydaje się nierealne. Mogłabym przyjąć rolę ofiary, kłamczuchy, zdrajczyni, zdesperowanej szmaty. Wszystko jest subiektywne, wszystko zależy od tego, kto opowiada. Postanawiam trzymać się faktów. – Ten gość mnie przeleciał w same urodziny Adama! A w dodatku – zgadnij! Rachel miała świra na jego punkcie. Poważnie.

– Aubrey – mówi. – Uspokój się, proszę.

– Ha! Próbuję opowiedzieć ci ciekawą historię. Nie chcesz posłuchać?

Znowu wciąga powietrze przez nos, potem wypuszcza przez wydęte usta.

– A więc były urodziny Adama. Wściekł się, bo nie chciałam się z nim przespać. A potem się okazuje, że dałam innemu facetowi. I to w jego urodziny. Czyż nie zabawne? To znaczy, nie całkiem dałam. Sam wziął. Nie rozumiał, że „nie” znaczy „nie”. A potem, jak sądzę, Adam się dowiedział i Rachel się dowiedziała i postanowili się zemścić. A teraz Rachel nie żyje. A ja mam to gdzieś. Adam się martwi? To też mam gdzieś. Już rozumiesz?

Wypuszczam głośno powietrze i zagryzam wargi. Tylko tak mogę powstrzymać atak histerycznego śmiechu. Matka nic nie mówi, tylko patrzy na mnie. Sądziłam, że jest lepiej przygotowana na tego rodzaju sytuacje. Ale widać nie. Zaczyna mówić. Wygląda na przejętą, ale jej przerywam.

– Powinnaś już iść. Spóźnisz się, a ja mam umówioną wizytę u manikiurzystki.

Wyciągam dłonie. Skórki są postrzępione i obgryzione, ciemnoczerwony lakier poodpryskiwał, ale ręce się nie trzęsą.

# Rozdział 24

*Kwiecień 2009*

Kiedy weszłam do jego pokoju, właśnie oglądał „Familiadę”, wersję z lat siedemdziesiątych z Richardem Dawsonem. Pamiętam, pomyślałam, jak to możliwe, że facet bezkarnie całował te wszystkie młode laski, prosto w usta, w obecności ich mężów, ojców, braci i nikt nawet nie pisnął, że jakiś stary dziad dobiera się do jego kobiety.

Zapukałam, chociaż drzwi były otwarte. Leżał na brzuchu, nawet nie podniósł głowy. Pewnie myślał, że to jego mama przyniosła pranie czy coś w tym stylu. Dalej oglądał Richarda Dawsona, a ja czekałam w drzwiach.

Wyglądałam koszmarnie. Wiedziałam, a lustro wiszące na przeciwległej ścianie tylko potwierdziło moje przypuszczenia. Miałam na sobie podarte dzinsy i workowatą bluzę, spadającą z jednego ramienia. Mruknęłam coś o chorobie i wpełzłam pod niebieską flanelową kołdrę.

– Co słyhać? – Tak właśnie powiedział. Co słyhać. Poprzedniego dnia przyłapałam go, jak pieprzy moją najlepszą przyjaciółkę, a on mówi: „Co słyhać”. Gwoli sprawiedliwości, nie widział mnie wtedy.

Podniósł się i spojrzał na mnie. Nie miał na sobie góry od pizamy. Flanelowe spodnie wisiały nisko na biodrach. Mięśnie ramion i brzucha rysowały się znacznie wyraźniej, niż pamiętałam. Chociaż od naszego ostatniego spotkania minął zaledwie tydzień. Zamknęłam oczy, podciągnęłam narzutę pod brodę, otuliłam się kocem. Zastanawiałam się, czy trenował dla Rachel.

– Nie chcę o tym rozmawiać – powiedziałam. Była szósta, poniedziałek. Znowu udawałam migrenę.

– Jesteś pijana?

Potrząsnęłam głową.

– Nie, tylko zmęczona.

– Aubrey – usłyszałam zimny pusty głos – chyba powinnaś wyjść.

Nie poruszyłam się, leżałam zwinięta pod kocem, wciskając twarz w poduszkę.

– Teraz zdejmę majtki – oznajmiłam, nie otwierając oczu.

– Aubrey – powtórzył – nie musisz.

– Adam – powiedziałam – zamknij się.

Potrzebowałam tego. Swego czasu kochałam go, na tyle mocno, by chcieć z nim

to zrobić. Chciałam poczuć kształt i znajomy ciężar ciała, jego dłonie, jego zapach. Potrzebowałam tego. Chociaż nie miało to nic wspólnego z nim konkretnie.

Zdjęłam spodnie pod kocem.

– Całowałam się z twoim bratem. – Nie zamierzałam tego powiedzieć, słowa jakby same ześliznęły się z języka. I nie poczułam się ani odrobinę mniej winna.

Położył się obok na plecach.

– Wiem.

– Od kiedy? – Poczułam własny oddech: kawa i papierosy.

– Rachel mi powiedziała.

– Co jeszcze ci powiedziała?

– Czy to ma jakiegokolwiek znaczenie? – Położył się na mnie i przycisnął suche wargi do mojej szyi, początkowo z wahaniem.

– Jesteś zły?

– Nie – odparł i przesunął palcem wzdłuż mojego biodra.

Nagle moje ciało zeszywniało i poczułam, jak ręka – ważyła chyba z tonę – odrywa się od mojego boku i uderza go. Nie chciałam. Samo się stało, odruch. Mruknęłam coś przeprasząco, wzięłam jego rękę i położyłam z powrotem tam, gdzie była przed chwilą.

– Za co przepraszasz? – spytał. Chciał, żebym to powiedziała. Może to wszystko zdarzyło się tylko w mojej wyobraźni. Może nawet nie wiedział. Ale miałam wrażenie, że chce, bym to powiedziała. Dlaczego nie kocham go na tyle mocno, by iść z nim do łóżka? Dlaczego zrobiłam to z tym gównem Erikiem? W dodatku w dniu urodzin Adama. Dlaczego byłam taka słaba?

Pocałował mnie w policzek. Odwróciłam głowę na bok. Gorące łyzy piekły pod powiekami, ale nie chciałam, żeby widział, jak płaczę. Obiecałam to sobie.

– Spokojnie – powiedział. – Wyluzuj. Wyluzuj.

– Przepraszam – powtórzyłam i zwróciłam twarz w stronę sufitu. – Jestem gotowa. Tylko trochę się denerwuję. Trema przed pierwszym razem.

Trema przed pierwszym razem.

Chwył mnie za ramiona, wcisnął w łóżko i położył się na mnie. Patrzyłam w sufit. Raz. Dwa. Liczyłam. Trzy. Cztery. Krew jak gorący cement wypełniła wszystkie puste miejsca w moim ciele, by po chwili zastygnąć w zimną szarą masę. Pięć. Sześć. Przysięgam, jeszcze raz i się rozpadnę.

Oddychałam pod ciężarem jego rąk.

– Nie krwawiłaś – powiedział potem.

– Nie. Ale bolało.

Wszystko trwało kilka sekund. Żadnych pieszczot. Żadnego przytulania. Zresztą wcale mi to nie przeszkadzało. Leżałam pod kocem, słaba i samotna. Odrętwiała. Myślałam, że to pomoże. Byłam pewna, że znajomy kształt jego ciała, jego zapach,

wszystko, co z nim kojarzyłam, sprawi, że gorzki smak Erica Robbinsa zniknie z moich ust – że zniknie ciężar jego cielska na mojej piersi, samczy odór tandetnej wody kolońskiej. Myliłam się.

Włożyłam dzinsy, podeszłam do biurka, wzięłam grzebień i zaczęłam rozczesywać splątane włosy.

– No i co? – spytałam, patrząc na niego w lustrze. – Warto było?

– Jasne – odparł. Włożył spodnie od pizamy i usiadł na brzegu łóżka. – Chyba tak.

– Chyba tak? – Przesuwałam grzebieniem w tę i z powrotem. On znów oglądał „Familiadę”.

– No. Chyba tak.

Podniosłam opakowanie po prezerwatywie z podłogi i włożyłam do pudełka na biurku. Nigdy nie ufałam koszom na śmieci. Może dlatego, że Karen zawsze sprawdzała mój. Zajrzałam do pudełka. Było wcześniej otwarte. Ale możliwe też, że Adam wyjął kilka sztuk, nosił w portfelu czy woził w samochodzie. Na pewno zużył przynajmniej jedną, tyle wiedziałam.

Otworzyłam górną szufladę i wsunęłam pudełko pod stertę skarpetek. I nagle coś błysnęło. Mój pierścionek z drozdem.

– Ad, skąd to masz? – Leżał tam jak gdyby nigdy nic, obok starych bokserek.

Adam podniósł się, wyjął pierścionek z mojej ręki i zatrzasnął szufladę.

– Znikąd. Nie grzeb w moich rzeczach.

– Nie. Powiedz mi.

– To nie twoja sprawa. – Twarz mu poczerwieniała. – Jasne? Zostaw.

– Ten pierścionek należał do mnie. Skąd go masz? – Nie pamiętałam, kiedy ostatnio go nosiłam, ale chyba przed Adamem, z pewnością przed Adamem.

Jego twarz stężała. Patrzył na mnie, szare oczy lśniły.

– To ty? – zapytał, zaciskając pięści tuż przy ciele, jak rozzłoszczony dzieciak. – To ty jesteś tą dziewczyną?

– Jaką dziewczyną? O czym ty mówisz? – Czułam bicie serca w głębi piersi, w głowie.

Spojrzałam na pierścionek, potem na Adama. Kiedy wszystkie elementy układanki wskoczyły na miejsce, on już wypychał mnie za drzwi.

Zrobiło mi się za gorąco. Powróciły obrazy z przeszłości, ostatnich czterech lat, wirowały w mojej głowie jak seria chaotycznych migawek: Eric, materac, Max, Tonya, pierścionek, Rachel – i nagle wszystko się zatrzymało, a potem elementy ułożyły się w porządku chronologicznym.

Rachel. Max. Materac. Pierścionek. Tonya. Adam. Eric. Rachel. Adam. Rachel. Adam. Rachel Adam Rachel Adam Rachel Adam Rachel Adam Rachel Adam.

– Ten pierścionek dostałem od Maxa – powiedział cichym ostrym głosem. – Dał mi go niedługo przed śmiercią. To ty jesteś tą dziewczyną. Ty jesteś dziewczyną,

która groziła, że wniesie oskarżenie.

– Nie – zaczęłam łamiącym się głosem, ale nie słuchał. – Nie, to nie ja dałam mu ten pierścionek.

– Oskarżyłaś go o gwałt? – Pchnął mnie mocno. – On się, kurwa, zabił! – wrzasnął mi prosto w twarz, drobinki śliny osiadły na mojej skórze. – Ty zasrana pizdo. On nie żyje, kurwa, nie żyje – bełkotał, wypychając mnie za drzwi. Jego głos zmienił się w łkanie.

# Rozdział 25

*Czwartek, 9 października 2014*

W szaleńczym rytmie bębnię paznokciami prosto od manikiurzystki o drewniany kontuar. Górne światła odbijają się w ciemnoczerwonym lakierze. Jest jak mój podpis. Wicked.

Sprzedawca nabija na kasie dwie butelki Jacka Danielsa i wkłada każdą z osobna do papierowej torebki. Nie pyta o dowód osobisty. Kiedy przesuwam moją kartę w czytniku, wypuszczam powietrze ustami, zbyt głośno, mężczyzna spogląda na mnie i przeprosza za wolne tempo. Nie zamierzam go poganiać, prawie robi mi się go żal, ale mam kilka spraw do załatwienia.

Jest tuż po jedenastej, pogrzeb trwa w najlepsze. Właśnie w tym momencie całe Seaport, ubrane w najlepsze czarne ciuchy, patrzy, jak spuszcza trumnę z Rachel do grobu. Idealny dzień na pogrzeb – szary i zimny – siedemdziesiąt pięć procent szans na deszcz. Mam nadzieję, że wzięli parasole.

Nie czekałam, aż Karen wyjdzie, chwyciłam kluczyki i odjechałam, zanim zdołała otworzyć usta. Została przed drzwiami mojego pokoju, z głupią miną, jakby chciała oznajmić, że później będę musiała się wytłumaczyć. Ale chyba wyraziłam się jasno? Jasno i elegancko. Co jeszcze miałabym powiedzieć? Ale wszystko, co powiedziałam, powraca do mnie raz po raz, uderza o moje gardło jak pocisk.

A teraz Rachel nie żyje. A ja mam to gdzieś. Adam się martwi? To też mam gdzieś. Już rozumiesz?

A potem dałam innemu facetowi.

– Proszę – mówi kasjer, podając mi torbę. – Impreza? – pyta, próbuje być sympatyczny.

– Nie – odpowiadam. After party.

Deszcz atakuje mój samochód stojący na parkingu, wycieraczki tańczą w obłąkańczym rytmie. Wyglądam sukienkę na kolanach, podaję sobie butelkę Jacka. Nagle dociera do mnie, że się śmieję, parskam, totalnie obłąkana, przypominam sobie, jak w pierwszej liceum wycięli mi migdałki. Był grudzień, zimny dzień, Rachel nie poszła do szkoły. Jej mama powiedziała Karen, że nie była w stanie. Przez cały dzień nagrywała mi się na pocztę głosową i dzwoniła do mojej mamy, żeby się dowiedzieć, czy wiadomo coś nowego. Kiedy wieczorem wróciłam do domu, siedziała na progu, bardzo nieszczęśliwa. Wszyscy się z tego nabijaliśmy, moi bracia,



Adam i ja, nawet Karen nie mogła się powstrzymać, też kpiła z dramatycznej pozy Rachel. To był prosty zabieg. Pojechałam do szpitala o szóstej rano, wróciłam w porze kolacji, ale Rachel najwidoczniej nie potrafiła pogodzić się z myślą, że może mnie stracić.

Dzwoni telefon, przemyka mi przez głowę, że to Rachel. Niespodzianka! Ja żyję! To był tylko test. A, przy okazji – oblałaś.

Jej wiadomość nadal tkwi uwięziona w moim telefonie – gnijący trup, z każdym dniem wydający coraz ohydniejszą woń. Biorę telefon z deski rozdzielczej, cyfry zlewają się, a potem wyostrzają. Jeszcze raz łykam Jacka. To Danny. Najpierw go ignoruję, telefon spada na podłogę, ale deszcz bębni o szyby, Jack płynie w moich żyłach, sięgam po telefon i odbieram.

– Halo – mówię śpiewnie. Panuje cisza, słyszę tylko ciężki oddech po drugiej stronie, jakby Danny zastanawiał się, jaki ton przybrać.

– Co się z tobą dzieje, do cholery? – mówi w końcu. – Cały dzień próbuję się z tobą skontaktować. – Powstrzymuję śmiech. Dzwonił tylko dwa razy, a niecałą godzinę temu wysłał esemes. Czyli raczej ledwo próbował. Jestem pewna, że Rachel wykazałaby się większym uporem.

– A czy wiesz, że mam usunięte migdałki? – pytam bełkotliwie.

– Aubrey.

– Nie wypowiadaj mojego imienia takim tonem. Protekcyjnym. – Otwieram okno, deszcz wpada do środka.

– Rozmawiałem z twoją mamą – mówi. Robi mi się robi słabo.

Byłam z Dannym szczerą. Nie, nie powiedziałam mu wszystkiego, ale tyle, ile tylko mogłam.

„Byłam pijana w trupa” – odparłam, kiedy zapytał mnie o pierwszy raz. „Nie chcę o tym mówić”. To było w Brown, leżeliśmy ściśnięci na jego łóżku w akademiku.

„Kto to był?” – zapytał. Oboje byliśmy nadzy, owinięci cienkim prześcieradłem. Danny jeździł palcami po moim tatuażu.

„Nie Adam”. Wiedział o Adamie. Tyle, ile chciałam mu powiedzieć. Nie mogłam tego przed nim ukryć. Adam był moim chłopakiem w czasach licealnych, matka zawsze będzie porównywać Danny’ego do pierwszego chłopca, którego przyprowadziłam do domu. „Ktoś”, powiedziałam. „Taki jeden palant. Byłam pijana. Nie chciałam, żeby to się stało. Wiesz, jak to bywa”.

Danny milczał. Nie był zbulwersowany ani oburzony, nie zamierzał też mnie usprawiedliwiać. I nie oczekiwałam tego. Przysunął się bliżej i powiedział:

„Zdarza się”.

Nadal słyszę jego oddech w telefonie.

– Rozmawiałem z twoją mamą – powtarza. – Wszystko mi powiedziała. – Nie odpowiadam, siedzę na fotelu kierowcy, w jednej ręce ściskając butelkę, a drugą

przyciskając telefon do ucha. Podkreślam odtwarzacz, Tracy Chapman płynie z głośników, wypełnia mój stary syfny samochód, głośniki warczą.

Pamiętam, jak jeździliśmy twoim samochodem, szybko, czułam się jak pijana.

– Nie dzwoń do mnie więcej – mówię, rozłączam się i rzucam telefon na tylne siedzenie.

Biorę jeszcze jeden łyk, brązowa ciecz rozgrzewa moje żyły. Wsiadam.

Wchodzę do baru i czas staje w miejscu. Jak w filmie, wszyscy zastygają i odwracają się w stronę drzwi. Ale nie jest to wielkie wejście – jak w tych scenach, kiedy Ona wchodzi do baru i dosłownie lśni i wszyscy patrzą, uśmiechają się do niej w zwolnionym tempie, a ona odrzuca włosy na ramiona i rusza przed siebie, a tłum się przed nią rozstępuje. Nic z tych rzeczy. Nie mam wejścia w wielkim stylu. I nikt się nie uśmiecha. Gapią się, przyciskając butelki z piwem do rozchylnych ust. Niektórzy szepczą, ktoś nawet wypowiada moje imię, ale nie do mnie. Do mnie nikt się nie odzywa.

Śmierdzi chlorem i piwem, fluorescencyjne światła mrugają pod sufitem. Nie powinno się montować takich świateł w barach, wyglądają nienaturalnie, oblewają blaskiem tłum, nadal ubrany w najlepsze czarne stroje. Na końcu baru stoi facet z pociągu – Jeff, Gary czy Louis – wbija wzrok w podłogę. Na czarnej koszuli nosi koszulkę z twarzą Rachel. Biała bawełna mocno się napina; facet wygląda niezgrabnie i nie na miejscu, twarz Rachel wisi przekrzywiona na jego klatce piersiowej. Patrzy na mnie, te oczy i uśmiech Kota z Cheshire. Większość facetów poluźniła krawaty. A ja stoję tam w swojej czarnej bawełnianej sukience, wyzynam włosy z deszczu.

Nie można porównać tej nocy z tamtą ostatnią nocą w barze u O'Reilly'ego – kiedy zespół zaczął grać, Rachel kręciła biodrami, ocierając się o Roda, a ja patrzyłam na drzwi, czekając na Adama. W niczym nie przypomina tamtej nocy. Panuje inny nastrój – ponury, przygaszony. Nie gra muzyka, ale jakiś chłopak ustawia z tyłu budkę didżejską. Pamiętam, jak tamten zespół zagrał piosenkę Pata Benetara, brzmiała tak ciemno i mgliście, jak zły sen. Ciekawe, co się z nimi stało, czy ich kariera muzyczna sięgnęła poza miejscowe bary. Myślę o tamtej nocy, myślę o Rodzie i zastanawiam się, czy tu jest, ale wątpię. Tylko on zwrócił wtedy na Rachel uwagę, a teraz wszyscy przyszli tu wyłącznie z jej powodu. Na pewno byłaby zachwycona.

Zatrzymuję się niedaleko wyjścia. Pierwsza podchodzi do mnie Chloe. Dopiero po chwili udaje mi się skojarzyć jej twarz. Ostatnim razem, kiedy ją widziałam, miała dwanaście lat, nosiła aparat korekcyjny i za mocne kreski na powiekach. Teraz ma całkiem ładne zęby, włosy opadają w luźnych lokach wokół wąskiej twarzy. W ogóle nie jest podobna do Rachel, ale porusza się w podobny sposób, tak samo kołysze ramionami.

– O rany, Aubrey – mówi. Łapie mnie za ramiona i przygląda mi się przez chwilę,

jakby próbowała ocenić, czy dużo urosłam. Mam ochotę ją odepchnąć, chwycić ją za twarz i powiedzieć: „Wypieprzaj stąd, dziewczynko”.

Ma szesnaście lat, w ogóle nie powinni jej wpuścić. Ale to pogrzeb siostry. A jeśli choć odrobinę przypomina Rachel – albo mnie – z pewnością nie jest to jej pierwsza wizyta w tym miejscu.

I nagle widzę go, stoi oparty o bar, w koszuli i miętowym krawacie.

Chloe przyciąga mnie bliżej do siebie, opiera podbródek o moje ramię i mówi:

– Tak się cieszę, że przyszedłeś. Dla Rachel to by wiele znaczyło. – Mamrocze coś i zacynam cofać się do wyjścia, ona jednak nadal trzyma dłonie na moich ramionach, nie pozwala się ruszyć. Telefon dzwoni w torbie. To pewnie tylko Karen. Dzwoni do mnie non stop od rana. A ja myślę tylko o wiadomości na poczcie głosowej. Wiadomości od Rachel, uwięzionej w moim telefonie. Jeśli to Chloe znalazła ciało siostry, czy znalazła również jej telefon? Czy wie, że zapewne byłam ostatnią osobą, do której zadzwoniła?

W głębi piersi zaczyna się dziwne uczucie – coś jak wybuch siarki – zastanawiam się, czy czuje whiskey w moim oddechu. Stłumione światła zaczynają się obracać, powoli, wszystko się przesuwają. Nadal czuję na sobie ich spojrzenia.

I znowu słyszę swoje imię. Chloe nadal mnie obejmuje, a ja stoję sztywna jak kołek, przyciskam ramiona do boków, głos jest już blisko, tuż obok, ale nadal widzę go opartego o bar, śmieje się, trzyma w ręku butelkę budweisera.

– Czy to Aubrey? – Podnoszę głowę i widzę twarz w kształcie serca i sztywne jasne włosy rozsypane na ciemnoszarym swetrze. – Tyle o tobie słyszałam – zaczyna i ociera zażawione brązowe oczy. Rzucam jej spojrzenie pod tytułem „nie mam pojęcia, kim jesteś”. Jej twarz mięknie w słabym uśmiechu. – Jestem kuzynką Rachel. – Chloe wciąż mnie obejmuje, wszyscy wciąż się gapią, podłoga wciąż śmierdzi piwem i chlorem. – Diane – mówi, przyciskając palce do mojego nadgarstka.

Rachel niezliczoną ilość razy wspominała Diane przy przeróżnych okazjach, jakby dawało jej to przewagę nad nami wszystkimi, jakby jakimś cudownym sposobem udzielało jej się doświadczenie Diane, tylko z tego powodu, że jest z nią spokrewniona. Ale nigdy wcześniej jej nie widziałam – a teraz, proszę, stoi przede mną, chlipiąc nad swoją biedną kuzynką – czuję się, jakbym spotkała prawdziwą gwiazdę.

– Diane? – powtarzam i odpycham Chloe. Wcale nie chciałam się roześmiać, ale się śmieję. I kręci mi się w głowie. Kuzynki wymieniają spojrzenia, po czym jednocześnie kładą ręce na moich ramionach. – Ta Diane? – Mówię za głośno, wiem, ponieważ obie pochylają się w moją stronę i zaczynają szeptać. Nie mam pojęcia, co próbują powiedzieć, ale nie muszę słuchać, więc mówię dalej. Moja krew znów zaczyna buzować w ten tak dobrze znany mi sposób, odpycham je. – Niesamowite, ty naprawdę istniejesz. Nie mogę w to uwierzyć.

– Skarbie – mówi Diane, zniżając głos. – Przyniosę ci wody, dobrze?

– Ta Diane – mówię dalej. – No, kurwa, niesamowite. – Nadal widzę go przy barze, roześmianego, z butelką budweisera.

– Chloe – mówi Diane, lekko poruszając dłonią – przynieś Aubrey szklankę wody.

– Trzyma mnie za nadgarstek i prowadzi w stronę stołka barowego. Wyrywam rękę, zbyt mocno.

– Chodź, skarbie, usiądziemy – mówi. – Wytrzeźwiejesz. – Wyciągam rękę ostrzegawczym gestem.

– Czy wiesz – mówię, chyba bełkoczę, ale tylko odrobinę – że jesteś bezpośrednią przyczyną każdego aktu rozpusty, w którym uczestniczyłam? – Znowu się śmieję.

Ona też się śmieje, ale nerwowo, ogląda się za siebie, patrzy na Chloe i samym ruchem warg mówi: „Woda. Szybko”.

– Nie, posłuchaj – podejmuję, odsuwając się od niej. – Robiliśmy przeróżne rzeczy, bo, wiesz, „Diane już to robiła”. – Rozglądam się dokoła, ale nie odrywam od niego wzroku na dłużej niż kilka sekund. W środku aż mnie skręca. Widzę Ally, stoi niedaleko, macham do niej obiema rękami, na chwilę o nim zapominam. Wszystko, byle na chwilę o nim zapomnieć. – Ally! – wołam. Wiem, że mnie słyszy, ale uśmiecha się zaciśniętymi wargami i odwraca się w stronę Tej Łaski, Której Imienia Nie Mogę Sobie Przypomnieć. – Ally – powtarzam. – Widzisz tę dziewczynę? To jest Diane. Ta Diane. – Nie reaguje, a potem przypominam sobie poniedziałek i wszystko, co mówiła.

Słyszałyśmy, że zrobiłaś coś bardzo złego. Nie było cię przy niej, kiedy byłaś jej potrzebna. Nie uważasz, że mogła potrzebować pomocy najlepszej przyjaciółki?

Odwracam się i znów patrzę na Diane, próbuję się uśmiechnąć, ale światła znów zaczynają wirować, ja stoję w miejscu, a cały świat się obraca.

– Nie róbmy scen, skarbie – mówi Diane.

– Nie, posłuchaj mnie, Diane. Ty chyba nie rozumiesz, co mówię. – Uśmiecha się sztucznie i zerka w stronę wyjścia. Zacinam się i potykam o własne słowa, wiem, że powinnam się zamknąć. Po prostu się zamknąć. Ale nie mogę, czuję, że słowa znowu zaczynają wypadać z moich ust. Wiem, że Diane tylko na chwilę może odwrócić moją uwagę, że kiedy zamilknę, znowu go zobaczę, siedzącego w rogu, w miętowym krawacie. – Rachel kazała mi robić to wszystko z twojego powodu! Z powodu wspaniałej Diane! Za wyjątkiem koki. Na kokę nie dałam się namówić. – Pochylam się. – Nie masz przypadkiem trochę przy sobie? – Diane puszcza mój nadgarstek, odwraca się twarzą do tłumu żałobników, którzy ubrali się w swoje najlepsze czarne stroje, który przyszli tu z powodu Rachel.

– Przepraszam – mówię. – Taki żart. – Ale Diane nadal patrzy na tych ludzi, Chloe ma minę, jakby zaraz miała się rozplakać – albo roześmiać, wszyscy się gapią.

– Może ktoś odwiezie ją do domu? – pyta Diane. Każdy jak na komendę niezręcznie pochyła się nad swoim drinkiem.

Biedna Rachel, myślą wszyscy. Biedna Rachel, taka wrażliwa. Świat się kołysze, w głębi brzucha rośnie panika, wiem, że jeśli nie zamknę ust, zwymiotuję, więc gryzę się w język, nie rozumiem, co ci ludzie sobie myślą, stoją dokoła, tacy smutni, w czarnych strojach i koszulkach z twarzą Rachel, jakby śmierć uczyniła ją bardziej interesującą – romantyczny marzycielski obraz dziewczyny, na zawsze zastygłej w swej urodzie i młodości. Ale Rachel nie była piękna. A teraz wszyscy widzą ten obraz, zabiła się, więc na pewno była głęboka mroczna i skomplikowana – prawdziwa tragedia – teraz jej uczucia jakby nabrały wagi, teraz wszyscy tak myślą, a ja mam ochotę podrapać sobie twarz do krwi. I czuję się tandetna. Tandetna, jakby wszystkie moje uczucia, nerwy, niepokoje były wytworem małej dziewczynki, głupiej smutnej dziewczynki.

Świat znowu się przesuwają. I wszyscy wciąż pamięć Rachel, sączą swoje drinki i, powiedzmy to sobie szczerze, bardzo by ją to cieszyło. O, Rachel, ta przebojowa dziewczyna! Zawsze w centrum zainteresowania, za życia i po śmierci. Nikt nie dostrzega ironii. Nikt nie widzi, że Rachel nie żyje, ponieważ za życia nikomu nie zależało na tym, by poznać prawdziwą Rachel, osobę kryjącą się za szaloną imprezowiczką. Mam ochotę krzyczeć, krzyczeć, że nie zabiła się dlatego, że się nudziła. Nie znali jej tak, jak ja. Nigdy nie widzieli, jak płacze w łazience, bo matka jej nie kocha. Nigdy nie zbierali jej z plaży o trzeciej nad ranem po tym, jak jakiś konus z fryzurą rekruta potraktował ją jak śmieć. Nigdy nie siedzieli z nią w restauracji, słuchając, jak błaga o pomoc.

Cofam się w kierunku wyjścia, przyciskam ręce do boków, dłonie z idealnie pomalowanymi paznokciami.

– Zejdz ze mnie – mówię. – Ktoś mianował cię mistrzem ceremonii? – Moje ręce same wypadają w powietrze. Diane się cofa. Prycham śmiechem. I nadal go widzę, jest spokojny, wyluzowany, obraca butelkę budweisera na barze. Nie próbuję nawiązać kontaktu wzrokowego. Najchętniej bym się stąd wreszcie wyniosła.

Ruszam do wyjścia, ale jeszcze raz się odwracam i patrzę w stronę baru. Przesuwam wzrokiem po tłumie, po raz pierwszy tego wieczoru dostrzegam Eliego i Ashley. Stoją oparci o ścianę w głębi baru, ona szepcze mu coś do ucha, on potrząsa głową, wbija wzrok w podłogę. Marc stoi obok budki didżeja, też udaje, że mnie nie widzi. Odzyskuję równowagę, odpowiednio rozkładam ciężar ciała na trzynastocentymetrowych obcasach. Uświadamiam sobie, że wciąż kapie ze mnie deszcz, nie wiem, jak oni to zrobili, że nie zmokli. Chyba jednak zabrali parasole.

– Na co się gapicie? – pytam w końcu, ostro i głośno, ale nikt nie odpowiada. Panuje cisza, nie licząc stłumionych szeptów w głębi pomieszczenia. – No? – Mój głos

odbija się echem. Nadal nikt nic nie mówi. Czuję, że Diane skrada się za moimi plecami.

– Ash? – mówię. – Co się stało? Myślałam, że jesteśmy przyjaciółkami? – Ashley uśmiecha się nerwowo, Eli obejmuje ją i sięga do kieszeni po telefon.

– Chyba nie zamierzasz dzwonić do Karen? – Eli ignoruje mnie i idzie do łazienki, Ashley rusza za nim.

– A ty, Melanie? – Melanie chwyta moje spojrzenie, tylko na chwilę, potem wbija wzrok w drink. Coś ciemnoróżowego, z dużą ilością lodu. Robi wrażenie większej niż poprzednio w restauracji, chociaż ubrała się od stóp do głów na czarno. Nałożyła też za dużo szminki, wygląda jak desperatka.

– Zamierzacie tak stać? Jak banda beznadziejnych frajerów?

Robię krok w tył, ocieram się o stół przy drzwiach, okryty białym obrusem. Widnieją na nim plamy, chyba po sosie do skrzydełek. Ten, kto wybierał obrus, pewnie sądził, że nikt nie zauważy. Na stole stoi zdjęcie Rachel z uroczystości zakończenia szkoły średniej. Jest smutne i pretensjonalne, ale jednocześnie dziwnie odpowiednie. Obok twarzy Rachel w idealnym rzędzie stoją kieliszki z imieniem Rachel. Podchodzę bliżej, ściskam obrus między palcami. Wszyscy patrzą. Słyszę Diane za plecami.

– Czego? – pytam, obracając się na pięcie.

– Wyjdz. Nie rób scen – mówi. – Wiem, że jesteś przybita, Aubrey.

– Nie wypowiadaj mojego imienia w ten sposób – mówię. – To protekcyjne. – Podnoszę głos, wcale nie chcę, ale ona znów kładzie rękę na moim nadgarstku, odskakuję do tyłu, jednocześnie odpycham ją od siebie i czuję, że spadam, pociągając za sobą ten biały poplamiony sosem obrus. Kieliszki roztrzaskują się na podłodze.

Słyszę wiele dźwięków naraz, ale przede wszystkim brzęczenie w głowie, słyszę obłąkańcze wrzaski Diane, która zaczyna zbierać skorupy. Ktoś prosi o miotłę, zjawia się Adam, wyciąga rękę i stawia mnie na nogi, nawet nie mam czasu zaprotestować. Jest większy i trochę jakby bardziej zaniedbany, nie czuję nic na jego widok, co trochę mnie zaskakuje. Czuję się pusta i otępiała, chciałabym walnąć go w ramię i powiedzieć: „Oboje spieprzyliśmy sprawę, co?”. Ale nie mam siły.

Słyszę, jak pociąg przejeżdża nad naszymi głowami.

Nie mogę oderwać wzroku od Erica Robbinsa, jego koszuli i miętowego krawata.

Chwiejnym krokiem przecinam ulicę i wchodzę na parking koło stacji. Wciąż jestem mokra, a teraz deszcz pada jeszcze mocniej, czarna sukienka całkiem przemokła, klei mi się do ciała. Nic nie szkodzi. Całkiem przyjemne uczucie.

Patrzę na ceglany budynek. Myślę, jakby to było, skoczyć. Całkiem niezły pomysł. Może jakiś znudzony frajer urządziłby after party na moją cześć – moja skrzywiona w uśmiechu twarz rozciągnięta na kłacie jakiegoś faceta, moje imię wygrawerowane na

kieliszkach z matowego szkła.

Widzę swój samochód zaparkowany tuż przed stacją. Ruszam w jego stronę. Deszcz obmywa moją skórę i wypala oczy, możliwe, że pod całą tą wodą spadającą z nieba po mojej twarzy płyną łzy, ale nie jestem pewna; przysięgałam, że nie będę płakać, więc naprawdę nie wiem. Wsadzam kluczyki do dziurki, kręcę nimi, aż zamek zaskakuje, padam na fotel kierowcy. Silnik prycha, samochód trzęsie się i dudni. Moje ręce drżą na kierownicy, nie wiem, gdzie zaczyna się drżenie mojego ciała, a gdzie drżenie samochodu.

Pierdol się, Rachel, mówię. Pierdol się, Rachel. Pierdol się, Rachel, powtarzam to, powtarzam tyle razy, aż moja twarz się kurczy, aż deszcz miesza się ze łzami. Oto siedzę w swoim saabie i sobie płaczę, i śmieję się, śmieję się, ponieważ ta myśl jakoś dziwnie mnie bawi. Pierdol się, Rachel.

Przyciągam kolana do piersi, pochylam się nad zbyt dużą kierownicą. „Fast Car” przebija się przez szum głośników, znowu. Sięgam po papierosa, ale nie palę. Na myśl, że miałabym włożyć tę rzecz do ust, czuję mdłości w żołądku, a w ustach piasek, więc kładę papierosa na popielniczce i patrzę na unoszący się dym.

Rozpuszczam xanax na języku, sięgam po pustą do połowy butelkę Jacka Danielsa, leżącą na siedzeniu pasażera. Myślę o Adamie, myślę o moim życiu przed Erikiem i po nim, o tym, jak wszystko pomiędzy przestało mieć znaczenie, a wszystko po jest jak miniaturowe ostrza, wyszarpujące mi wnętrzności. A teraz siedzę na parkingu z butelką Jacka i pustką w piersi. Przykładam butelkę do ust, biorę spory łyk, whiskey pali w gardło, wypala dziurę w piersi, jestem wydrażona jak martwy jelen.

Przywołuję obraz Erica w miętowym krawacie. Właściwie nie zareagował, kiedy weszłam ani kiedy wyszłam, jestem pewna, że nawet nie wie, jak mam na imię. Znowu łykam whiskey i sięgam do torby po kolejny xanax, i nie mogę przestać myśleć o letnim obozie, miałam sześć, może siedem lat, zbudowałam domek z patyków po lodach i użyłam za dużo kleju.

Samochód dudni. Kończy się paliwo.

Nadal go czuję, szorstkie palce dźgają moje ciało, ręka na ustach, uderzam się po udach, chociaż wiem, że to bóle fantomowe, znowu łykam whiskey, obracam ją w ustach, a on mnie pożera, kawałek po kawałku. Jeszcze jeden łyk i jeszcze, aż whiskey zaczyna płynąć w moich żyłach jak deszcz, robię się odrętwiała, cudownie odrętwiała, wstawiona i ciepła, ściągłam przemoczoną sukienkę przez głowę i rzucam na tylne siedzenie, bo chociaż była w praniu i na deszczu, i przez pięć lat wisiła w szafie, to nawet teraz nadal czuję tamten zapach: stare zimne łóżko, jego ręce.

Deszcz wiruje na tle nieba, oplata mnie ciemność. Biorę kolejny łyk, lekko przyciskam butelkę do warg. Whiskey spływa po brodzie na gołą pierś. Odchylam się na oparcie, żołądek wywraca się na drugą stronę, Jack wraca do gardła, biorę ostatni

łyk, jak przez mgłę słyszę głos dochodzący ze stacji.  
Ostatni pociąg do Babylon wjeżdża na stację.



## *Część druga*

# Rozdział 26

*Piątek, 10 października 2014*

– Twoja mama powtórzyła mi, co jej dzisiaj opowiedziałaś, Aubrey. Bardzo się martwi.

Siadam na łóżku, szpitalnym łóżku, pocieram twarz miękkimi opuszkami. Czuję się, jakby ktoś wydrapał mi zatoki i nalał chloru do nosa. Wszystko jest ciepłe i wilgotne, w skroniach huczy, w środku głowy ziele sterylna pustka. Okno jest otwarte, słyszę uderzenia deszczu o metalową siatkę. Czuję zapach: deszcz, środki odkażające i lateks.

– Chcesz o tym porozmawiać? – pyta Laura. Wcześniej powiedziała, że na dzisiaj kończymy, i że wróci rano, porozmawiać o tym, co stało się po pogrzebie Rachel. Ale potem usiadła na brzegu łóżka, jakby nagle uznała, że jednak nie dopełniła obowiązków, poczułam ucisk w żołądku, jakbym za chwilę miała wymiotować.

– Mówiłam dzisiaj wiele różnych rzeczy – odpowiadam. Chwytam swoje odbicie w szybie okiennej. Mogę myśleć wyłącznie o Lindzie Blair, moja głowa wiruje dokoła i rzyga zupą we włosy Laury.

– Chodzi mi o tę historię z czasów liceum. O chłopaku, który nie rozumiał, że „nie” znaczy „nie”. Mówiłaś o tym dzisiaj, Aubrey? – Patrzy na mnie, jej wargi są zawsze wydęte, jakby się dąsała. Zapomniałam, że powiedziałam o tym Karen. To wszystko wydaje się snem, niewyraźnym przykrym snem, ale naprawdę się wydarzyło, niedawno, tego ranka. Patrzę na świeżo polakierowane paznokcie.

Wicked. Ręce zaczynają mi się trząść, początkowo nieznacznie, mam ochotę sięgnąć po papierosa, i robię to, ale rezygnuję, stwierdzam, że byłoby wysoce niestosowne palić w towarzystwie terapeutki, w szpitalu. A w dodatku nigdzie nie widzę swojej torby.

– Gdzie moje rzeczy? – pytam.

– Nie martw się, Aubrey, są bezpieczne. A teraz opowiedz mi o swojej rozmowie z mamą.

– Przestań powtarzać moje imię – mówię.

– Przepraszam – mówi. – A można wiedzieć dlaczego?

– Ponieważ brzmi to protekcjonalnie, Lauro.

– Nie zamierzałam traktować cię protekcjonalnie, Aubrey. – Rzucam jej znaczące spojrzenie, znowu przeprosza. – Opowiedz mi o chłopaku, który nie rozumiał, że

„nie” znaczy „nie”.

– Nie chcę teraz o tym rozmawiać.

Deszcz bije o metalową siatkę.

– A kiedy?

– Nie dzisiaj. – Zapisuje coś, pochylam się, żeby podejrzeć co, ale ona przyciska podkładkę do piersi, wyłącza długopis.

– A co z Adamem?

– To znaczy?

– Możemy o nim porozmawiać?

– Nie rozumiem, jaki on ma związek z tą całą sytuacją – mówię.

– To on cię znalazł, Aubrey.

# Rozdział 27

*Niedziela, 11 października 2014*

Nie wychodzę z pokoju od wczorajszego popołudnia, czyli od kiedy Karen przywiozła mnie do domu. Zatrzymali mnie na noc, podsłuchałam, jak Karen z jakimś lekarzem szeptali na korytarzu, że powinni umieścić mnie w zakładzie. Jakim zakładzie? Nie wiem. Pewnie Spath Oaks czy innej instytucji przeznaczonej dla osób znacznie bardziej zaburzonych psychicznie ode mnie. Siadam na łóżku, wyraźnie słyszę każde słowo z ich niby poufnej rozmowy. Zapomnieli: jestem obłąkana, ale nie głucha.

– Dłuższy pobyt w szpitalu nie będzie konieczny – stwierdza Karen. Wymienia jakieś argumenty, mamrocze, że jest psychologiem i potrafi zapewnić „odpowiednią atmosferę sprzyjającą powrotowi do zdrowia”.

W samochodzie przedstawia warunki zwolnienia. Mam trzy razy w tygodniu widywać się z Laurą w jej gabinecie, do czasu, aż uzna, że nie jest to już konieczne. Tymczasowo zabrano mi prawo jazdy. Nie wiem, kto o tym zdecydował, policja, lekarze czy Karen, ale nie dyskutuję, wiem, że nie powinnam jeździć teraz samochodem.

Siadam na brzegu łóżka, wbijam wzrok w drewnianą podłogę. W pokoju jest ciemno, czuję gorący podmuch z otworu wentylacyjnego. Przez cały dzień to zapadałam w sen, to się budziłam, właściwie nie patrzyłam na zegarek. Słyszę, jak Karen krząta się po kuchni, więc pewnie zbliża się pora obiadowa. Od powrotu jeszcze nie jadłam i na samą myśl o jedzeniu czuję w gardle ucisk i kwaśny smak, jakbym za chwilę miała rzygnąć na ścianę sokiem żołądkowym. Już mam wrócić pod kołdrę, kiedy rozlega się pukanie do drzwi.

– Czego? – pytam, ale głos mi się złamuje, jest słaby i ochryply, dopiero teraz uświadamiam sobie, że bardzo chce mi się pić. Drzwi otwierają się ze skrzypnięciem. Spodziewam się zobaczyć Karen z sokiem jabłkowym czy czymś podobnym, ale to nie Karen. To Danny.

– Cześć – mówi, kryjąc się za drzwiami. Widzę tylko jego twarz. – Mogę wejść?

– Chyba tak – odpowiadam. Czuję, jak kwas żołądkowy znów podchodzi mi do gardła. Nie mam siły na to wszystko. Na niego.

– Wiem, mówiłaś, że mam nie dzwonić, ale nie powiedziałaś, że mam nie przyjeżdżać. – Przypominam sobie – o tyle, o ile – naszą rozmowę w wieczór

pogrzebu. I że rozmawiał z Karen o wszystkim, co powiedziałam.

– Danny. Nie powinieneś przyjeżdżać. – Moje usta nadal są spuchnięte i popękane, nie brałam prysznic i nie włożyłam stanika. Wiem, że w przypadku Danny’ego to nie powinno mieć znaczenia, ale po raz pierwszy ma.

– Chcę, żebyś wróciła do domu. Nie musisz tutaj być. To nie jest ci do niczego potrzebne. – Staje w drzwiach, wsuwa rękę w kieszenie.

– Nie masz pojęcia, co mi jest potrzebne.

– Owszem, mam. – Odwraca się i zamyka drzwi. Zostaliśmy sami, uwiezieni w moim pokoju – moim byłym pokoju. – Na pewno nie to. To miejsce doprowadza cię do obłędu. Spójrz tylko na siebie. – Robi kilka kroków w moim kierunku. Wstaje i chowam się za łóżkiem, robię z niego bufor.

– Proszę, jedź do domu – rzucam.

– Dlaczego?

– Nie pytaj. Po prostu jedź. – Podchodzi bliżej, kładzie ręce na moich ramionach. Cała sztywnieję, odskakuję do tyłu. – Nie – mówię, stanowczo zbyt głośno, Danny jeszcze raz wyciąga rękę, ja znowu się cofam i wpadam na komodę. Nie potrzebuję opieki. A jeśli nawet, to niekoniecznie ze strony Danny’ego.

– Nie zostawię cię – mówi.

– Nic o mnie nie wiesz, Dan. – Głos mi się załamuje, mięśnie twarzy zaczynają się kurczyć, zaraz stracę kontrolę.

– Wiem wystarczająco dużo. Ale jeśli zamierzasz porzucić wszystko, co masz, z powodu jakiegoś palanta, który skrzywdził cię pięć lat temu, to masz rację, nie znam cię. – Czuję, że zaczynam dygotać, znowu podnoszę rękę, może chcę go ostrzec, ale także dlatego, że nie wiem, co robić. Tylko raz wspomniałam o Ericu, nie wymieniając przy tym jego imienia, mgliście, i uznałam sprawę za zamkniętą. A teraz porusza ten temat, rzuca mi go w twarz, używa go, by wywołać we mnie jakieś emocje. Bardzo nie fair. Ale nie daje szansy na odpowiedź, chwyta mnie za nadgarstki i przyciąga do siebie.

– Aubrey – mówi – posłuchaj. – Nie wiem, co robić, więc krzyczę, głośno i przenikliwie, wbijam pięść w jego pierś.

– Zostaw mnie w spokoju. – Mój głos widocznie słychać w całym domu, bo przybiega Karen, wpada do środka jak brygada antyterrorystyczna. – Wracaj do domu, Danny – dodaję. – Po prostu idź sobie. Proszę. Błagam.

Puszcza mnie, wygląda na kompletnie zaskoczonego, potyka się o łóżko, w ostatniej chwili łapie równowagę. Karen nadal stoi w drzwiach.

– Może powinieneś już iść, Danny – mówi. – Przepraszam.

– To twoja sprawa? – pytam Karen. Zapada stęchła cisza. Oboje patrzą na mnie.

– To twoja sprawa? Twój plan? – powtarzam, ponieważ nie odpowiada.

– Przykro mi, Dan – mówi. – Odwiozę cię na stację.

Jeszcze długo po ich wyjściu gotuję się z gniewu, zasysam powietrze przez zaciśnięte zęby. Nie miała prawa go tu zapraszać. Nie miał prawa oglądać mnie w tym stanie. Ale część mnie wie, że ma rację: to miejsce doprowadza mnie do obłądu.

# Rozdział 28

*Poniedziałek, 13 października 2014*

– Może opowiesz mi o sobie? – mówi Laura. – Wydaje mi się, że w szpitalu nie miałam okazji poznać prawdziwej ciebie.

Siedzimy u niej w gabinecie, niewielkim pokoju o ścianach pomalowanych na niebiesko, z jednym oknem, półtora kilometra od mojego domu. Wiem, że półtora, bo biegłam. Jestem w stroju do joggingu, włosy związałam w koński ogon. Ocieram koszulką pot, gromadzący się na linii włosów. Dzisiaj po raz pierwszy od kilku dni wyszłam z domu. Dokładnie od dwóch dni. Chcę wrócić do łóżka, zagrzebać się w pościeli, oszołomić xanaxem.

– Nie bardzo wiem, co chcesz usłyszeć – zaczynam.

– Może opowiesz, czym się w życiu zajmujesz?

– Jestem tak jakby dziennikarką.

– Tak jakby?

– Nie uważam się za prawdziwą dziennikarkę. Raczej autorkę tekstów.

– I mieszkasz w mieście?

– Tak. Z chłopakiem. – Urywam. To słowo brzmi źle, nieodpowiednio. Uświadamiam sobie, że nie rozmawiałam z Dannym od tamtego załamania, dwa dni temu.

Wiem, że pogawędka to tylko przynęta, instynkt podpowiada mi, że powinnam dawać wymijające odpowiedzi, zdradzać tylko te informacje, o które bezpośrednio pyta, ale kiedy tak zastanawiam się, co powiedzieć, dociera do mnie, że chyba jestem bardziej zdezorientowana, niż mi się wydawało.

– Nie wiem dokładnie, na jakim jesteśmy etapie. Zostawiłam sprawę otwartą – mówię. Te słowa brzmią trochę jak podsumowanie. – A teraz jestem tutaj. – Laura patrzy na mnie, jakby czekała na dalszy ciąg, ale nie wiem, co jeszcze miałabym powiedzieć. – Ostatnio byłam w nie najlepszym nastroju.

Bazgrze coś na tej swojej podkładce. Niebo za oknem szarzeje, robi mi się trochę nieswojo na myśl, że będę musiała biec te półtora kilometra w deszczu.

– Tak jakby dziennikarka? I nie wiesz, na jakim jesteście etapie? – Patrzy takim wzrokiem, jakby czekała, aż dokończę zdanie. Ale ja tego nie robię. – Wygląda na to, że w tym momencie nie za bardzo wiesz, kim jesteś.

No, nie traci czasu. Chcę sobie pójść. Jestem tu z obowiązku. Ale nie rozumiem,

po co. Nie wiem, kto mi ten obowiązek narzucił. Nie zrobiłam nic niezgodnego z prawem – technicznie rzecz biorąc. Ale nie kwestionuję słów Karen, bo zaraz zaczęłyby zadawać pytania. A jak już wspominałam, wolę gadać z terapeutą.

– Sama nie wiem – mówię. – Dziennikarstwo nie interesuje mnie jakoś szczególnie. A jest trochę za późno, żeby się zastanawiać, co chciałabym robić w życiu. Naukę skończyłam.

– Nigdy nie jest za późno, by odnaleźć prawdziwą pasję.

– Jestem niezdolna do pasji.

– Każdy jest zdolny, Aubrey. – Krzyżuje nogi i pochyła się. – A kiedy nie pracujesz, co lubisz robić?

To nie jest normalna rozmowa. Raczej coś w rodzaju niezręcznej pierwszej randki. Jednostronnej. Patrzą na zegarek. Jeszcze czterdzieści minut.

– Nie wiem. – Takie proste podstawowe pytanie. Co lubisz robić? Jakie są twoje zainteresowania? A ja nie mam pojęcia, co odpowiedzieć. – Lubię pić – rzucam – jak już się zdążyłaś zorientować. – To miał być żart, ale Laura przybiera czujną i przejętą postawę, jakby czekała na zbliżający się przełom.

– Lubisz pić? – Jej głos opada, twarz przybiera wyraz wyćwiczonej delikatności. Znowu coś zapisuje.

– To był żart – mówię. Powoli upijam kawy. – Posłuchaj. Wiem, że masz mnie za kompletną wariatkę, ale zrozum, objęto mnie obserwacją w związku z ryzykiem popełnienia samobójstwa – mówię. – Co jest dość zabawne, bo wcale nie próbowałam się zabić. Po prostu się upiłam.

– W dniu pogrzebu najlepszej przyjaciółki wypijałaś butelkę whiskey, Aubrey. Poszłaś do baru, upiłaś się, zdjęłaś ubranie i weszłaś na peron, praktycznie nieprzytomna. To nie było zwykle upicie się.

– Mojej byłej najlepszej przyjaciółki – poprawiam ją.

– Co robiłaś na peronie, Aubrey?

– No przecież nie zamierzałam skoczyć – rzucam drwiąco.

– A więc coś pamiętasz?

– Nie. Po prostu wiem, że bym tego nie zrobiła. To głupie.

– Głupie?

– Nie mam skłonności samobójczych. Nie próbowałam się zabić.

– To co robiłaś na peronie?

– Nie wiem. Może chciałam pojechać do Babylon.

– Dlaczego do Babylon?

– Nie wiem. Ostatnia stacja. Koniec życia.

– Opowiedz mi o tamtym dniu. – Poważnieje. Krzyżuję ramiona na piersi. A więc celem tej pogawędki jest rozmowa o tamtym dniu, o tamtym Incydencie, tylko że ja nie mam ochoty mówić. Czuję tylko strach.



– Niewiele pamiętam. Chyba musiałam to wyprzeć z pamięci. – Uśmiecham się i wzruszam ramionami, na znak, że żartuję. Nie wierzę w wyparte wspomnienia. Wierzę w siłę alkoholu.

– Może wyparłaś.

– Nie. Nie wyparłam. Pamiętam początek dnia. Poszłam na manikiur. Pokłóciłam się z matką przed pogrzebem. Nie zamierzałam iść, ale w którymś momencie wróciłam do domu i przebrałam się w czarną sukienkę. Naprawdę nie wiem, co działo się potem. Ale nie dlatego, że to zablokowałam, tylko dlatego, że się upiłam.

– Opowiedz mi o Adamie – prosi. Czuję, że moje gardło się zaciska.

– Przez cały dzień nic nie jadłam.

– Opowiedz o Adamie – powtarza.

– Był moim chłopakiem w liceum – mówię. Jest za ciepło. Za oknem zaczyna padać, grube krople uderzają o szybę. Próbuję przełknąć ślinę. – Zerwaliśmy pięć lat temu.

– Kiedy wyjechałaś z Seaport.

– Tak.

– W tym czasie przestałaś też przyjaźnić się z Rachel.

– Zgadza się – mówię, odchylając się na oparcie skórzanej kozetki. Musiała sporo dowiedzieć się od Karen, bo wie o mnie rzeczy, których ja jej nie zdradzałam.

– Co się stało pięć lat temu, Aubrey?

Mimo woli zamykam oczy, w ostatnim momencie przywołuję się do porządku – zanim odczyta wyraz mojej twarzy.

– Posłuchaj – mówię – nie chcę rozmawiać o Adamie. Nie chcę rozmawiać o Rachel. Wiem, do czego zmierzasz. Próbujesz obudzić we mnie jakieś emocje, ale to na nic. Jestem zimna i niezdolna do uczuć. – Biorę głęboki wdech, łykam kawy, próbuję zapanować nad drżeniem rąk.

Laura patrzy na mnie z lekkim uśmiechem. Przez chwilę nic nie mówi. Wiercę się, bawię kubkiem od kawy.

– Bardzo wyraźnie widzę emocje – mówi.

– Niby jakie? – Deszcz ustaje, popołudniowe październikowe słońce wsącza się do środka przez rolety.

– Gniew – mówi.

Ta uwaga sprawia, że mój gniew narasta, więc postanawiam odpuścić, tylko trochę. Niech nie myśli, że mnie przechytrzyła. Jestem odporna na te psychologiczne bzdety. W końcu w moich żyłach płynie irlandzka krew.

– Posłuchaj. Mam stany lękowe. Zdaję sobie z tego sprawę. To nic nowego. I znam ich przyczynę, to żadna tajemnica, żadne wyparte wspomnienia. To nie ma nic wspólnego ze śmiercią Rachel, za to wszystko z Rachel za życia.

– O – znowu robi się czujna, unosi długopis.

– Ale – dodaję – nie jestem jeszcze gotowa, by o tym rozmawiać.

– Okej. Dobrze. Ale mogłabyś coś dla mnie zrobić? Właściwie bardziej dla siebie samej. – Wzruszam ramionami, a ona odchyła się na oparcie krzesła. – Mówiłaś, że piszesz. Może by pomogło, gdybyś zaczęła opisywać to, co się z tobą dzieje? Po prostu notować swoje myśli i uczucia. Coś jak dziennik. Nie musisz mi tego pokazywać. Zrób to dla siebie.

– Chyba mogę spróbować. – Uśmiecha się, jak zwykle wygląda na bardzo z siebie zadowolona.

# Rozdział 29

## *Kwiecień 2009*

Nigdy nie znosiłam tego, w jaki sposób przedstawia się okres dorastania w książkach, serialach i tych koszmarnych filmach, nadawanych na kanale Lifetime – zwłaszcza, kiedy dochodzi do seksu, szczególnie tego niechcianego. To samo gównu, wciąż i wciąż od nowa: grzeczna dziewczynka wymyka się na imprezę, po raz pierwszy w swoim żalonym żyćku, i BAM! Nagle robi się ponura i ubiera na czarno, jej rodzice nic z tego nie rozumieją, przyjaciele znikają, nauczyciele widzą, że jej wyniki znacznie się pogorszyły. I wreszcie dziewczynka doznaje objawienia, odnajduje w sobie odwagę, by powiedzieć prawdę, by głośno powiedzieć to słowo, wyznać, że jest ofiarą. I wszystko wraca do normy, rodzice czują ulgę, przyjaciółom robi się głupio, a nauczyciele zwalniają ją z egzaminów.

W prawdziwym życiu tak się nie zdarza. Szczególnie jeśli chodzi o przyjaciół.

Stałam przed domem Rachel, przyciskając pięść do drzwi, ale nie zapukałam. Słyszałam, że tam jest, radio grało jakąś niewartą zapamiętania piosenkę.

Jeff wpuścił mnie do środka. Właśnie żarł jabłko, mlaskał i siorbał, aż mi się zrobiło niedobrze.

– Rach jest na gorze – powiedział i znów mlasnął. Stałam w drzwiach, za długo, przekonana, że wystarczyło jedno spojrzenie, by się domyślił, że straciłam cnotę po pijaku, podczas gdy jego pasierbica rżnęła się piętro niżej. Splotłam ramiona na piersi i pomknęłam na górę, byle dalej od jego szklanego wzroku.

Zbliżyłam dłoń do drzwi, chciałam zapukać, ale czekałam, zastygła, pusta, aż drzwi się otworzyły i stanęła w nich Rachel w neonowozielonych spodenkach i koszulce bokserskiej.

– O – powiedziała, jakby na mnie czekała. – Wchodzisz czy jak? – Weszłam. Jej pokój niewiele się zmienił od czasów naszego dzieciństwa: ściany w odcieniu pastelowego błękitu, leżanka przykryta białą narzutą w kwiaty, kolekcja lalek American Girl Doll i pluszowych misiów. Podeszła do toaletki, pochyliła się w stronę lustra, wzięła szczotkę i paletkę fioletowych cieni.

Od Wielkanocy minęły zaledwie dwa dni – od chwili, kiedy widziałam ją z Adamem w samochodzie. Myślałam, że będzie zdenerwowana, stremowana, ona jednak tylko patrzyła na siebie w lustrze, całkowicie spokojna, i malowała powieki na fioletowo.

Przyglądałam się jej i zwlekałam. Schowałam drżące dłonie za plecami, zagryzłam wargi, aż poczułam smak krwi. Słowa utknęły mi w gardle, jakby ktoś miał przyłapać mnie na kłamstwie. Tylko że to nie było kłamstwo. Tym razem to z pewnością nie było kłamstwo.

– Rachel – zaczęłam.

– Mm? – nie spojrzała na mnie, zaczęła rysować na powiekach antracytową kreskę.

– Mogę ci coś powiedzieć?

– Mm-mm – powtórzyła. Zimno, jakby czekała, aż wreszcie to powiem. Oparłam się o ramę łóżka.

– Obiecuj, że się nie wkurzysz. Bo ja jestem wkurzona. I nie chcę, żebyś się na mnie wkurzyła.

Położyła eyeliner na toaletce i odwróciła się w moją stronę. Twarz miała nieruchomą, wargi mocno zaciśnięte.

– Wiem, co chcesz powiedzieć, Aubrey. – Podeszła bliżej, uniosła rękę i odgarnęła włosy z mojej twarzy. Drgnęła. Uśmiechnęła się. – Ale chcę to usłyszeć.

– Co usłyszeć? – zapytałam. Jakaś część mnie pomyślała, że może powiedzieć to za mnie, że dokończy zdanie, obejmie mnie i powie, że przeprasza, przeprasza, że mnie olała, że musiałam przez to przechodzić, tak bardzo przeprasza i już nigdy mnie nie zostawi. Że jesteśmy Rachel i Aubrey, najlepsze przyjaciółki, na zawsze połączone sercogramem wyrytym na lewym biodrze.

Ale jak już wspominałam, w prawdziwym życiu takie rzeczy się nie zdarzają.

– Wiesz, Aubrey – nadal się uśmiechała, ale to nie był uśmiech pod tytułem „przepraszam, rozumiem, jestem”, uśmiech, na który tak liczyłam. – Wiem, że pieprzyłaś się z Erikiem. Adam też wie.

– Rachel. – Poczułam, że twarz mi drętwieje. – To nie było tak. Przysięgam. Zmusił mnie. Byłam pijana, nie wiedziałam, co się dzieje.

– Jasne, jasne. Nie wiedziałaś, co się dzieje. Byłaś pijana. Byłaś znudzona. Zmusił cię – przedrzeźniała. – Wiesz co, gównu mnie to obchodzi. Chyba obie wiemy, co się wydarzyło.

– Przytrzymał mnie siłą – powiedziałam. Twarz mnie paliła, jak po powrocie do domu, kiedy było się za długo na mrozie. – Mówiłam, żeby przestał.

– Akurat nie miałaś faceta, więc musiałaś mi go zabrać. Adam na to nie zasłużył. I ja też nie.

Poczułam na twarzy jej gorący oddech, pachniał cukierkami cynamonowymi. Wciągnęłam powietrze w płuca, mój oddech przyspieszył, puls dudnił do rytmu tętniącego bólu w czaszce. Widziałam tylko zdjęcia w ramkach ustawione na biurku Rachel, głównie przedstawiające ją samą: Rachel na koniu, Rachel na balu, Rachel na plaży, na Bzyku, na mojej werandzie. Z jej ust popłynęły ostre słowa.

– Nie udawaj, że nie wiedziałas, co się działo.

Wreszcie podniosłam głowę. Łzy płynęły po jej bladej twarzy, brązowe oczy były przekrwione, wyglądało to niemal sztucznie, jakby zapuściła sobie krople, kiedy nie patrzyłam. – Zdesperowana szmata.

Spojrzałam na nią, potrząsnęłam głową, uśmiechnęłam się nieznacznie, odwróciłam i jednym ruchem zrzuciłam wszystkie zdjęcia.

Szkło roztrzaskało się na drewnianej podłodze. Rachel gapiała się z rozdziawionymi ustami. Nim zdążyła zareagować, podniosłam rękę i walnęłam ją na odlew po twarzy – zabrzmiało to tak, jakby pękła guma.

Z ust Rachel dobył się przenikliwy dźwięk, ostry i zwierzęcy. Zrobiła krok w tył, jakby zamierzała rzucić się na mnie niczym rozwścieczony orangutan, wyrwać mi włosy, zdrzeć skórę z twarzy ostrymi pazurami. Ale nie czekałam na to. Odwróciłam się – zimna, spokojna i obojętna – i wyszłam z pokoju. Rozpłakałam się dopiero w samochodzie.

# Rozdział 30

*Środa, 15 października 2014*

Czy nie jest tak, że o naszej wartości decyduje zdanie innych osób? Najpierw nazywają nas mądrym niemowlęciem, potem inteligentnym przedszkolakiem, wybitnie zdolnym uczniem – bo tak stwierdził jakiś nauczyciel, na dowód wręczając nam świadectwo. Potrafisz dobrze pisać – ale tylko dlatego, że kiedyś powiedział tak jeden z wykładowców, a twoja mama była tego samego zdania. Jesteś dobrą przyjaciółką, bo ktoś tak ci mówi. A jeśli nikt tego nie mówi, prawdopodobnie nie jesteś. Prawdopodobnie jesteś totalnie gównianą przyjaciółką.

Laura uważa, że poszukuję uzasadnienia.

Uważam, że coś takiego nie istnieje. Istnieje to, co wiemy. To, jak widzimy samych siebie, zawsze zależy od reakcji otaczających nas ludzi. Uczy się nas, by to zaakceptować. To nie znaczy, że jestem niepewna czy szalona. To znaczy, że jestem ludzką istotą i – przede wszystkim – że posiadam samoświadomość.

Kiedy więc prosi, bym opisała samą siebie, zaczynam od cech, które przypisują mi inni.

– Mówią, że jestem zimna.

– Kto mówi?

– Moja matka.

– A co ona może wiedzieć?

– Cóż, w końcu to dzięki niej tu jestem, prawda?

– Nie, Aubrey. Jesteś tu wyłącznie dzięki sobie.

Prycham. Że też ona musi brać wszystko tak poważnie.

Rachel określała mnie różnymi słowami, w zależności od chwili i własnego poczucia szczęścia.

Najlepszą przyjaciółką, zdesperowaną szmatą, dziwką, zdrajczynią, jedyną przyjaciółką. Nie nadażałam. Bóg jeden wie, co o mnie myślała w chwili śmierci. Może ta wiadomość na poczcie głosowej dostarczyłaby odpowiedzi. Sięgam po telefon, tak tylko, by się upewnić, że nadal tam jest. Nie zamierzam jej odsłuchać. Nigdy.

– Jak się teraz czujesz? Jak twój lęk? – pyta Laura, uśmiechając się ciepło. Wzruszam ramionami.

– Chyba w porządku. Bogu niech będą dzięki za xanax. – Uśmiecham się krzywo,

trochę niepewnie. Laura nadal nie łapie mojego niekonwencjonalnego poczucia humoru. Notuje. Pewnie chciałaby, żebym nie brała xanaxu – a przecież w tej kwestii nie ma nic do gadania. Nawet nie jest prawdziwym lekarzem.

– Co z atakami paniki? Miałaś jakiś od naszej ostatniej sesji? Od tamtego incydentu?

– Nie – odpowiadam. – Żadnych ataków paniki. – Nie jestem pewna, czy nazwałabym w ten sposób to, co wydarzyło się tamtej nocy. Laura twierdzi, że to było oczyszczające doświadczenie. Ja mówię na to załamanie nerwowe.

– Świetnie – mówi. Odkręcam butelkę z wodą, biorę porządną łyk, czekam, aż ona zacznie namawiać mnie na jakieś ckleiwe wyznania. Woda jest buforem. Daje czas – pozwala ostrożnie dobrać słowa, kiedy Laura próbuje mnie przyłapać.

– Porozmawiajmy jeszcze o Rachel – mówi wreszcie Laura.

– Co chcesz wiedzieć? – Jestem świadoma tego, jak oddycham. Powoli, spokojnie.

– Cóż. Nosisz w sobie wiele żalu. Przez dziesięć lat była twoją najlepszą przyjaciółką.

Wiedziałam, że to nastąpi, jestem przygotowana. Ćwiczyłam odpowiedź po drodze.

– Szczerze – mówię – to naprawdę nie wiem, czemu się z nią przyjaźniłam. Może byłam do niej podobna, płytka pod pewnymi względami. I dzięki niej czułam się lepiej. Przy niej chyba nie czułam się aż tak beznadziejna. – Znowu podnoszę butelkę do ust, przytrzymuję wodę w ustach na trzy sekundy i dopiero łykam.

Próbowałam wymyślić coś bardziej oryginalnego. Naprawdę. Ale im bardziej się starałam, tym mocniej uświadamiałam sobie, że w Rachel nie było nic pozytywnego. Po prostu nie miałam alternatywy. Nie licząc Adama.

– Wszyscy byliśmy do siebie dosyć podobni – dodaję. – Wszyscy mieliśmy te same ambicje. – Próbuję się nie uśmiechać, ale chyba rozgryzłam tę całą terapię.

– Czyli? – pyta, skrobiąc w notatkach, pewnie coś na temat mojego poczucia własnej wartości.

– Kasa i seks. – Chyba się uśmiechnęła, pochyła się i nie widzę jej twarzy.

– A Adam? On też chciał tylko kasy i seksu? – W jej ustach brzmi to jakoś komicznie.

– W pewnym stopniu. To był porządny chłopak. Miewał odbicia, lecz ogólnie był dobry. To Rachel go zniszczyła. Zniszczyła to, co było między nami.

– Jak to, zniszczyła?

Zagryzam wargi. Od razu pożałowałam tych słów.

– Nie to chciałam powiedzieć. – Próbuję się wycofać, ale w głowie mam pustkę.

– A co?

Znów łykam wody, wlepiam wzrok w ścianę. Próbuję przybrać refleksyjny wyraz twarzy, ale tak naprawdę tylko zyskuję na czasie, nic poza tym.

– Aubrey?

Wciągam powietrze. Nie daruje.

– Nasza znajomość bardzo źle się skończyła. Chyba zawsze winiłam za to Rachel.

– Ale powiedziałaś „zniszczyła”. W jakim sensie, Aubrey?

– Może w takim, że zniszczyła mnie w jego oczach.



# Rozdział 31

*Kwiecień 2009*

Skręciłam na podjazd przed domem i przez pięć minut ryczałam zimnymi twardymi łzami, potem otarłam nos w rękaw i wzięłam się w garść.

Weź się w garść. Weź się w garść.

Powtarzałam to na głos, raz po raz, aż ucisk w płucach ustąpił i znowu mogłam normalnie oddychać.

Weź się w garść.

Bałam się trzech rzeczy. Pierwsza: Rachel przyjdzie do naszego domu i urządzi scenę. Z tego bezpośrednio wynikała rzecz numer dwa: znowu usłyszę tamte słowa i będę musiała zmierzyć się z faktem, że być może jestem zdesperowaną szmata.

Zdesperowaną szmata. Zdesperowana szmata.

Z czego z kolei wynikał numer trzeci: Karen się dowie. Dowie się o Ericu. Dowie się o Adamie. Dowie się, że walnęłam najlepszą przyjaciółkę w twarz. Byłą najlepszą przyjaciółką. Bo byłam prawie pewna, że między nami koniec.

Ale kiedy weszłam do środka, okazało się, że Karen nie ma. Trening drużyny cheerleaderek, przypomniało mi się. Jak w każdy wtorek.

Poszłam do swojego pokoju, wpełzłam do łóżka i otworzyłam laptop.

Z ekranu patrzyła fotografia przedstawiająca Adama i mnie. Z imprezy pierwszopiątkowej w ostatniej klasie, na chwilę zanim wymknęliśmy się do domu i po raz pierwszy widzieliśmy się nago. Poczułam mrowienie w żołądku, otworzyłam przeglądarkę, żeby zasłonić nasze wyszczerzone gęby.

I wpisałam jego nazwisko. Eric Robbins. Pokazało się zdjęcie w stroju do lacrosse'a, trochę danych. Zęby zaśniły na ekranie w szerokim uśmiechu, a ja poczułam się tak, jakby oblaży mnie robale.

Patrzyłam, aż rozboleły mnie oczy. Laptop grzał w uda. Znow otworzyłam okno wyszukiwarki i wpisałam „gwałt”. Patrzyłam na wyniki, ale nic nie czułam. To były tylko słowa, puste słowa, kłębiące się na ekranie, pozbawione znaczenia. „Co to jest gwałt?” wpisałam. Głupie pytanie, wiedziałam przecież, co to jest. „Czy zostałam zgwałcona?” Wyniki były mniej liczne. Ale nie kliknęłam. Nawet jeśli sieć potrafiła dostarczyć odpowiedzi na te pytania, nie chciałam wiedzieć. Niewiedza to błogosławieństwo, czyż nie? Myślałam o tym, co powiedziała Rachel, jak ze mnie drwiła, używając moich własnych słów. Z ekranu

spływał na mnie blask, Internet wydał mi się nagle niesamowicie onieśmielający –  
wszystkowiedzący mag z kryształową kulą. Sama nie wiem, co chciałam znaleźć.

## Rozdział 32

*Piątek, 17 października 2014*

– Wydajesz się dzisiaj jakaś nieswoja – stwierdza Laura.

– No – zaczynam i od razu żałuję defensywnego tonu – mówiłam, że nie jestem gotowa, by rozmawiać o Adamie.

– To było w środę, Aubrey. Robisz postępy, pomyślałam, że może zajmiemy się dzisiaj waszą relacją. Ale możemy przerwać, jeśli nie czujesz się na siłach.

– Nie, w porządku – odpowiadam. – Adam i ja to skomplikowana historia.

Czekam, aż zada kolejne pytanie, ona jednak tylko kiwa głową i robi zachęcający gest. Ma na sobie żółty sweter, ten sam co w szpitalu. Blask słońca wpada przez okno za jej plecami.

– Max, brat Adama, był chłopakiem, z którym całowałam się po raz pierwszy. Kiedy ja szłam do pierwszej klasy liceum, on byłby w ostatniej. Ale się zabił. – Po raz pierwszy powiedziałam to na głos, przynajmniej w tym kontekście. – Niektórzy uważają, że to był wypadek, ale większość, że samobójstwo.

– Ło! – mówi Laura.

– Spotkałam Adama podczas czuwania. Kompletny przypadek. Szukałam Rachel, wpadłam na niego przed domem. Czułam się fatalnie, więc powiedziałam „cześć” i tak jakoś zaczęliśmy rozmawiać. – Biorę łyk wody, rozplatom nogi. – Każdego ranka chodziliśmy razem do szkoły. I tak to się zaczęło.

– To straszne – mówi – stracić brata w ten sposób. Chodził na terapię?

– Ha – odpowiadam drwiącym tonem – Adam proszący o pomoc? Powiedział mi kiedyś, że jest „terapioodporny”.

Laura się śmieje, niespodzianka.

– Podoba mi się ten termin. A ty? Z tobą rozmawiał?

Zastanawiam się przez chwilę, skanując w pamięci nasze wspólne lata.

– Może – mówię w końcu. Na twarzy Laury widnieje uśmiešek, taki podstępny, jakby spodziewała się, że zaraz nastąpi wielkie wyznanie. Od samego początku wygląda na mocno podekscytowaną. Oczy wyłażą jej z orbit, chyba nie może się doczekać, kiedy wreszcie się do mnie dobierze. Postanawiam zachować ostrożność.

– A więc Adam nigdy z nikim nie rozmawiał o śmierci brata? – pyta Laura. Chyba trochę się zafiksowała. Mokry sen terapeuty. Dwa samobójstwa, skomplikowany czteroletni związek. Ciekawe, co będzie, jak odkryje całą resztę.

– Nie. Ale nie rozumiem, dlaczego w tym momencie Adam jest taki ważny.

– Wiesz, że jest ważny, Aubrey. To on zawiózł cię do szpitala. Tamtego wieczoru po pogrzebie – wyjaśnia, jakby to było potrzebne. No tak, w końcu regularnie trafiam do szpitala w stanie upojenia alkoholowego skrzyżowanego z załamaniem nerwowym.

Znów łykam wody, chociaż prawie nic nie zostało. Wiem, że Laura wie, że zaczynam się denerwować. Uśmiecha się, kiwa głową, czeka.

– Wiem – mówię. – Nie musisz mi przypominać. – Zaczynam obracać w rękach plastikową butelkę.

– Na pewno odczuwałaś to jako duże obciążenie. Byłaś bardzo młoda. Czy kiedykolwiek Adam dawał ci odczuć, że może liczyć tylko na ciebie? Czy wywierał na ciebie presję?

Usilnie próbuje utrzymać kontakt wzrokowy. Nie podoba mi się to. Przenoszę wzrok na okno za jej głową.

– Jasne – odpowiadam. – Czasami czułam presję.

– Emocjonalną? Seksualną?

– To i to, jak sądzę. Raz się pokłóciliśmy. W ostatniej klasie. Początek końca.

– Co masz na myśli?

– Byłam w sumie cnotką. Chodziliśmy ze sobą już prawie cztery lata, Adam zaczynał się niecierpliwić. No wiesz. Chciał seksu. A ja nie czułam się gotowa. Ciągle o to pytał, a ja miałam serdecznie dosyć. W końcu dałam mu wyraźnie do zrozumienia, że nic z tego.

– Co się stało?

– Leżeliśmy na podłodze w moim pokoju. Drzwi były otwarte, przekomarzaliśmy się tylko. Takie niewinne zapasy. No wiesz, pocałunki, śmiechy, łaskotki. Nic poważnego.

– Rozumiem.

– I nagle całkiem mu odbiło. Zaczął wrzeszczeć, że z nim pogrywam, że jestem zwykłą podpuszczalską, że mam się zastanowić. Bo jestem mu to winna, no wiesz, typowe teksty facetów w tym wieku. – Znów odkręcam butelkę. – Ale chciałam to kiedyś zrobić. Na pewno przed wyjazdem na studia. Tylko że nie podobała mi się jego roszczeniowa postawa. A ja z kolei byłam uparta.

– I co się stało?

– Najpierw go ignorowałam. W planie miało to trwać dwa dni. Jeszcze nigdy na tak długo nie straciliśmy kontaktu. Nie odpowiadałam na jego wiadomości. A potem zaczęła się chora gra. Ja pisałam, on nie odpowiadał. A potem oboje przestaliśmy pisać. – Dopijam wodę i mówię: – Ale go kochałam. Naprawdę. Chyba po prostu bałam się go stracić.

– Ale i tak go straciłaś – mówi autorytarnym tonem, a ja znów przechodzę do

defensywy.

– Jeszcze nie wtedy – odpowiadam. Sama nie wiem, czy to ostrzeżenie, żeby nie próbowała odciąć mi drogi, czy po prostu stwierdzenie, że straciłam go trochę później.

# Rozdział 33

*Poniedziałek, 20 października 2014*

Patrzę na białą kartkę, stukam długopisem o ramę łóżka. Posłuchałam rady Laury i zapisuję swoje emocje, ale dzisiaj nic nie przychodzi. Notuję na tylnych kartkach zeszytu „As If”, zapelniam kolejne strony w dość szybkim tempie. Już zapomniałam, co to znaczy pisać – nie tak po prostu pisać – pisać dla siebie, bez terminów, wyznaczników i pasywno-agresywnych uwag Jonathana. Gdzieś między kroniką kryminalną a relacjami z pożarów cały zapal się ulotnił.

Poranne słońce wpada przez otwarte okno, rozświetla papier. Wracam do notatki z poprzedniego wieczoru. Słowa buchają jaskrawym blaskiem, płoną pod zawisłą nad kartką dłonią. Boję się ich dotknąć, boję się, że zapłoną i oparzą opuszki moich palców. Ostatnio przystopowałam z piciem, próbuję uporządkować ten cały syf na trzeźwo, ale wczoraj pozwoliłam sobie na dwa czy trzy kieliszki wina, dałam słowom płynąć swobodnie przez moje wnętrze, spłynąć na strony starego zeszytu w marmurkowej okładce. Cześć mnie ma ochotę wyrwać kartkę i przepuścić przez niszcarkę Karen. Nie wiem, co mnie do tego skłoniło, nie licząc wina. Co mnie skłoniło, by napisać list do Rachel – zwykły list, starannym charakterem pisma, takim, jakim pisze się kartki urodzinowe, podania o pracę i listy pożegnalne przed popełnieniem samobójstwa.

Droga Rachel. To ja, Aubrey. Twoja „najlepsza przyjaciółka”. Naprawdę tak myślałaś? Czy może traktowałaś to określenie jak etykietkę, która pomagała ci utrzymać mnie przy sobie, sprawować nade mną kontrolę, wyznaczyć mi drugoplanową rolę w chorej inscenizacji? Na studiach miałam zajęcia z psychologii, uczyliśmy się o syndromie sztokholmskim. Myślałam o tobie i o mnie, o tym, jak długo tkwiłam w pułapce twoich kłamstw i twojego uroku. Sądziłaś, że to będzie trwało wiecznie? Sądziłaś, że jestem tak głupia i pusta, że tak bardzo cię potrzebuję i pozwolę sobie wszystko odebrać, że będę czekać z otwartymi ramionami, aż zdecydujesz, że jednak mogę wrócić?

Przerywam. Kręci mi się głowie, jest mi gorąco i mam lekkiego kaca. Opieram się na poduszce, podciągam kolana, opieram na nich zeszyt. Zabawne, nie pamiętam, jak to wszystko pisałam i nie wiem, co z tym zrobić.

Co zamierzałaś osiągnąć, dzwoniąc do mnie? Sądziłaś, że odwiodeć cię od tego pomysłu? Powiem, że mi przykro, że cię Kocham i potrzebuję? Że ci przebaczam? Ha!

Sądziłaś, że do końca życia będę się nurzać w poczuciu winy, kryjąc przed światem fakt, że przecież mogłam coś zrobić? Że mogłam cię powstrzymać? A potem? Dalej byłybyśmy najlepszymi przyjaciółkami, razem byśmy dojrzewały, robiły za druhny na swoich ślubach? Wygłosiłabyś wzruszającą mowę, jak to zawsze byłam przy tobie, jak uratowałam ci życie? Nie winię cię o to z Erikiem. Nauczyłam się już dawno temu, że nikt nie odpowiada za czyny drugiego człowieka. Ale nienawidzę cię za całą resztę. Za wszystko, co powiedziałaś. Za Adama. Pięć lat, Rachel. Przez całe pięć lat miałaś mnie gdzieś. Tego się nie wyprzesz. Zawsze żyłaś złudzeniami, Rach. I zawsze byłaś potwornie egocentryczna. I nawet w chwili śmierci ustawiłaś mnie na odpowiedniej pozycji i tego nigdy ci nie wybaczę.

Patrzę na kartkę, pamiętam, że muszę oddychać, ale kiepsko mi idzie, nie jestem pewna, czy naprawdę tak myślałam. Że nigdy jej nie wybaczę. Dzwoni alarm w telefonie. Zbliża się wizyta u Laury. Zatrząskuję zeszyt, wkładam pod materac i podejmuję decyzję. Czas zacząć mówić.

Wchodzę, czuję się znacznie spokojniej, niż przypuszczałam. Mam na sobie szary bawełniany T-shirt, rozpinany sweter i czarne spodnie do jogi. Nawet ułożyłam włosy i pomalowałam rzęsy. Po raz pierwszy od powrotu do domu wykonałam taki wysiłek w kwestii wyglądu.

Laura od razu zauważa.

– Świetnie wyglądasz. Co ze sobą zrobiłaś?

– Nic – odpowiadam, ale jej pytanie mnie uspokaja.

– Chyba po prostu wyglądasz na wypoczętą.

Biorę głęboki wdech, rozsiadam się na skórzanej kozetce i powoli upijam łyk wody z butelki.

– Sporo zastanawiałam się nad pisaniem. Co wtedy czuję. Zastanawiałam się nad różnymi rzeczami. Chyba jestem gotowa ci powiedzieć, z czego wynika mój obecny stan. Dlaczego byłam taka wściekła na Rachel.

Laura się uśmiecha, odchyła na oparcie krzesła, rzuca mi pudełko chusteczek. Wie, że nie będę ich potrzebować, ale doceniam poczucie humoru.

Brakuje mi tchu, jakbym właśnie przebiegła maraton. Jestem wyczerpana, a zarazem dziwnie ożywiona. Ciaśniej owijam się swetrem i wychodzę na ulicę. Powietrze jest chłodnawe, wieje lekki wiatr. Laura powiedziała, że cierpię na PTSD<sup>3</sup>. A więc to, co czuję a) jest normalne b) istnieje tylko w mojej głowie. Nadal nic nie rozumiem, ale wreszcie znalazłam jakieś uzasadnienie – nawet jeśli udzieliła mi go terapeutka, która dostaje za to kasę.

Mówi, że nadal znajduję się w fazie zaprzeczenia, chociaż minęło już pięć lat. To powinno przebiegać jak żałoba, ale ja nigdy nie straciłam naprawdę bliskiej osoby, więc nie wiem, na czym polega żałoba. Laura twierdzi, że jestem w żałobie po Rachel, tylko jeszcze sobie tego nie uświadomiłam.

Może jestem obłąkana, ale z pewnością nie w żałobie po Rachel. Tyle wiem na pewno.

Rachel jest przyczyną. Przyczyną wszystkiego.

Laura mówi też, że Rachel nie była niczemu winna. I z pewnością, bez najmniejszych wątpliwości, ja nie byłam temu winna. Nikt nie był, wbija mi do głowy, raz po raz i znów od początku. Winien był wyłącznie mój gwałciciel.

Mój gwałciciel.

To słowo jakoś mi nie pasuje. W pewnym sensie oznacza ono, że zrzekam się wszelkiej odpowiedzialności za to, co się wydarzyło. Laura mówi, że właśnie o to chodzi. Ale jeśli nawet, jak chłopak, którego znałam niemal przez całe życie, nagle mógł stać się moim gwałcicielem? Jak to możliwe, że nagle zaczął do mnie należeć? W którym momencie go sobie przywłaszczyłam, w którym momencie zaczęłam za niego odpowiadać? Mój gwałciciel. Laura mówi to tak od niechcienia, jakby mówiła o moim bracie czy swetrze.

– Jeśli on jest moim gwałcicielem, kim ty jesteś dla mnie? – pytam. Uśmiecha się z przymusem, wzdycha przeciągle, opierając dłonie na kolanach.

Kiedy wypowiadam te słowa – mój gwałciciel – brzmią sztucznie i tanio.

Wiem, że opowiadając jej tę historię, zrobiłam coś niezwykłego, ale część mnie tego żałuje. Tak, Laura, chciałabym powiedzieć, mam stany lękowe. Rozumiem. Ale funkcjonuję normalnie i wcale nie muszę tu siedzieć. Nie przypuszczałam, że zrobi się z tego takie wielkie wstrząsające wyznanie. Może gdybym wiedziała, trzymałabym głowę na kłódce.

Opowiedziałam jej o tamtej nocy dosyć ogólnie, na końcu dodałam: widzisz, oto dlaczego nienawidzę Rachel. Rozumiesz? To nic takiego. Shit happens.

Ale w pewnym momencie coś się stało.

Laura użyła słowa „gwałt”. Powiedziała, że im szybciej to zaakceptuję, tym szybciej będę mogła rozpocząć „proces zdrowienia”.

To jest proces. To jest proces.

Jeśli jeszcze raz usłyszę: „To jest proces”, przysięgam, że nie wytrzymam. Ale nie mówię tego głośno, bo nadal jestem w domu, a to lepsze niż szpital.

Z trudem przychodzi mi używanie słowa na „g”. Nigdy łatwo mi nie przychodziło, nigdy nie wypowiedziałam go na głos. Tylko raz. A i wtedy wypowiedziałam je zupełnie mimowolnie.

Był maj, dwuletni bratanek Danny’ego przyjechał na weekend. Gówniarz był wszędzie – paćkał lepkimi łapami po telewizorze, wspinał się na szafkę z alkoholami. Nie chciał spać, a kiedy wreszcie zasnął, musieliśmy siedzieć cicho, co w praktyce oznaczało, że nie możemy iść siku, nie możemy rozmawiać, a przede wszystkim nie możemy uprawiać seksu. Rzuciłam żartobliwy tekst, porównując opiekę nad małym dzieckiem do gwałtu: „Nie mogę spać, nie możemy się kochać i ciągle powtarzam:



przestań, nie, nie”.

Danny się nie śmiał – szybko zmienił temat.

Laura powtarzała słowo „gwałt”. „Gwałt”, jakby chodziło o jakieś wielkie wydarzenie, Ślub czy Huragan. Czasami odnosiłam wrażenie, że robi to tylko po to, by wywołać u mnie reakcję.

Czasami naprawdę robiła to bez uzasadnienia. Rozmawialiśmy na przykład o jakiejś kłótni między mną i Dannym i nagle: „Zauważyłam, że bardzo ważne jest dla ciebie poczucie kontroli. No wiesz, z powodu Gwałtu i tak dalej”. I za każdym razem, kiedy powtarzała to słowo, cała sztywniała i dostawałam tiku w lewym oku, a ona się uśmiechała. Bardzo subtelnie. Ale uśmiechała się, wiem na pewno. Jakby wiedziała, że mnie to dotyka, nawet jeśli sama nie używam tego słowa – chyba że w formie ryzykownych żartów.

– Czy czujesz się ofiarą? – zapytała.

– Nie. Nie czuję się ofiarą.

– Czujesz się jak ocalała z katastrofy?

– Nie, to też nie.

– A co ze wstąpieniem na ścieżkę prawną? Rozważałaś taki pomysł?

– Minęło pięć lat. Przepisy o przedawnieniu, te sprawy. Zresztą chyba i tak nie miałabym siły przez to przechodzić.

– Czemu?

– Nie interesuje mnie wymierzanie sprawiedliwości. Kiedyś i tak dostanie za swoje. Życie już się o to zatroszczy. – Laura milczała. – Wiem, że według ciebie jestem w fazie zaprzeczenia, ja jednak uważam, że to nieprawda.

– Okej – powiedziała, dając znak, że mam mówić dalej.

– Wiem, jakie są moje czynniki spustowe.

Potrząsnęła głową. Zaczynałam się irytować.

– No wiesz, Tori Amos, szukanie w sieci informacji na temat Erica, takie tam stereotypowe akcje, „Szklany klosz”. Lubię wywoływać u siebie stany lękowe.

– Okej – powtórzyła. – Chyba rozumiem.

– Sama nie wiem, jak to wyjaśnić – powiedziałam. – Czuję, że łapię doła, zaczynam się zastanawiać nad różnymi rzeczami, wpadam w paranoję, ale nie próbuję poczuć się lepiej. Traktuję to trochę jak wyzwanie. Sama w sobie wyzwalam atak paniki. Szukam czynników spustowych. No wiesz. To chyba termin z psychoterapii?

Laura uśmiechnęła się i przytaknęła, wiem, że chciała, bym mówiła dalej, ciągnęła zaczętą myśl. Nadużywała tej taktyki – czekała w milczeniu, aż poczuję się niezręcznie i wypełnię ciszę głębokimi ciemnymi emocjami.

– Łatwo naciskam na spust.

Rozluźniam się na skórzanej kozetce, odkręcam butelkę z wodą.

Myślałam, że zrobię na niej wrażenie. Że pochwali mnie za to, jak dzielnie stawiam czoło problemom, ona jednak powiedziała:

– To odpowiednik samookaleczenia, Aubrey.

Wywróciłam oczami. Z nią się nie wygra.

– Czy masz czasem ochotę się pociąć?

– Nie.

Ale nie było to do końca prawdą.

Poszliśmy z Dannym na jedną z tych imprez w bractwie. Upiłam się, a właściwie schlałam w trupa. Danny rozmawiał z jakąś laską z pierwszego roku. Nie należę do zazdrosnych typów, ale, Jezu, ona nawet nie była ładna.

Siedziałam na schodach z dziewczynami z akademika.

– Ona nawet nie jest ładna – powtarzałam bełkotliwie. – Ona nawet nie jest ładna.

– Wypij to, kotku – mówiły, przytykając kubek z piwem do moich ust. – Ona nawet nie jest ładna. Ty jesteś o całe niebo ładniejsza.

Siedziałyśmy tak we cztery, bełkocząc, aż w końcu wstałam, przytrzymując się połamanej balustrady, i ruszyłam do łazienki.

– Nawet nie jest ładna – powtórzyłam.

Prócz mnie w łazience nie było nikogo. Patrzyłam w lustro. Makijaż spłynął, śmierdziałam piwem. Lustro było pęknięte. Na pewno. Dlatego wcisnęłam w nie pięść.

Moje odbicie roztrzaskało się na kawałki, a ja krzyknęłam, zaciskając zęby. Ktoś zapukał do drzwi.

– Spierdalaj – powiedziałam. – Zaraz wychodzę.

Pamiętam to uczucie, kiedy wyciągałam kawałki szkła ze skóry. Intensywne. Ani dobre, ani złe. Po prostu. Coś poczułam. Wreszcie coś, kurwa, poczułam. Złapałam leżący w zlewie odłamek, podciągnęłam koszulę i przycisnęłam, aż na brzuchu pokazała się płytka czerwona szrama. Zaczęłam od biodra, przecięłam sercogram. R. A. Nie naciskałam bardzo mocno, nie nacięłam skóry bardzo głęboko, ale wystarczająco, by poleciała krew.

Kiedy Danny mnie zobaczył, upuścił piwo.

– Kurwa, co się stało? – zapytał, gotów się bić. Uśmiechnęłam się do jego koleżanki. Ręce miałam całe we krwi.

– Ktoś zbił lustro w łazience. Przewróciłam się.

Chwycił moją rękę.

– Boli? Chcesz pojechać do szpitala? – Jego oddech był kwaśny, pachniał drożdżami.

– Nie. Chcę do łóżka.

W domu opatrzył mi rękę, dał xanax i zgasił światło. Leżeliśmy obok siebie.

Rysował kółka na moim nadgarstku, zawsze tak robił, kiedy zasypialiśmy.

Pochyliłam się i pocałowałam go w czoło, w nos i w usta.

– Na pewno wszystko w porządku? – spytał. Było ciemno, ale czułam, że uniósł się i wsparł na łokciach.

– Aha – odparłam, ściągając koszulkę. Nie widział mojego brzucha. Chciałam poczuć jego ciało.

– Nie – powiedziałam jeszcze raz do Laury. – Nigdy nie miałam ochoty się pociąć.

# Rozdział 34

*Środa, 22 października 2014*

To nadchodzi falami. Przeplývają przeze mnie, ale ja pamiętam tylko przebłyski, obraz, dźwięk, zapach. Głównie pamiętam Adama. Pamiętam Adama, chociaż tamtej nocy w ogóle go nie widziałam.

Laura kazała mi ćwiczyć pamięć. Próbuję jej tłumaczyć, że pamiętam. Nigdy nie zapomniałam, ale ona upiera się, że nadal są rzeczy, którym do tej pory nie pozwoliłam pojawić się w myślach – których nie pozwoliłam sobie poczuć.

Część mnie uważa, że to zwykłe bzdury. Część mnie mówi jej to, co chce usłyszeć. Ale inna część woła o pomoc.

Może Laura chce, żebym opowiedziała wszystko ze szczegółami. Ale na to chyba nigdy się nie zdobędę. Powiedziałam jej, że wszedł we mnie, chociaż mówiłam „nie”. Powiedziałam, że usiadł na mnie i przygniótł mnie, żebym nie mogła się ruszać, pokazałam jej, jak co zrobił z moimi rękami, i wystawiłam w powietrze trzy palce, jak skrzywdzone nieme dziecko.

Ale nie powiedziałam, jak podciągnął moją sukienkę, a kiedy prosiłam, żeby przestał, odparł, że nie muszę jej zdejmować. Nie musisz jej zdejmować. Jak unieruchomił łokciami moje kolana. Nie powiedziałam, że przestałam walczyć i leżałam nieruchomo, jak martwa ryba, bo pomyślałam, że zaraz mu się znudzi. Nie powiedziałam, jaka byłam odrętwiała, że w swoim odrętwieniu właściwie nie wiedziałam, co się dzieje.

I może nie stałoby się nic złego, gdyby wtedy przestał. Gdyby moje ręce, kiedy zaczęłam odpychać jego ręce, nie trafiły na coś innego.

– Mam prezerwatywę – powiedział.

– Nie zamierzam uprawiać z tobą seksu – odparłam.

I może nic by się nie stało, gdyby wtedy przestał. Może cała historia zakończyłaby się jako głupie nieporozumienie między dwójką pijanych dzieciaków.

Laura była dzisiaj strasznie zajadła. Mam powyżej uszu opowiadania o tym. Mam powyżej uszu słuchania, że za wszystkim, co robię, za każdym drobiazgiem, stoi Eric Robbins. Że nie kontroluję emocji, ale nic nie szkodzi, bo jestem Ofiarą.

Jest tuż po czwartej, słońce świeci nad Sunrise Highway. Są godziny szczytu, zrobił się korek od Wantagh Avenue aż do Massapequa. Biegnę wzdłuż torów, tutaj raczej nikogo nie spotkam. Jestem w ciuchach treningowych, spociłam się pod

cyczkami. Już widzę bar u O'Reilly'ego: drzwi są otwarte na oścież, w środku pusto.

Ciekawe, co powiedziałyby Laura, gdyby wiedziała, że po wyjściu od niej pobiegłam prosto do baru, w którym wszystko się zaczęło. Pewnie zrobiłaby swoją sztucznie współczującą minę i spytałaby, czy chciałam w ten sposób odzyskać kontrolę, z powodu Gwałtu. Powiedziałyby, że to bardzo symboliczne i poruszające.

A ja odparłabym, że nie, po prostu chciało mi się pić.

Po południu wszystkie bary śmierdzą tak samo – ciepłym piwem, chlorem i trochę rzygami. W głębi siedzi kilku panów w średnim wieku, z wąsami, na głowach mają kapelusze wędkarskie. Jest cicho, w powietrzu wilgoć. Zamawiam kieliszek cuervo. Obok leży przywiedła limonka, mocząc serwetkę.

Barman jest niskim gościem z fałszywym irokezem i irlandzkim akcentem. Nie wiem, skąd się wziął i co robi w Wantagh, w każdym razie w ramach promocji proponuje dwa drinki w cenie jednego. Nie mam nic przeciwko.

Telewizor buczy za barem – wiadomości, zapowiadają burzę w przyszłym tygodniu, nie, chyba nawet konkretny huragan.

– Mówią, że znajdziemy się w strefie ewakuacyjnej – powtarza Irlandczyk, nalewając tequili do dwóch kieliszków.

– W zeszłym roku też tak mówili – mruczę. Wypijam pierwszy kieliszek, tequila pali mnie w gardło, mocna i metaliczna, tak jak pamiętam. Kątem oka notuję, że ktoś siada na stolku obok.

– Czy my się przypadkiem nie znamy? – Ten głos.

Moje plecy sztywnieją. Wiem, że nie mogę się odwrócić. Nie odwracaj się. Ale się odwracam. Miałam rację. To on.

Trzymam kieliszek tuż przy ustach, mierzę go wzrokiem od góry do dołu, śmieję się. Bo chyba to śmiech. A może nie. Nie jestem pewna. Wszystko wydaje się niepewne.

– Nie – odpowiadam. – Nie znamy się.

Spogląda na mnie, uśmiecha się krzywo, tym swoim uśmieszkiem, który wydaje się prawie – prawie – czarujący.

Daje znak barmanowi.

– Poproszę to samo, co ona.

– A ja jeszcze dwa. – Irlandczyk przygląda mi się, nalewa dwie tequile, stawia solniczkę między naszymi kieliszkami.

– Shot for shot? – pyta Eric. Nie odpowiadam, zlizuję sól z ręki, wychylam tequilę, tym razem prawie się nie krzywię. On robi to samo, ale cały się marszczy. Próbuje się uśmiechnąć. – Ej, znam cię – mówi, prychnąwszy tequilą. – Jesteś tą laską, której odwaliło na imprezie na cześć Rachel.

– Masz na myśli pogrzeb?

Znowu się uśmiecha, wzrusza ramionami, zamawia kolejne dwa shoty. Cuervo

zaczyna buzować w moich żyłach, po raz pierwszy patrzę na niego – patrzę tak naprawdę. Nie na fotografię. Nie na twarz we wspomnieniach, tylko naprawdę, w prawdziwym zimnym bezlitosnym popierdolonym życiu.

Wiecie, że wspomnienia wcale nie są jak film, wbrew przekonaniu wielu osób? Nie są też jak zdjęcia. Raczej jak teatr – jakaś gówniana sztuka w piwnicy obscurnego baru na East Village. Za każdym razem przedstawienie jest inne. Wszystko zależy od nastroju aktorów – oświetlenia, pory roku, od tego, czy któraś gwiazda akurat ma okres, czy facet zamoczył poprzedniego wieczoru. Każda scena jest inna. A wspomnienia, cóż, nie są prawdziwe. Są zaledwie powieleniem tego, co pojawiło się w twojej pamięci poprzednim razem, a nie dokładnym odbiciem prawdziwego zdarzenia. Zastanawiam się, ile moja pamięć zmieniła od tamtej nocy.

Nie wiem, czy on pamięta. Nie wiem, czy beczelnie zaprzecza, udaje głupiego, czy naprawdę mnie nie kojarzy – tej ładnej, tylko trochę pulchnej laski, którą przytrzymał siłą, w którą wetknął fiuta.

Eric wypija drugą tequilę. Wzrok mu się szkli. Jest szczuplejszy niż w moich wspomnieniach, może też nie taki silny. Nagle rzeczywistość uderza we mnie z brutalną siłą. Gdzie jestem. Z kim jestem. Sięgam po kieliszek, widzę, że ręce mi się trzęsą. Ale nie czuję strachu. Nie boję się go. Nie jestem jego ofiarą.

Całe moje ciało buczy. Słyszę w uszach własny oddech. Przypominam sobie, co mówiła Laura: „Trzymaj się tego, co tu i teraz. Trzymaj się chwili obecnej. Nic ci nie grozi”.

Nic mi nie grozi.

Podnosi dwa palce, Irlandczyk przynosi jeszcze dwa shoty, ale rzuca mi takie spojrzenie, jakby zamierzał powiedzieć, że mam dosyć. Posyłam mu słodki uśmiech – może w ten sposób kupię jeszcze jedną kolejkę.

Z szafy grającej leci senna melodia. Czuję, jak moje ciało chwieje się na stołku niczym piórko.

Eric unosi kieliszek. Stukamy się i pijemy. Jego twarz się zaciera, mogłaby należeć do kogokolwiek, ale gdzieś poza alkoholowym oszołomieniem nadal go czuję, jego palce dźgające moje wnętrze, jego rękę przyciskającą moje usta.

Nie wiem, jak to się stało, ale nagle prowadzę go do łazienki.

Popycham go na umywalkę, patrzę ponad jego ramieniem na swoje odbicie w lustrze. Dostrzegam ciemne kręgi pod oczami, ale nie wiem, czy to wina tequili czy fatalnego oświetlenia.

Eric pochyla się i całuje mnie. Miętko. Delikatnie. Moje wnętrze wypełnia się bólem. Gryzę jego wargę. Cofa się, ale zaraz wraca, tym razem atakuje bardziej zdecydowanie, wpycha język do moich ust, chwytą mnie w pasie. Muszę mocno przetykać ślinę, żeby nie wymiotować. Znowu gryzę, mocniej, czuję opór jego dolnej wargi, gdybym chciała, mogłabym przegryźć ją na pół.

Odwraca mnie, próbuje posadzić na umywalce. Wyciągam rękę i walę go w szczękę. Robi oszłamioną minę, a ja się uśmiecham i znowu go całuję, wciąż zdezorientowany popycha mnie na lustro, mocno, a ja znów mu przywalam. Jego warga pęka, krew zalewa zęby.

Zaczyna coś mówić, a ja znów go całuję, krew miesza się z moją śliną. Ma metaliczny smak, gryzę, a on się odsuwa.

– Spokojnie – szepcze, ale brzmi to niemal jak groźna. – Spokojnie. – Wzruszam ramionami, mówię coś w stylu: „Sorry, lubię ostro”. A potem zaczynam rozpinać jego pasek.

– Czekaj – mówi, zerka na drzwi i wciąga dżinsy.

– Daj spokój – mówię. – Nie musisz tego zdejmować. – Klękam, patrzę na niego, jego twarz całkiem się zamazuje. Ciągnę za dżinsy, poddaje się. – Na podłogę.

– Dlaczego?

– Po prostu. – Patrzy na mnie, krew kapie mu po brodzie. Osuwa się na lepką wilgotną podłogę. Trzymam go za kołnierzyk, mocno. Świat obraca się powoli. Mój język jest gorzki i spuchnięty, czuję smak cuervo i limonki, soli i krwi.

Mózg podpowiada, że mam przestać. Ale wszystko wiruje. I wszystko wydaje się słuszne.

– Spokojnie – zaczyna znowu. A ja walę go otwartą dłonią prosto w twarz. Wzdryga się, uderza pięściami w moją pierś. Moja głowa trafia w ścianę, wyłożoną białymi kafelkami. Słyszę trzask, ale nic nie czuję. Zamierzam się, oddaję kolejny cios.

– Co jest z tobą, kurwa, nie tak?

Przyciska mnie do ściany, spodnie opadły mu do kostek. A ja zaczynam wrzeszczeć, przenikliwie, strasznie. Eric wstaje i rzuca się do wyjścia. Spodnie nadal plączą mu się wokół nóg.

– Pierdolnięta suka – mruczy, otwierając drzwi. Nikt się nie zjawia. Dziewczyna krzyczy w barowej łazience i nikt się nie zjawia. Zaczynam się śmiać. Siedzę na podłodze przy ścianie z białych kafelków, czas mija, a ja się śmieję.

# Rozdział 35

*Środa, 22 października 2014*

Wychodzę z baru i nadal się śmieję, wprost pękam ze śmiechu. Rechoczę jak wariatka, gardłowo, głowa odrzucona do tyłu, ramiona się trzęsą. Mija mnie minivan, parkuje przed stacją, a ja wciąż szczerzę się od ucha do ucha. Sięgam do torby po papierosa, wsuwam między wargi, zapalam zapalną – ręce się nie trzęsą.

Słońce wisi nisko, wielkie i stężałe, żarzy się pomarańczowo. Fioletowe chmury znaczą niebo sińcami. Za każdym razem, kiedy próbuję wziąć się w garść, zrobić poważną minę, znowu tracę kontrolę, śmieję się i palę, i nie mogę przestać. Bo ciągle widzę zakrwawione zęby Erica Robbinsa i czuję się lekka jak piórko, sen na vicodinie. Zaciągam się głęboko, pozwalam, by smugi dymu wnikały w tkaninę bluzki. Kurczowo trzymam się nadziei, że poczuł się zbezczeszczony, upokorzony, zdewastowany – że już nigdy nie zazna chwili spokoju.

Witaj w moim piekle, drogi Ericu.

Idę przed siebie, zaciskając pięści. Knykcie zaczynają boleć. Zginam dłoń. Możliwe, że coś naderwałam, ale było warto. Zmierzam na wschód, przekraczam Sunrise Highway, nadal jest korek, samochody ciągną się nieprzerwanym sznurem. Któryś kierowca trąbi, a ja w ogóle nie reaguję. Wiem, dokąd zmierzam.

Słońce wali jaskrawym blaskiem w stos suchych liści na trawniku przed domem Adama. Dopiero teraz dociera do mnie, że to już prawie listopad. Na werandzie sterczy samotna smutna dynia. Skręcam za róg, podnoszę z ziemi gładki kamień i rzucam w okno sypialni. Nic się nie dzieje. Rzucam następny i jeszcze jeden. Już mam zrezygnować i pójść do domu, gdy nagle go widzę, stoi na chodniku, ubrany w koszulę w szaro-niebieską kratkę, pewnie wraca z pracy, z restauracji taty Jasona.

– To chyba moja strategia? – mówi. Trzyma ręce w kieszeniach. Ma zmęczoną twarz. Przybrał na wadze, w ten sposób typowy dla facetów po dwudziestce, szczeka rozmyśla się w piwnej opuchliźnie. Ale ja widzę tylko tamtego nieśmiałego chłopca w niebieskiej bluzie z kapturem, czekającego rano, by odprowadzić mnie do szkoły.

– Hej – rzucam.

– Cześć – mówi Adam i patrzy na swoje buty.

Stoimy tak przez chwilę.

– Chciałem wpaść do ciebie. Sprawdzić, czy wszystko w porządku. Ale pomyślałem, że pewnie nie chcesz mnie widzieć. – Czuję, jak moje brwi mimowolnie



podjeżdżają do góry.

– Nie było potrzeby – mówię.

– No wiesz, po tamtej imprezie u Ally. Miałem zadzwonić.

– O – mówię. – No tak. Zapomniałam – kłamię. A właściwie kłamię po części. Nie zapomniałam, po prostu nie byłam pewna, czy coś takiego naprawdę się zdarzyło. Wydawało mi się, że może miało miejsce tylko w mojej wyobraźni, że osunęłam się w czarną alkoholową dziurę, odwiozłam się do domu i postawiłam na nocnym stoliku napełniony wodą słoik typu Mason.

– Co się wydarzyło tamtej nocy? Byłam nieźle zalana, prawie nic nie pamiętam.

– Em – zaczyna. Denerwuje się. Widzę. Dziwne, ale dodaje mi sił. – Wracalem samochodem z pracy, późna zmiana, a ty stałaś na środku drogi i rzygałaś jak kot. Zawiozłem cię do domu, położyłem do łóżka. Nie pamiętasz? – Wzruszam ramionami. Nie tak to zapamiętałam. Przeczesuje dłonią włosy, patrzy na ulicę.

– Dzięki – mówię. – Chyba.

– Dwa razy w przeciągu jednego tygodnia. – Jego usta układają się w ten krzywy uśmiezek, robi mi się słabo.

Ta sytuacja, to że stoimy tu i rozmawiamy, wydaje mi się totalnie surrealistyczna. Jego słowa przepływają przeze mnie bez śladu, wiem, że są pozbawione znaczenia. Nie mówię tego jednak. Stoję tak, język puchnie mi w ustach, wszystkie rzeczy, których nie miałam okazji się pozbyć, kipią w gardle.

– Muszę ci coś powiedzieć – w końcu wyrzucam z siebie. Wciągam ostro powietrze, pocieram bolące knykcie.

Adam stoi naprzeciwko mnie i chociaż minęło pięć lat od naszego ostatniego spotkania – nie licząc after party – nadal ma tę swoją charakterystyczną twarz, smętną, ponurą, głupią mordę. Powracają wszystkie uczucia, słowa rozdzierają język.

– Nienawidziłam cię – mówię. – Nie masz pojęcia, jak bardzo cię, kurwa, nienawidziłam. – Stoję na jego trawniku, przyciskam zeszywniałe ramiona do ciała, popołudniowe słońce zaczyna wirować. Cały świat zaczyna wirować, a ja niczego nie mogę się chwycić. Wbijam pięty w ziemię, żeby nie stracić równowagi, ale nie widzę nic prócz Adama, nie czuję nic prócz Erica, który pcha mnie na umywalkę, krew cieknie mu z ust. Tequila przelewa mi się w żołądku, podchodzi do gardła.

– Ja ciebie też nienawidziłem. – Czarne włosy są krótsze niż w moich wspomnieniach, ale nadal opadają na czoło. Robię krok do przodu i patrzę prosto w zimne szare oczy. Zaciska szczęki. Następuje jakieś przesunięcie i nagle widzę go w samochodzie, pochylonego nad Rachel. Jak szybko oboje ruszyli dalej. A ja od pięciu lat prowadzę wojnę z samą sobą. Jak on ma czelność mówić, że mnie nienawidził?

– Nie – mówię. – Nie masz prawa. Nie wolno ci. – Robię krok w jego stronę. Oczy

mnie szczypią, czuję pod powiekami groźną słoną falę, nie płacę jednak. Obiecałam sobie, że nie będę płakać. – Nie masz pojęcia, co się ze mną dzieło. – Skóra wokół oczu napina się, zagryzam wargi.

Weź się w garść. Weź się w garść.

– Nie masz pojęcia – powtarzam.

Patrzy na mnie, wciąż zaciskając szczęki, wciąż z tym smutnym wyrazem twarzy i nagle nie wytrzymuję. Tracę panowanie nad sobą, łzy tryskają z oczu jak ulewa, na policzkach występują czerwone plamy, nie mogę oddychać. Wciągam powietrze, łykam, wciągam i łykam na przemian, jakby noże wbijały mi się w płuca. Adam robi krok w moją stronę, ręce trzyma wyciągnięte przed sobą, jakby zbliżał się do wściekłego psa.

– Nie – mówię. Cofam się, chwytam powietrze, przełykam łzy, przełykam powietrze, nie widzę nic prócz Adama, nie czuję nic prócz Erica, chcę osunąć się w trawę, rozpaść się, rozpuścić i zniknąć na zawsze. Ale nadal stoję w miejscu.

– Aubrey – mówi Adam – proszę, uspokój się.

– Nie – powtarzam. – Teraz, kurwa, wysłuchaj, co mam do powiedzenia. – Po drugiej stronie ulicy trzaskają drzwi, dwójka dzieciaków wyjeżdża zza rogu na rowerach. Nawet nie drgnę. – Czy wiesz, jak to jest, kiedy czujesz się opuszczony przez wszystkich, kiedy nie ma absolutnie nikogo, do kogo mógłbyś się zwrócić? – Wciąż łapię powietrze, łzy wciąż ciekną mi po twarzy. Laura określiłaby mój stan mianem katharsis. Ja nazywam go załamaniem. – Tamtej nocy wszystko się zmieniło. Wszystko straciło sens. Nic nie miało znaczenia. Ale ty... Chciałam, żebyś ty wciąż coś znaczył. – Obejmuję się ramionami, pochylam do przodu. Adam nie patrzy na mnie. – Nie wiem, co Rachel ci powiedziała, nie wiem, co słyszałeś, ale cię nie zdradziłam. Przysięgam. To nie było tak. Ja tego nie chciałam. – Słowa mieszają się ze śliną i łzami, wypadają z moich ust i unoszą się w powietrzu jak pył.

– Wiem – mówi. – I jest mi bardzo przykro. Nie chciałem cię zranić, Aubrey. – Nie brzmi to całkiem szczerze, ale nie brzmi też jak kłamstwo. Wiem, że nadszedł moment, by wszystko wyjaśnić. Nie pozostawiać żadnych niedomówień.

– A Max nie dostał tamtego pierścionka ode mnie. I wiem, skąd go wziął. – Moje ciało opada na trawę. Jak dobrze tak leżeć. Koszulka powoli przesiąka wilgocią ziemi.

– A skąd?

– Nie powiem.

– Dlaczego nie? – Wydaje się rozczarowany, ale nie zaskoczony.

Łzy przestaną płynąć. Oddech się uspokaja.

– Może twój brat nikogo nie skrzywdził, a może skrzywdził – mówię. – Tak czy inaczej, to nie jest moja historia.

Jego twarz się kurczy, szczęki znów się zaciskają, jakby zamierzał mnie uderzyć, powiedzieć, że jestem potworem, że zawsze byłam okropna, w końcu jednak tylko

kiwa głową i mówi:

– Tak chyba będzie uczciwie.

– Nieważne. W każdym razie to wszystko, co chciałam powiedzieć. Chciałam zamknąć tę sprawę. Wtedy jej nie zakończyliśmy.

– A czego się spodziewałaś? Wpadłaś do mojego domu, rzuciłaś się na mnie, a potem znikłaś z powierzchni ziemi. Wyjechałaś na studia. Nawet się nie pożegnałaś.

– A co niby miałam zrobić? Straciłam wszystkich. Moja najlepsza przyjaciółka pieprzyła się z moim chłopakiem. Mój chłopak pieprzył się z moją najlepszą przyjaciółką. Jak by tego nie powiedzieć, wychodzi chyba na to samo?

– Przepraszam – mówi. – Nie wiedziałem o Ericu. – Mówiąc to, patrzy mi prosto w oczy, po raz pierwszy. Kiedy wypowiada jego imię, czuję, jak drga mi powieka. – Myślałem, no wiesz, słyszałem to, co słyszałem. Byłem głupi. Przepraszam.

Jestem wściekła, że mówi tylko tyle, zasłużyłam na więcej. Zasłużyłam na jego gniew, na słowa usprawiedliwienia, a on mówi tylko „przepraszam”. Nie wiedziałem. Ale chyba nie mogę oczekiwać zbyt wiele.

– Nie jestem obłąkana. Wiem, że wszyscy tak myślą, ale nie jestem szalona. – Mój głos brzmi bardzo dziecinnie i cienko. Spoglądam na posiniaczoną rękę.

– Pewnie spierdoliłem sprawę, niepotrzebnie wezwałem karetkę? Przepraszam. Przestraszyłem się.

Prycham, a potem robi mi się przykro, więc biorę głęboki wdech i mówię:

– Chyba zasłużyłam. Ale nie zamierzałam skoczyć.

– Wierzę.

– Ale, hej, człowiek musi pobawić się w Batmana przynajmniej z raz w tygodniu.

– Adam uśmiecha się swoim krzywym uśmiezkiem i siada na trawie obok mnie. Podnoszę się, podciągam kolana pod brodę.

– Naprawdę nie powiesz mi, co było z tym pierścieniem?

Potrząsam głową. Powracam w pamięci do tamtego wieczoru, kiedy zobaczyłam go po raz pierwszy – milczącego załamanego chłopca w niedopasowanym garniturze. Powracam do tamtego dnia na Bzyku, z Maxem na materacu. Pierścionek z drozdem łśni na spuchniętym palcu. Tequila Mockingbird.

– Max był dla mnie bardzo miły. Podczas naszego jedyne go spotkania. Całowaliśmy się. To wszystko. Ale to już wiesz. Zwrócił uwagę na mój pierścionek. Powiedział, że mu się podoba, ale kiedy poszłam do domu, nadal miałam go na palcu.

– Był pierwszym chłopakiem, z którym się całowałaś.

– Tak.

– Wiedziałem o was.

– Wiem, Rachel ci powiedziała.

– Nie. Wiedziałem wcześniej. Max mi powiedział. – Mrużę oczy, czuję, jak tequila wylazi wszystkimi porami.

– Max ci powiedział?

– Tamtego wieczoru, po powrocie, powiedział, że całował się z dziewczyną. Że jest w moim wieku i pewnie by mi się spodobała. Nie wiem jak, ale kiedy cię zobaczyłem na czuwaniu, od razu wiedziałem, że to ty.

– A więc wiedziałeś od samego początku?

– Aha.

– Byłeś drugi w kolejce po bracie. – Uśmiecham się i znowu kładę się na plecach. Adam błyska idealnymi białymi zębami, ale jest bardzo smutny.

Później, w drodze powrotnej, podeszłam do drzwi w sąsiednim domu. Pukałam dwa razy. Nikt nie otworzył. Nie spodziewałam się, że zastanę Tonyę Szalinski, nawet nie wiem, co bym powiedziała, gdyby jednak stanęła na progu. Może powiedziałabym o Ericu, o spotkaniach z Laurą. A może po prostu bym jej wysłuchała. Coś, czego dla mnie nikt nigdy nie zrobił. Poczułam ukłucie w żołądku i ruszyłam z powrotem.

Adam opowiedział, co się wydarzyło podczas tamtej Wielkanocy pięć lat temu. Przyznał, że był wtedy z Rachel w samochodzie. Zapytał, czy naprawdę chcę wiedzieć. Siedzieliśmy na jego trawniku. Powiedziałam, że tak, ze szczegółami. Że muszę wiedzieć. Żeby zamknąć tę sprawę.

Rachel przysłała wiadomość, że ma mu coś ważnego do powiedzenia. Po obiedzie pojechali razem na plażę jego samochodem.

– Adam – powiedziała – wiesz, że Aub jest moją najlepszą przyjaciółką, nie mówiłabym ci tego, gdybym nie uważała, że jest to naprawdę konieczne.

Odetchnęła i opowiedziała, jak tamtej nocy pojechała z Rodem do Erica. Że zostawiła mnie w barze u O'Reilly'ego. Że czekałam na niego przez cały wieczór. Że pewnie mi się znudziło.

– Eric mi się podobał – oznajmiła schrypniętym głosem, rzeczowo. – Wiedziała o tym.

Adam czekał na dalszy ciąg, zaciskając ręce na kierownicy.

– Nie wiem dokładnie, co się stało. W każdym razie poszła na górę do jego pokoju, wyszła kilka godzin później, było jeszcze ciemno. Ale widziałam, jak wychodziła. Włosy miała totalnie potargane, sam rozumiesz. – Znow wciągnęła powietrze i dodała: – Wszystko wskazuje na to, że się pieprzyli.

Pikap Adama turkotał na moście, a Rachel mówiła dalej, ale on już nie słyszał poszczególnych słów – tylko urywki zdań jak: „Rod powiedział i jeszcze ktoś, zrobili to, na sto procent.”

– Mówię ci o tym, bo jestem konkretnie wkurwiona. W dodatku to były twoje urodziny, więc to naprawdę chore, nie sądzisz?

Adam gwałtownie wcisnął hamulce, zrobił zwrot o sto osiemdziesiąt stopni, przecinając pas zieleni. Rachel wydała cichy okrzyk.

Adam dodał gazu i ruszył z powrotem do Seaport, chociaż miał wielką ochotę zjechać z drogi prosto do morza.

Dopiero przed domem uświadomił sobie, że zapomniał odwiedzić Rachel. Nie wyłączając silnika, wcisnął czoło w kierownicę i zaczął płakać. Ryczeć na całego. Powiedział, że nie pamięta, by kiedykolwiek wcześniej wydawał z siebie takie dźwięki, nawet po śmierci Maxa. A wszystko przeze mnie i naszą kretyńską kłótnię.

Walił pięścią w klakson, potrząsał kierownicą i wrzeszczał przez zaciśnięte zęby. Rachel siedziała obok w milczeniu, po raz pierwszy, odkąd ją znał, i głaskała go po plecach.

Dźwięki utknęły w gardle, żółć podeszła z żołądka do ust, zapomniał, że musi oddychać i nagle wyrzucił strumień czystego kwasu żołądkowego prosto na deskę rozdzielczą.

– Spokojnie – powiedziała Rachel. – Oddychaj. Jesteś dla niej za dobry. – Jej głos stał się bardzo miękki. Przycisnęła wargi do jego ucha. – Szszsz. Jesteś dla niej za dobry.

I wtedy to się stało. Gdzieś między jego łzami, dziecięcym łkaniem, histerią, pocałowała go – jeszcze raz. Tak to ujął. Za pierwszym razem w szyję. A potem wzięła jego twarz w dłonie i zwróciła w swoją stronę.

Nigdy wcześniej nie zauważył, jaki kolor mają jej oczy. Były brązowe i tyle, nic specjalnego, nie to co moje, powiedział. Był tak blisko, że dostrzegł piegi przykryte makijażem, niedobranym do koloru skóry. Tego też nigdy wcześniej nie zauważył. Że Rachel ma piegi. Jak Max.

– Nie mogę. Muszę porozmawiać z Aubrey. Może się mylisz. Nawaliłem.

– Adam – powiedziała spokojnym matczynym głosem. W niczym nie przypominała tej Rachel, którą znałam, bezdusznej, obsesyjnie skoncentrowanej na sobie Rachel, na którą zawsze narzekałam. – Ja się nie mylę. I jest coś jeszcze. – Spojrzał na nią, czekał. – Z twoim bratem też to robiła. Tuż przed jego śmiercią. Dlatego przyszliśmy na czuwanie.

A potem ją pocałował. I przycisnął do szyby.

Nie protestowała. Sięgnęła w dół, rozpięła mu dżinsy, suchą dłonią objęła kutasa. Adam odchylił się na oparcie, oddychał powoli i głęboko.

Próbował wymazać z pamięci mój obraz.

Oko za oko.

Rachel przelazła na tylne siedzenie i patrząc mu prosto w oczy, rozkraczyła się i oparła stopy o zagłówki z przodu. A potem w nią wszedł.

– Nie mam prezerwatywy – powiedział i zaraz potem wycofał się i skończył na szarej tapicerce.

## Rozdział 36

*Piątek, 24 października 2014*

– O czym dzisiaj porozmawiamy? – pyta Laura, ściągnając sweter z ramion. Wiem, że wykonuje takie gesty, bym czuła się swobodnie: ściąga sweter, kładzie nogi na biurku, sprawdza esemesy. Siedzimy w jej gabinecie. Nasza szósta sesja. Przyszłam pieszo, chociaż zaczęło padać.

– Nie wiem. Może dokończymy temat z poprzedniego spotkania. Wszystko mi jedno – mówię. Nie zamierzam opowiadać, że spotkałam w barze Erica i rozkwaśiłam mu gębę. Jeden krok w tył.

Siedzi w milczeniu, odgarnia włosy z twarzy.

– Aubrey. Wiem, że to dla ciebie trudne. Ważne jest, byś do niczego się nie zmuszała.

Odkręcam i zakręcam butelkę, nie piję.

– A moje postępy? To znaczy, jak sobie radzę? Lepiej mi idzie? Muszę powiadomić szefa, kiedy wracam. Załamanie psychiczne nie może trwać zbyt długo.

Spogląda w notatki i potrząsa głową. Na pewno myśli, że traktuję tę sytuację jak zawody, że czekam, aż powie mi, że w życiu nie widziała, by ktoś robił tak szybkie postępy, że jestem jej pacjentką numer jeden.

– Twój poziom lęku z pewnością zmalał. Nie jesteś już taka spięta. Wiem, kiedy się denerwujesz, czujesz niepewnie czy niezręcznie. Zdarza się to coraz rzadziej.

– Okej – mówię. – Ja chyba też to widzę.

– Czy uważasz się za ofiarę, Aubrey?

– Nie – mówię płaczliwym głosem. Szkoda, że nie mogę tego cofnąć. – Nie, naprawdę nie. Już mówiłam. – Uświadamiam sobie, że miałam ochotę dodać jej imię na końcu zdania. Odpłacić pięknym za nadobne. Naprawdę nie, Lauro. Ale jednak tego nie zrobiłam. Czuję ucisk w klatce piersiowej. Gdybym użyła jej imienia, w pewnym sensie nadałabym tej rozmowie bardziej intymny charakter. Dziwnie się czuję, kiedy ona wypowiada moje imię. Za każdym razem, kiedy dodaje „Aubrey” na końcu zdania, czuję ciężar w piersi. To zbyt personalne.

– I chyba właśnie to stanowi problem – mówię.

– Dlaczego? Skoro się nie uważasz, to nie i już.

– Sama nie wiem. Wydaje mi się to trochę tandetne. Nie byliśmy z Rachel takimi niewiniątkami. Może dlatego to się stało.

– A więc obwiniasz samą siebie?

– Tak, najwyraźniej obwiniam samą siebie. – Biorę łyk z butelki. – W wieku czternastu lat chlałyśmy tequilę i obmacywałyśmy się z chłopakami. Czego tu się spodziewać?

– To częste, winić samego siebie. Ale właśnie to czyni cię ofiarą.

– Sama nie wiem. Nie patrzę na to w ten sposób. To taki banał. – Gmiotę butelkę w rękę.

– Nie nazwałabym tego banałem. Raczej próbą racjonalizacji. Mechanizmem obronnym, szukaniem wyjaśnienia. Szukasz przyczyny, żeby jakoś to znieść. Potrzebujesz kontroli. Musisz wiedzieć, dlaczego to się wydarzyło.

– A jeśli się z tym pogodziłam? Jeśli uznałam, że to była tylko jeszcze jedna noc z nieodpowiednią osobą? Kiepska randka?

– A co z Adamem?

– Może chciałam się na nim odegrać? – Robi się gorąco. Odwijam szal.

– A tak było?

– Nie.

Zapada długa cisza. Wypijam łyk wody.

– Opowiedz mi o Adamie.

– Ale co? – pytam. – Myślałam, że już go omówiłyśmy. – Oddech jest ciężki, splątany z nerwowym śmiechem.

– Chyba obie wiemy doskonale, że nie mówisz mi wszystkiego.

– Aha. Chyba tak.

– Co się stało z Adamem? – Wzruszam ramionami, przetykam ślinę, krztuszę się własnym oddechem. – Nie spiesz się, jeśli nie jesteś gotowa.

Wiatr rozbija się o szybę za głową Laury. Mięśnie ramion kurczą się spazmatycznie.

– Adam też nie był niewiniątkiem – mówię. Wciągam powietrze nosem tak długo, aż rozchodzi się po całej klatce piersiowej. – On... – zaczynam. – Em. – Słowa rozdzierają język. – On mnie zdradził – mówię po raz pierwszy w życiu.

– Adam – mówi Laura w ten swój wszystkowiedzący sposób.

– Tak. Z Rachel.

– O. – Widzę, że jest w szoku i w pewnym sensie mnie to bawi.

– Nigdy nikomu o tym nie mówiłam. To znaczy, oprócz Karen, ale to się chyba nie liczy.

– Chcesz teraz o tym porozmawiać?

– A mam wybór?

– Zawsze masz wybór.

Śmieję się szyderczo, wypijam łyk wody. Mogłam przewidzieć, że to powie.

– Przeżyłam wstrząs. W ogóle się nie spodziewałam. To się zdarzyło zaraz po, no

wiesz.

– Gwałcie. – Słowo wali we mnie jak pięść prosto w splot słoneczny. Muszę zamknąć oczy, odetchnąć, zebrać myśli. Nie mogę znieść, że Laura tak od niechcienia, bez wysiłku atakuje mnie tym słowem.

– Nieważne – mówię. – Była Wielkanoc. Poszłam do Adama, chciałam mu powiedzieć, co się stało. Myślałam, że może mogę mu zaufać, powie mi, że wszystko jest w porządku, i nie będzie się spieszył. A kiedy poczuję, że to odpowiedni moment, zrobimy to jak należy. I nie będę musiała udawać, że jestem dziewicą.

– Gwałt i utrata dziewictwa nie mają ze sobą nic wspólnego. Chyba o tym wiesz.

– Pewnie, wiem – kłamię. – Ale wtedy nie wiedziałam.

– Okej – mówi, biorąc do ręki podkładkę.

– Poszłam z nim porozmawiać. Ułożyłam w myślach całą przemowę, ale nagle zauważyłam jego samochód zaparkowany przy bocznej ulicy. Silnik był włączony, chciałam zapukać po stronie kierowcy, ale wtedy go zobaczyłam.

– Co zobaczyłaś?

– Stał z przodu, pochylony, spodnie miał spuszczone do kolan. Rachel na tylnym siedzeniu, chyba próbowała się ubrać.

Laura patrzy na mnie ze swoją sławetną empatyczną miną. Nagle uświadamiam sobie, że się uśmiecham.

– Sorry – mówię. – To bardzo miłe uczucie, wreszcie o tym opowiedzieć.

– To było niezwykle traumatyczne doświadczenie – stwierdza.

– Aha – mówię. – Tutaj muszę się z tobą zgodzić.

W drodze do domu wysyłam z telefonu mail do Jonathana. Jeszcze nie ustaliłam daty powrotu. Od dwóch tygodni jestem na zwolnieniu lekarskim. Nadal czekam na zgodę Laury, ale postanawiam przygotować sobie grunt. Przynajmniej tyle mogę zrobić.

„Jonathan, po powrocie chciałabym pomówić o możliwościach awansu. Chcę rozwijać się w ramach pracy w „Upper East Side Post” ale muszę wiedzieć, czy mam jakieś szanse. Dzięki. Aubrey Glass”.



# Rozdział 37

*Poniedziałek, 27 października 2014*

Źle spałam. Nie miałam koszmarów, nic w tym rodzaju. Ja nie miewam koszmarów. Ani flashbacków. Laura pyta o to za każdym razem, ale szczerze mówiąc, nie potrafię sobie wyobrazić, bym miała do tego stopnia stracić kontrolę nad własnym umysłem. W każdym razie tej nocy leżałam w łóżku i czułam, jak powietrze, gęste i zatęchłe, napiera na moją klatkę piersiową. Nie był to również atak paniki.

Opowiadam Laurze. Nic nowego. Ale próbuję bardziej się przed nią otworzyć.

– Co się dzieje, kiedy ogarnia cię lęk?

– Nie wiem. Zapalam papierosa, łykam xanax, wypijam kieliszek wina. Czasami otwieram laptop, jak już mówiłam, szukam w Internecie Erica Robbinsa albo opisów tego, co dzieję

się po...

– Gwałcie – dopowiada.

– Właśnie.

– A więc jesteś w stanie wpisać to słowo w wyszukiwarke. Ale nie jesteś w stanie go wypowiedzieć.

Wzruszam ramionami.

– Może. Ale gdybym nie szperała w Internecie, musiałabym to zaakceptować. – Czuję, że ręce znowu zaczynają mi się trząść, wsuwam je pod uda.

Laura odkłada notatki, kładzie dłonie na kolanach.

– A czym to się różni od innych rzeczy, które ci się przydarzyły? Też musiałaś się z nimi pogodzić. – Jej głos robi się miękki, jakby spodziewała się, że zaraz wybuchnę płaczem czy coś w tym stylu. Do tej pory powinna się zorientować, że to się nie zdarzy.

– Ale tego nie zrobiłam – mówię z wysiłkiem. – Mogłam się poddać. Mogłam odejść. Nie musiałam się godzić. Mogłam walczyć z Erikiem bardziej zaciekle. Mogłam skonfrontować się z Rachel. I z Adamem. Z żadną z tych rzeczy nie musiałam się godzić.

– Innymi słowy, winisz samą siebie za to, że go nie powstrzymałaś? – Próbuje utrzymać kontakt wzrokowy, ale w tej chwili nie jestem chętna do współpracy. Ciągłe powtarza te same zdania, jakby właśnie odkryła coś nowego, mam tego serdecznie

dosyć. Rozumiem. Obwiniam samą siebie. Już to przerabialiśmy.

– Nie wiem – odpowiadam. – Chyba żałuję, że od razu nie wałnął mnie prosto w twarz. Przynajmniej miałabym prawo czuć wściekłość. Prawdziwą wściekłość. Nie musiałabym analizować całej sytuacji, martwić się, czy przypadkiem nie byłam dla niego za miła. – Po raz pierwszy mówię to wszystko na głos. Nie czuję się lepiej. Gorzej też nie. Po prostu czuję.

– Nikt nie zamierza cię oceniać. Musimy popracować nad tym, byś potrafiła sobie wybaczyć. Musisz się z tym pogodzić. Poczuc to. Uciekasz od bardzo dawna. Nie jesteś zmęczona?

– Jestem wykończona – mówię. Laura milczy. Kręcę się na siedzeniu. Cisza rośnie, wydaje się nierealna, wiem jednak, że Laura daje mi czas, żebym się z tym pogodziła. Jeszcze raz puszczam słowa w swojej głowie. Jestem wykończona. Bo jestem. A wypowiedzenie tego na głos wydaje się z jakiegoś powodu znaczące. Marzę, by pójść do domu i się zdrzemnąć.

Patrzę na zegar. Zostało tylko trzydzieści minut, a jeszcze tyle chciałabym powiedzieć, tyle rzeczy wiruje w moim mózgu, że nawet nie potrafię wybrać, od której zacząć.

– Nie wiem – mówię, by wypełnić ciszę. – To wszystko nadal wydaje mi się trochę głupie.

– Głupie?

– Czuję, że nawet nie mam prawa siedzieć na kozetce u terapeuty i o tym rozmawiać. Czuję, że nie powinnam robić z tego afery. Wiem, że to bardzo dziwnie brzmi. Ale nie potrafię przyznać, że on zrobił coś złego. Wiem, że to było złe. Wiem, ale nie potrafię tak tego nazwać. Wciąż widzę całą sytuację oczami Adama, oczami Rachel: nie zapobiegłam temu i zraniłam tyle osób. – Uświadamiam sobie, że nie oddycham. – Czy to ma jakiś sens?

– Mówisz mi, że nie czujesz się usprawiedliwiona. Ale byłaś ofiarą i ja wiem, że o tym wiesz.

Znowu siedzimy w milczeniu. Przerabiamy. To jest proces.

Proces.

– Jesteś w żałobie – zaczyna. Mam ochotę jej przerwać, już o tym rozmawialiśmy, ale słucham dalej. – Przechodzisz przez kolejne etapy. Jest tam zaprzeczenie. I brak akceptacji. Ale w końcu dotrzesz do celu. Po drodze przerobisz etap gniewu. Depresji. To będzie narastać. Ale pamiętaj, że to proces powrotu do zdrowia. Próbuj nie uciekać od tego, nie zaklejaj rany plastrem z alkoholu, papierosów i xanaxu.

To jest proces.

Kiwam głową. Tyle mogę zrobić. Spinam się. Boli każda, najmniejsza cząstka mojego ciała. Mam wielką ochotę skulić się w pozycji embrionalnej i zasnąć.

– Pamiętasz, co myślałaś tamtej nocy? W trakcie?

– Minęło pięć lat – odpowiadam.

– No i co? – Wypuszczam powietrze, zbyt głośno, zamykam oczy, pocieram grzbiet nosa kciukiem i palcem wskazującym. Wiem, że wygląda to bardzo dramatycznie, ale muszę starannie dobierać słowa.

– Myślałam, jak się z tego wymigać. Co powiem Adamowi. Myślałam też o letnim obozie.

– O letnim obozie?

– Tak. Dziwne, bo tak naprawdę nic z niego nie pamiętam. Nie umiałabym wymienić ani jednej osoby, którą tam poznałam. Musiałam mieć jakieś pięć czy sześć lat. Pamiętam tylko zajęcia plastyczne. Budowaliśmy różne rzeczy z patyków po lodach. Pamiętam straszny bałagan, wszystko w kleju i brokacie.

– Sądysz, że to coś znaczy?

– Szczerze, nie wiem. – Laura uśmiecha się i gryzie końcówkę długopisu.

Mieszam kawę, czarną jak smoła, daję znak Melanie. Podchodzi, pod pachą trzyma karty.

– Czego sobie życzysz, Aubrey? – pyta. Jej głos jest zimny i drżący, brzmi tak, jakby próbowała zaznaczyć swoją pozycję, ale ma świadomość, że jej się to nie uda. Decyduję, że jest mi jej żal. Najwyraźniej nie potrafi być ani trochę suką, Rachel musiała bardzo zranić ją tą Melony.

– Macie cynamon?

– Jasne – mówi prędko i wraca za kontuar. Udaję, że czytam wczorajsze wydanie „Sunday Times”, ale przyglądam jej się znad gazety. Wraca, przesuwa cynamon w moją stronę. Czeka.

– Mamy tylko ten jeden, więc muszę go zabrać – wyjaśnia. Biorę pojemnik i posypuję stygnącą kawę. Wylatuje stanowczo za dużo. Przysięgłabym, że słyszałam prychnięcie. Oddaję Melanie plastikowy pojemnik, jeszcze raz mieszam kawę.

– Zaczekaj – mówię. Odwraca się i patrzy na mnie, jej różowe policzki błyszczą. – Przepraszam za to z Rachel. Nie powinnam była tego mówić. – Czeka na odpowiedź. Krzywi się, jąka, wreszcie wyrzuca z siebie:

– Nie szkodzi. Nie przejmuj się.

– A jak się udała impreza? – pytam. Wzrusza ramionami, mamrocze, że w porządku, potem zmyka za kontuar. Widzę, jak szepcze do drugiej kelnerki, obie spoglądają w moją stronę, a ja posyłam im szeroki uśmiech i zatapiam się w lekturze „The Sunday Book Review”.

Kiedy Melanie wraca dolać mi kawy, zamawiam muffinkę. Potem zaczynam pisać w zeszycie coś na temat Adama. Nic istotnego, opis naszego pierwszego pocałunku, nigdy wcześniej go nie wspominałam. Właśnie zbliżam się do ciekawej części, kiedy drzwi otwierają się z brzękiem i do środka wchodzi grupa kobiet. Słyszę ich głosy i nagle uświadamiam sobie, że jest wśród nich Ally.

Patrzemy na siebie, jej usta otwierają się w chorym uśmiechu. Informuje resztę grupy, że jest tu Aubrey Glass. Udaję, że mnie to nie obchodzi, tak dobrze, jak tylko potrafię, wracam do pisania.

Melanie przyjmuje od nich zamówienie. Słyszę jej piskliwy śmiech. Wszystkie zerkają w moją stronę. Właśnie ją przeprosiłam, a ta przy pierwszej okazji omawia – bo domyślałam się, że o to chodzi – moje publiczne załamanie, chichocząc przy tym jak hiena. Powinno mnie to dotknąć, ale nie dotyka. Wydaje się takie niskie i dziecinne. Poza tym, ja wracam do swojego życia. One zostają tutaj.

Zamykam zeszyt, wpycham do torby, „Times’a” zostawiam na stoliku. Nie jest mi potrzebny. Trochę się trzęsę, ale to pewnie wina kofeiny, przechodzę tuż obok stolika Ally – zimnej spokojnej Ally. Ciekawe, czy słyszały o Ericu, czy opowiedział wszystkim, jak ta walnięta laska z after party złała go na kwaśne jabłko u O’Reilly’ego w łazience. Szczerze wątpię.

Zamierzam spokojnie wyjść, nie robiąc scen, zachować się jak osoba z klasą, ale nim zdążyłam dotrzeć do drzwi, słyszę głos Ally:

– No, no – mówi. – Wypuścili cię z wariatkowa. – Wszystkie się śmieją: Sasha, Ellie i ta Laska, Której Imienia Nie Mogę Sobie Przypomnieć. Zatrzymuję się, mój oddech też, obracam się na pięcie. Chyba nie spodziewały się, że zareaguję, Ally ma nieco nerwową minę. Jestem spokojna, zimna jak lód, ale jej słowa palą mi wewnątrz, twarz robi się gorąca. Nie mogę ich teraz zawieść.

– Aha – mówię. – Wypuścili. – Czuję za plecami Melanie i jej koleżankę, stoją jak sparaliżowane. – I wiesz co? Dokonałam sporego przełomu. – Ally przesuwa wzrokiem po twarzach dziewczyn. Robię krok w jej stronę. Wiszę nad stolikiem, a one kurczą się na siedzeniach, jakby szykowały się na atak, a ja opieram dłonie na stole i przysuwam twarz do twarzy Ally, bardzo blisko.

– Wiem, co o mnie myślicie. A, Aubrey! Pieprznięta samolubna szmata. W dodatku zawiodła najlepszą przyjaciółkę. – Biorę łyk wody ze szklanki Sashy, stawiam naczynie z hukiem na stole. – Ale wiecie co? Gównu mnie to obchodzi. Jesteście beznadziejne. Jesteście nudne i do bólu banalne, a tu, w środku – podnoszę rękę i wymierzam palcem w czoło Ally – tu kryje się jedna wielka pustka. A Rachel, owszem, była suką i, owszem, miałam jej sporo do zarzucenia, ale przynajmniej była autentyczna. Nie kryła się za plecami mdłych przygłupów. Owszem, zrobiła mi sporo świństw, ale przynajmniej była szczerą, nie udawała kogoś, kim nie była. A wy nie jesteście mi do niczego potrzebne. – Biorę jeszcze jeden łyk.

Wydaje się, że moje słowa nie zrobiły na nich żadnego wrażenia. Prychają, jakby chciały dać do zrozumienia, że jestem irracjonalnym potworem. Patrzą na każdą z nich po kolei i częstują ostatnią indywidualnie dobraną uwagą:

– Ally, jesteś żałosna. Dokładna kopia Rachel, tyle że znacznie mniej interesująca. Sasha, widać nieszczęścia chodzą parami. Nagle schudłaś i nie boisz się uchodzić za

sucz? Ellie, o tobie nawet nie mam nic złego do powiedzenia, jesteś całkowicie pozbawiona wszelkich właściwości. A ty – zwracam się do Laski, Której Imienia Nie Mogę Sobie Przypomnieć – nawet nie wiem, kim jesteś. – Biorę wdech, mrużę oczy. – Serio, kim jesteś? Jak się nazywasz?

Patrzę na siebie wielkimi oczami, rozdziawiając usta, myślą, jak by tu oczyścić się z zarzutów, które postawiłam. Ale ja nie zamierzam czekać, zarzucam torbę na ramię i ruszam do wyjścia. Na ulicy sięgam po telefon. Patrzę na wiadomość na poczcie głosowej. Po raz pierwszy od przyjazdu żałuję, że nie mogę zadzwonić do Rachel. Tylko ona potrafiłaby docenić scenę, która przed chwilą rozegrała się w Seaport Diner. Szkoda, że nie widziałas ich min, powiedziałabym. To było doskonale. Nigdy bym nie przypuszczała, że Ally potrafi tak długo trzymać mordę na kłódkę! Śmieję się, a potem dzwonię do Danny'ego.

– Przepraszam – mówię. Odebrał po pierwszym sygnale. Nic nie mówi, ale słyszę go po drugiej stronie. – Okropnie cię potraktowałam. Nie zasłużyłeś. – Brzmi to jak wyuczony tekst, ale przeprosiny chyba zwykle tak brzmią. Nic lepszego nie dostanie.

– Pewnie przechodzisz prawdziwe męki – mówi. – Nigdy nie słyszałem, żebyś kiedykolwiek za coś przeproszała.

– Łatwo nie było. Ale naprawdę tak myślę.

– Wiem. – Oboje milczymy, w końcu Danny wzdycha. – U ciebie wszystko w porządku?

– Już lepiej.

– Wrócisz do domu?

– Niedługo.

– Ale już nie będziesz mnie biła? – Uśmiecham się i potrząsam głową, chociaż wiem, że mnie nie widzi.

# Rozdział 38

*Środa, 29 października 2014*

– Mam dobre wieści – mówi Laura. Siedzę w jej gabinecie. Okno jest uchylone, powietrze pachnie palonymi liśćmi. – To chyba nasza ostatnia sesja. – Patrzę na nią, nieco zdezorientowana. Uprzedzając moje pytania, dodaje: – Nasze spotkania z założenia miały kiedyś się skończyć.

– A więc jestem uleczona? Tak po prostu?

– Nie – odpowiada. – Ani trochę. Przed tobą jeszcze sporo pracy. Ale musisz wrócić do normalnego życia, uważam, że siedząc tutaj, nie odniesiesz żadnych korzyści. – Nie potrafię powiedzieć, czy czuję ulgę czy przerażenie, w każdym razie z pewnością się tego nie spodziewałam.

– Łał – mówię. – No dobrze. Zrywasz ze mną? – Uśmiecha się, zdawkowo. Chyba muszę się pogodzić z faktem, że nigdy nie doceni mojego poczucia humoru.

– Odsyłam cię do terapeuty na Manhattanie. – Zakłada nogę na nogę. – Posłuchaj. Czeka cię długa droga. Zanim będzie lepiej, może nawet zrobić się gorzej. Ale myślę, że sobie poradzisz.

Kiwam głową. Zaczynam na poważnie myśleć o tym, jak to będzie wrócić do normalnego życia. Do pracy. Do Danny'ego.

Ale został jeszcze jeden sekret.

– Muszę coś wyznać – oznajmiam. Słowa palą mnie od środka. Biorę telefon do ręki. Małeńka koperta wciąż widnieje na ekranie.

– Skłamałam co do Rachel. Rozmawiałam z nią. Widziałyśmy się.

– Kiedy? – pyta Laura. W ogóle nie wygląda na zaskoczoną.

– Dwa tygodnie przed jej śmiercią – mówię.

# Rozdział 39

*Wrzesień 2014*

To zdecydowanie nie było miejsce w moim typie. Światła stroboskopowe wirowały dokoła, pulsując na niedbale ochlapanych farbą ścianach. Didżej grał techno, jakieś umc-umc. Ścisnęłam drink w spoczonej dłoni – wódka z wodą sodową i odrobiną soku żurawinowego.

– Chcesz jeszcze jeden? – zawołałam do Ariel, która uniosła wysoko szklanekę pełną różowego lodu. Klub mieścił się w jakimś starym magazynie, kościele czy rzeźni, gdzieś w centrum, między SoHo a Meatpacking District.

Ariel nie usłyszała, odwróciła się w stronę jakiegoś gościa w koszulce na ramiączkach, który ją zaczepił, więc poszłam do baru sama. Pokazałam barmanowi z nagim torsem pustą szklanekę i banknot dwudziestodolarowy, samym ruchem ust mówiąc: „Jeszcze jeden”. Barman kiwnął głową, nalał drink do przezroczystego plastikowego kubka, dodał za dużo lodu i wziął ode mnie pieniądze.

Upiłam rozwodnionej wódki i poprosiłam o kieliszek tequili.

– Trzymaj – zawołał, przekrzykując tętniącą muzykę. Postawił na barze naczynko wielkości naparstka.

– Aha – powiedziałam. – Podwójną. – Nalał jeszcze jedną porcję.

– Trzydzieści. – Wyjęłam kartę.

– Od stu dolarów – powiedział schrypniętym głosem. Zastanawiałam się, jak on wytrzymuje w tej pracy, tak noc w noc.

– Nieważne – powiedziałam i wychyliłam oba kieliszki. Płyn o smaku zardzewiałych gwoździ spłynął do gardła. Skrzywiłam się.

Tequila Mockingbird.

To był babski wypad. A przynajmniej miał być – ale Casey znikła gdzieś kilka godzin wcześniej, Ariel zaś właśnie uprawiała na parkiecie ocieractwo z jakimś gościem, wyglądającym na góra dziewiętnaście lat.

Telefon zadzwonił w torebce. Miałam nadzieję, że to Dan pilnie mnie potrzebuje i będę mogła wreszcie stąd pójść. Ale kiedy spojrzałam na wyświetlacz, zobaczyłam trzy wiadomości – wszystkie od Rachel.

1. Myślałam dzisiaj o tobie.
2. Chcę pogadać.
3. Proszę, daj mi jedną minutę.

Usunęłam ją z kontaktów, ale znam jej numer na pamięć od trzynastego roku życia. Na sam widok tych cyfr na moim wyświetlaczu mam ochotę walnąć w telefon spoconą ręką, w której trzymam szklankę z wódką, wodą sodową i odrobiną soku żurawinowego.

Czytam esemesy jeszcze raz. Nie pierwszy raz zasypała mnie hurtowo wiadomościami. Zaczęło się jakiś miesiąc wcześniej, co najmniej dziwnym tekstem: Pojedźmy jutro do Montauk.

A potem esemesy przychodziły seriami, jakbyśmy nadal były nierozłączne, jakby przez te pięć lat nic się nie zmieniło. Nie odpisałam na ani jeden. Kasowałam po kolei. Ale tej nocy złapałam jakiś taki nastrój, nie wiem, może z powodu oszołomienia alkoholowego, może przez to miejsce, że mało, naprawdę mało brakowało, a bym odpisała.

Wsadziłam telefon z powrotem do torby i zaczęłam przepychać się przez tłum do łazienki. Czułam ucisk w żołądku, coraz mocniej zawiązujący się supeł i wiedziałam, że jeśli za chwilę nie znajdę się nad kibelem albo nie złapię odrobiny świeżego powietrza, będzie ze mną źle. Kolejka do łazienki ciągnęła się na kilometr, więc wybrałam powietrze.

W klubie był dziki tłum. Przepychając się między kończynami i pląsającymi ciałami próbowałam przypomnieć sobie, czyj to był pomysł.

Poczułam na sobie obce ręce. Byłam już blisko drzwi, już miałam wyjść, kiedy nagle ręce znów zaczęły mnie obmacywać, a potem włochate ramiona objęły mnie w talii i przycisnęły do obcego krocza. Zesztywniałam. Szeptał mi do ucha coś niezrozumiałego. Zaczęłam się wyrwać, ale nie puszczał, więc, nie widząc innego wyjścia, wsadziłam mu łokieć w brzuch. Zatoczył się do tyłu, coś tam mamrocząc.

– Co powiedziałaś? – Odwróciłam się i zobaczyłam zgiętego w pół gościa. Miał kozią bródkę i chyba zaczątki łysiny. Wstał i podszedł do mnie.

– Powiedziałem – odparł – że jesteś durną pierdoloną szmata.

Nie myślałam. Nie oddychałam. Po prostu zamachnęłam się i jednym płynnym ruchem walnęłam go z liścia po twarzy.

Kręciło mi się w głowie. Światła błyskały, stroboskopy pulsowały, moja pierś zaciskała się coraz mocniej. Ostatnim razem przyłożyłam komuś po twarzy pięć lat wcześniej. Rachel.

Wyszłam, poczułam uderzenie świeżego powietrza. Osunęłam się po ceglanej ścianie, podciągnęłam kolana pod brodę i zasysałam powietrze jak jakaś wariatka. Zatrzymało się, nie docierając do tego punktu w głębi klatki piersiowej. Światła latarń zaczęły się obracać, sięgnęłam do torby po papierosa. Ataki paniki nie były dla mnie niczym nadzwyczajnym, ale zapaliłam. Palłam i oddychałam, chciałam być sama, jak kot, kiedy czuje zbliżającą się śmierć. Telefon zawibrował w mojej kieszeni, odebrałam, nie sprawdzając, kto to.



– Halo – zdołałam wydusić między płytkimi oddechami. Wsadziłam papierosa do ust, zapaliłam.

– Aubrey. – Cisza. – Myślałam, że nie odbierzesz. – Dopiero po pięciu sekundach zorientowałam się, że to Rachel. Jakby ktoś walnął mnie w żołądek. Chciałam się rozłączyć, ale zobaczyłam, że w moją stronę idzie ochroniarz, więc ścisnęłam telefon w spoczonej drżącej dłoni i słuchałam.

Zaciągnęłam się głęboko parlamentem, czekałam, aż dym wśliznie się do moich płuc, wypełni wydrążoną przestrzeń.

– Czego chcesz? – spytałam. Gardło miałam suche, jak z piasku. Przez chwilę zastanawiałam się, czy usłyszy panikę w moim głosie, ale stwierdziłam, że to niemożliwe. Skoro nie usłyszała pięć lat temu, to teraz też nie usłyszy. Pewne rzeczy się nie zmieniają. Już miałam się rozłączyć, ale telefon tkwił przy uchu jak przyciągany magnesem.

– Chciałam tylko porozmawiać – powiedziała. I nagle to ja usłyszałam panikę w jej głosie. Drżał i był smutny, nie przypominał tej Rachel, którą znałam. – Nie za dobrze mi się układa.

– Mm – odparłam i znów zaciągnęłam się głęboko. Na chodniku stało tylko kilka osób, a moje ręce nadal się trzęsły, więc zamknęłam oczy, próbowałam się skupić, czułam, jak dym przepływa przez moje ciało.

– Mam myśli samobójcze – powiedziała, spokojnie i obojętnie, jakby mówiła o nowej pracy. Ale słyszałam panikę. Czułam jej panikę. – Jestem bardzo przygnębiona. Chciałabym się z tobą spotkać. To dla mnie bardzo ważne.

– Jesteś przygnębiona? – powtórzyłam drwiąco.

Jej głos się załamał.

– Naprawdę nie wiem, co ja ci zrobiłam. Czy możemy się spotkać? Pójść razem na kawę? Tyle chyba możesz dla mnie zrobić?

Następnego dnia siedziałyśmy w ciemnym lokalu, obok młynka do kawy, czułam, jak głęboki rybi aromat gładkich ziaren osiada na mojej koszulce, zanotowałam w pamięci, żeby wziąć prysznic przed obiadem.

Rachel siedziała naprzeciwko, sztywno oparta o poduszki obite niebieskim winylem. Ja założyłam nogę na nogę, pochylona niedbale, przyłożyłam papierowy kubek do ust. Dmuchałam, aż czarny płyn zmarszczył się na powierzchni, upiłam. Kiedy poprosiłam o papierowy kubek, kelnerka rzuciła mi lekko zdumione spojrzenie, ale planowałam szybką ewakuację, a nie chciałam stracić porcji wspaniałej kawy.

Zgodziłam się na spotkanie wbrew rozsądkowi. I pod warunkiem, że to ona przyjedzie do miasta, i że zachowa spotkanie w tajemnicy.

Przyglądałam się Rachel znad kubka. Bawiła się serwetką, czekałam, aż pierwsza się odezwie.

– Dzięki – powiedziała, obracając serwetkę w palcach. – Że zgodziłaś się ze mną spotkać, mam na myśli.

– A co innego niby mogłabyś mieć na myśli? – zapytałam suchym znudzonym tonem. Prawie, prawie było mi jej żal.

– Posłuchaj – powiedziała – wiem, że mnie nienawidzisz. – Urwała, ale ponieważ nie protestowałam, dodała: – Ale naprawdę bardzo bym chciała odzyskać najlepszą przyjaciółkę.

W boksie obok chrząknął jakiś mężczyzna w okrągłej czapeczce, kelnerka ogłosiła zamówienie, zadudnił młynek.

– Rachel – powiedziałam.

– Proszę. – Nie patrzyła na mnie, utkwiała wzrok w blacie, odrywała kawałki serwetki i zwijała w kulki.

Zmieniła się. Zeszczuplała. Jej włosy wyglądały jak lśniąca tafla plastiku. Może po prostu były tłuste. Miała na sobie szary workowaty sweter, opadający na ramieniu.

– A czego się spodziewałaś? – spytałam. Czułam suchość w gardle i ucisk paniki tuż poniżej mostka. – Nie widziałyśmy się całe wieki. Już nie jesteśmy przyjaciółkami. Nie jesteśmy do siebie podobne. Ja przeszłam do innego etapu. – Kiedy wypowiedziałam te słowa, wydały mi się one sztuczne. Ale nie były. Po prostu nie chciałam ich poczuć. Żeby ona nie wiedziała. – Naprawdę nie potrafisz się z tym pogodzić?

– Dlaczego? – spytała. – Dlaczego nie jesteśmy przyjaciółkami? Nie rozumiem, Aubrey. Wyjechałaś na studia i więcej się nie odezwałaś.

– Ty wiesz dlaczego.

– Nie, nie wiem. Zapomniałaś o nas wszystkich. O mnie, o Adamie.

– O tobie? O Adamie? Czy ty sobie, kurwa, żarty robisz? – Świat zaczął migotać, próbowałam skupić się na słowach w swojej głowie. Próbowałam skupić wzrok na Rachel, ale świat wirował.

– Nie rozumiesz. Potrzebuję cię. Jestem w depresji. A ty jesteś moją najlepszą przyjaciółką. Prócz ciebie nie mam nikogo, z kim mogłabym porozmawiać. – Płakała, co ostatecznie wyzwoliło we mnie wściekłość. Czułam, że wszyscy się na nas gapią, na biedną płaczącą dziewczynę i tę zimną sukę, przez którą biedna dziewczyna płacze. Zimną Sukę.

– To znajdź sobie terapeutę – powiedziałam. Chciałam chwycić płaszcz i wyjść, ale wtedy powiedziała coś, co mnie powstrzymało.

– Zrobiłam to tylko dlatego, że ty zrobiłaś to z Erikiem.

# Rozdział 40

*Środa, 29 października 2014*

Kiedy opowiadam o swoim ostatnim spotkaniu z Rachel, Laura tylko kiwa głową, mocno zaciskając wargi. Pewnie wiedziała, że widziałam się z Rachel, ale się z tym nie zdradziła. Jeszcze nie powiedziałam jej o wiadomości na poczcie głosowej i chyba nigdy nie powiem, to na zawsze zostanie między Rachel i mną.

– Jak się czujesz, jeśli chodzi o twoje ostatnie spotkanie z Rachel, o to, jak zakończyłaś waszą znajomość? – pyta w końcu. Myślę nad odpowiedzią, opuszczam ręce wzdłuż ciała i kładę na kozetce.

– Nie wiem, jak się czuję – mówię i naprawdę tak myślę. Nie wiem. Powinam czuć się winna i może na jakimś poziomie tak jest, ale w tym momencie nie mogę tego powiedzieć. – Myślisz, że powinnam czuć się winna?

– Powinnaś czuć to, co czujesz.

– A jeśli nie wiem, co czuję?

– Dowiesz się. Daj sobie trochę czasu.

– Mogę cię o coś zapytać? – Ręce zaczynają mi się trząść.

– Oczywiście.

– Uważasz, że to była moja wina? – Wciągam powietrze, nie wiem, czy jestem gotowa na odpowiedź. – Śmierć Rachel?

– Aubrey – zaczyna cichym głosem – wiem, że to nasza ostatnia sesja, jeżeli masz cokolwiek wynieść z tych spotkań, to właśnie to, co teraz powiem. – Patrzy na mnie z krępującą intensywnością, a ja kiwam głową. – Nie odpowiadasz za cudze czyny, lecz wyłącznie za swoje własne. Ani za cudze uczucia.

– Chyba masz rację – mówię, nie do końca przekonana. Ale przynajmniej lepiej się poczułam, kiedy to powiedziała.

Wchodzę do domu i kieruję się prosto do swojego pokoju, ale jednak zaglądam do kuchni, gdzie urzęduje Karen. Zdejmuję szalik i kurtkę.

– Cześć – mówię. Odwraca się, zaskoczona.

– Jak sesja?

Przystaję w drzwiach.

– Bardzo dobrze – mówię, a potem siadam na krześle koło wyspy kuchennej. Karen robi przyjemnie zaskoczoną minę, co wywołuje u mnie wyrzuty sumienia, że tak źle się do niej odnosiłam – mimo zapewnień Laury, że nie odpowiadamy za

uczucia innych ludzi.

– Kawy? – Kładzie rękę na drzwiczkach szafki, czeka.

– Jasne. – Kątem oka widzę słoik typu Mason, ale Karen zamyka drzwiczki i nalewa kawę do kubka. Wyciąga z lodówki karton bezmlecznej śmietanki i przesuwa go w moją stronę.

– Byłam na zakupach – mówi. – Pomyślałam, że pewnie masz dosyć czarnej kawy.

– Dzięki – mruczę, podnosząc kubek do ust. – A więc – zaczynam. Na chwilę zapada niezręczna cisza. Karen unosi głowę, coś w tonie mojego głosu wzbudza jej czujność – terapeutka powiedziała, że mogę wrócić do Nowego Jorku.

– O. – Głos Karen wznosi się piskliwie, słyszę w nim nutę rozczarowania, ale może się mylę. Może to tylko zaskoczenie. – Na pewno jesteś gotowa? Co z Dannym?

– Chyba jestem – odpowiadam, wzruszając ramionami. Nie wiem na pewno, czy jestem gotowa, lecz nie czuję się niegotowa, to chyba dobry początek. Nie mówię tego jednak. – Będzie dobrze – dodaję. – O nas się nie martwię.

– Okej. Kiedy zmierzasz wyjechać? – Nagle jest bardzo zajęta, otwiera i zamyka szuflady, zaczyna opróżniać suszarkę.

– Planowałam pociągiem o szóstej – odpowiadam. – Może być? – Nie wiem, czemu pytam o pozwolenie.

– O. Chyba tak. Nie sądziłam, że tak szybko. – Zapada chłodna cisza, nie wiem, co powiedzieć. Mam ochotę wstać i wyjść, ale coś trzyma mnie na krześle, każe sączyć kawę, zaczekać, aż matka zbierze myśli. – Cóż, cieszę się, że się lepiej poczułaś – mówi, oddycha głęboko, nalewa sobie kawę i opiera się o blat naprzeciwko mnie. – I, Aubrey, przepraszam.

– Za co? – Wykręca mi wnętrzności, wbijam wzrok w blat. Mimo dwutygodniowej terapii, mimo wszystkich rzeczy, które przez ten czas się wydarzyły, nadal nie jestem gotowa na rodzinne sesje integracyjne.

– Za to, że stawiałam Rachel na piedestale, chociaż powinnam była stawiać ciebie. – Nie spodziewałam się takiej odpowiedzi, ale przyjmuję ją. – I za całą resztę.

– Nie przejmuj się – rzucam i upijam kawę. Staram się zachować kamienną twarz.

– Będzie mi ciebie brakować – mówi. – Naprawdę. Jesteś trudna. Ale będę tęsknić.

– Wywracam oczami, wyciągam ramiona na błącie. – Może zrobisz ci coś do jedzenia?

– pyta, podchodząc do lodówki. Zdjęcie znikło – to zdjęcie, przedstawiające Rachel i mnie przebrane za hipiski podczas parady w Halloween. – Kupiłam pizzę bez dodatku mleka – mówi Karen. Mam ochotę zapytać, co zrobiła ze zdjęciem, czy to propozycja zawarcia pokoju, ale przypomina mi się zdjęcie z Montauk, które pierwszego dnia spadło za biurko.

– Jasne. Pizza to bardzo dobry pomysł.

Sięgam za biurko. Wciąż tam jest.

Z lśniącej powierzchni papieru płoną oczy Rachel – błyszczą w słońcu. Leżymy wyciągnięte na fioletowym kocu, dzięki koszmarnym zdolnościom fotograficznym Rachel połowa mojej twarzy znalazła się poza kadrem. Podnoszę zdjęcie do światła. Jest zakurzone i nieco wyblakłe, ale nadal błyszczą. Zdjęcia są jak odłamki potłuczonego szkła – obraz, dźwięk, zapach – rozbite kawałki, nic, czego można by się chwycić.

# Rozdział 41

Pociąg odjeżdża o szóstej, ale przed wyjazdem z tej dziury w dupie muszę coś jeszcze załatwić.

Jest wczesne popołudnie. Otulam się ciaśniej swetrem i ruszam, na piechotę. Adam grzebie pod maską pikapa. Prycham po cichu. Nigdy nie interesował się mechaniką samochodową.

– Hej – mówię.

– Cześć – odpowiada.

– Jest szansa, że coś dla mnie zrobisz? Przez pamięć na dawne czasy?

– To zależy – odpowiada. – W końcu dzięki mnie trafiłaś do szpitala.

Uśmiecham się, po raz pierwszy od kilku tygodni w całkowicie naturalny i niewymuszony sposób, skóra wokół moich oczu napina się w normalnym stopniu.

– Chciałabym, żebyś zawiózł mnie na plażę. Muszę coś załatwić. – Wzdycha, jakby zamierzał odmówić, ale potem wzrusza ramionami i otwiera przede mną drzwiczki.

Jedziemy w milczeniu przez Wantagh Parkway. Otwieram okno. Wiatr targa mi włosy. Włączam radio, z głośników płynie Coldplay. Za oknem miga rozmazany świat – drzewa, wydmy, zatoka. Wszystko się rusza, a my zmierzamy na kraniec wyspy. Dwójka dzieciaków, które straciły przyjaciółkę. Dziewczyna i chłopak, którzy próbowali stworzyć jakieś granice, w miejscu, które w takie rzeczy nie wierzy. Patrzą na zatokę, a potem na Adama. Jest spięty, ale on zawsze był spięty, nadal pachnie tak jak w mojej pamięci – kawą i cynamonem – z lekką nutą frytek i morskiej soli.

– Nadal pracujesz w porcie? – zagaduję.

– Aha. U Jasona. Zostałem menadżerem.

– Czuję.

Śmieje się i przytyka rękaw polara do nosa.

– O rany – mówi – nie sądziłem, że ktoś zauważy.

– To twój zapach. – Uśmiecham się, on się uśmiecha, i na sekundę, za ledwie na sekundę, zapominam o całej naszej pokręconej historii – zapominam o tym, że od początku nie mógł być moim pierwszym, a po tym wszystkim, co się wydarzyło, nie mógł też być ostatnim. Może to przeznaczenie. Może przypadek. Ja nazywam to głównianym szczęściem.

Adam zajechał na parking.

Sięgam do kieszeni i wyciągam zdjęcie. Pomięło się, ale to nie ma znaczenia.

Wychodzę na pusty parking. Adam czeka w samochodzie.

Schodzę nad samą wodę, siadam i skopuję klapki z nóg.

Wyciągam z torby dwa parlamenty – obiecuję sobie, że ostatnie. Zapalam oba naraz, jeden wkładam do ust. Wyciągam rękę z drugim papierosem i rozwieram palce – spada z sykiem w słone wody Atlantyku. Kładę zdjęcie na powierzchni, patrzę, jak wraz z mokrym papierosem odpływa w dal.

Pamiętam. A przynajmniej tak mi się zdaje. Deszcz, wewnątrz samochodu, whiskey rozlana na mojej nagiej piersi, zamierająca muzyka, ja osuwam się w szarą dziurę. Pamiętam, że myślałam o Ericu, o tym, co zrobił i czego ja nie zrobiłam, zastanawiałam się, co więcej waży. A potem o Rachel i Adamie, o tym, co zrobili i czego nie zrobili – o tym, że tak naprawdę, w ostatecznym rozrachunku, liczą się ludzie, których kochasz lub uważasz, że kochasz i to, jak cię traktują, co robią, i czego nie robią, jak ty ich traktujesz, co robisz, i czego nie robisz – i jeśli się nad tym zastanowić, tak porządnie i dogłębnie – to można oszaleć. Można po prostu, kurwa, oszaleć.

Wciąż nie pamiętam, jak się znalazłam na peronie i nadal nie wierzę, że chciałam umrzeć. Jak już mówiłam, to byłoby zbyt tandetne i melodramatyczne. Może po prostu chciałam pojechać do

Babylon.

Odchyłam się do tyłu, chłodna fala oblewa moje stopy. Spoglądam na nie. Ciemnoczerwony lakier zaczął złazić.

## Rozdział 42

Wpadam do przedziału i siadam na podwójnym miejscu, daleko od łazienki. To jeden z tych nowych składów, wyposażonych w niebiesko-zielone fotele i zbyt mocną klimatyzację.

Zdejmuję słuchawki, patrzę na ekran telefonu. Koperta nadal do mnie mruga. Słyszę za plecami, że konduktor sprawdza bilety. Klik. Klik. Klik. Dźwięk jest coraz bliżej, wyciągam bilet i wsuwam w metalowy uchwyt przy fotelu przede mną.

Jonathan jeszcze się nie odezwał, ale jeśli będzie utrudniał mi awans, zamierzam postawić mu ultimatum. Potrzebuję tej pracy, ale ostatnio tyle pisałam wyłącznie dla siebie – znacznie poszerzyłam swoje możliwości od czasów, kiedy moja twórczość ograniczała się do listów pożegnalnych. I chyba czuję, że właśnie tutaj kryje się mój prawdziwy talent – w prawdziwym pisarstwie. Nie widzę możliwości rozwoju w cotygodniowych kronikach kryminalnych.

Skończyły mi się kartki w zeszycie „As If”, więc przeniosłam się do laptopa. Na razie to tylko fragmenty, wspomnienia o Rachel z dzieciństwa, wspomnienia o Adamie. Chyba piszę naszą historię na nowo, na własnych warunkach. Zaczęłam nawet trochę upiększać, zastanawiać się, co by było gdyby. Laura twierdzi, że pisanie o Rachel i Adamie daje mi poczucie kontroli. Tym razem chyba muszę przyznać jej rację. Kto wie, może kiedyś wyjdzie z tego świetna książka.

Słońce wisi nisko na niebie, wielkie i stężale, świeci prosto w okno przy moim siedzeniu. Przyciskam twarz do chłodnej szyby, podnoszę telefon do światła. Nawet w tym oślepiającym blasku wciąż widzę kopertę. Mruga. Czeka, aż odsłucham wiadomość. Myślę o głosie Rachel który chowa się tam w środku jak małe zwierzątko. Jej ostatnie słowa, ostatnie wołanie o pomoc, może nawet wyjaśnienie.

Klik. Klik. Klik. Konduktor jest coraz bliżej. Jeszcze raz spoglądam na kopertę. Muskam kciukiem klawisz „enter”, trzymam tak przez chwilę, w końcu wciskam. Klik. Klik. Klik. Przykładam telefon do ucha.

W tym samym momencie rozlega się głos z głośnika:

To jest pociąg do Penn Stadion. Następna stacja – Rockville Centre.



---

<sup>1</sup> Wicked – musical oparty luźno na powieści Gregory’ego Magiera pt. „Wicked: życie i czasy Złej Czarownicy z Zachodu”. Opowiada historię z Krainy Oz z punktu widzenia czarownic.

<sup>2</sup> Mowa o głośnej książce „Zabić drozda” autorstwa Harper Lee.

<sup>3</sup> PTSD – skrót od posttraumatic stress disorder – zespół stresu pourazowego.